



TADEUSZ BOROWSKI

---

# Pożegnanie z Marią

  
wolnelektury.pl



FUNDACJA  
nowoczesna  
Polska

TADEUSZ BOROWSKI

## Pożegnanie z Marią

TADEUSZ BOROWSKI

## Pożegnanie z Marią

I

Za stołem, za telefonem, za sześcianem biurowych ksiąg — okno i drzwi. We drzwiach dwie tafle szklane, czarne, lśniące od nocy. I jeszcze niebo, tło okna, pokryte opuchłymi chmurami, które wiatr spycha w dół szyby, ku północy, poza mury spalonego domu.

Spalony dom czernieje po drugiej stronie ulicy na wprost furtki w ochronnej siatce, zakończonej srebrzystym drutem kolczastym, po którym jak dźwięk po strunie ślizga się fioletowy odbłask migocącej latami ulicznej. Na tle burzliwego nieba, na prawo od domu, omotane mlecznymi kłębamii przelotnego dymu lokomotyw, patetycznie rysuje się bezlistne drzewo, nieruchome w wichrze. Naładowane towarowe wagony mijają je i z łoskotem ciągną na front.

Maria podniosła głowę znad książki. Smuga cienia leżała na jej czole i oczach i spływała wzdłuż policzka jak przejrzysty szal. Położyła ręce na grzybku, stojącym wśród pustych butelek, talerzy z niedojedzoną sałatką, brzuchatych, karmazynowych kieliszków o granatowych podstawkach. Ostre światło, które załamywało się na granicy przedmiotów, wsiąkało jak w dywan w niebieski dym, zalegający pokój, odpryskiwało od kruchych, łamliwych krawędzi szkiele i migotało we wnętrzu kieliszków jak złoty liść na wietrze — nabiegło strugą w jej dłonie, a one rozświetlona, różową kopułą zamknęły się szczelnie nad nim i tylko bardziej różowe linie między palcami pulsowały prawie niedostrzegalnie. Przyćmiony pokoik nappełnił się poufnym mrokiem, zbiegł się ku dłoniom i zmalował jak muszla.

— Patrz, nie ma granicy między światłem i cieniem — szepnęła Maria. — Cień jak przypływ podpełza do nóg, otacza nas i zacieśnia świat tylko do nas: jesteśmy ty i ja.

Pochyliłem się ku jej wargom, ku drobnym spękaniom, ukrytym w ich kącikach.

— Pulsujesz poezją jak drzewo sokiem — powiedziałem żartobliwie, otrząsając głowę z natrętnego, pijackiego szumu. — Uważaj, żeby świat ciebie nie zranił toporem.

Maria rozchyliła wargi. Między zębami drżał leciutko ciemny koniuszek języka: uśmiechała się. Kiedy mocniej zacisnęła palce wokół grzybka, błysk, leżący na dnie jej oczu, zmatowiał i zgasł.

— Poezja! Dla mnie to rzecz tak niepojęta jak słyszenie kształtu albo dotyk dźwięku. — Odchyliła się w zadumie na poręcz kozetki. W półcieniu czerwony, obcisły sweter nabrał purpurowej soczystości i tylko na grzbietach fałd, gdzie ślizgało się światło, lśnił karminową, puszystą barwą. — Ale tylko poezja umie wiernie pokazać człowieka. Myślę: pełnego człowieka.

Zabębniłem palcami o szkło kieliszka. Odezwał się kruchym, nietrwałym dźwiękiem.

— Nie wiem, Mario — rzekłem, wzruszywszy z powątpiewaniem ramionami. — Sądzę, iż miarą poezji, a może i religii, jest miłość człowieka do człowieka, którą one budzą. A to jest najbardziej obiektywnym sprawdzianem rzeczy.

— Miłość, oczywiście, że miłość! — powiedziała, mrużąc oczy, Maria.

Światło

Poezja

Za oknem, za spalonym domem, na szerokiej, przedzielonej skwerem ulicy, jeździły ze zgrzytem tramwaje. Elektryczne błyski rozświetlały fiolet nieba, jak odpryski z sinego pożaru magnezji przebijały przez mrok, oblewały księżycowym światłem dom, ulicę i bramę, ocierając się o czarne szyby okienne, spływały po nich i bezszelestnie gasły. Chwilę po nich gasł również wysoki, cienki śpiew tramwajowych szyn.

Za drzwiami, w drugim pokoiku, puszczono znowu patefon. Zdławiona, jakby grana na grzebieniu, melodia zacierała się w natarczywym szuraniu tańczących nóg i gardłowych śmiechach dziewczęcych.

— Jak widzisz, Mario, oprócz nas jest jeszcze inny świat — roześmiałem się i wstałem z kozetki. — To, widzisz, jest tak. Gdyby można była rozumieć cały świat, widzieć cały świat, tak jak się rozumie swoje myśli, czuje się swój głód, widzi się okno, bramę za oknem i chmury nad bramą, gdyby można było widzieć wszystko jednocześnie i ostatecznie, wtedy — powiedziałem z namysłem, okrążywszy kozetkę i stanąwszy pod rozgrzanym piecem między Marią a majolikowymi kafłami i workiem z kartoflami, zakupionymi w jesieni na zimę — wtedy miłość byłaby nie tylko miarą, ale i ostateczną instancją wszystkich rzeczy. Niestety, zdani jesteśmy na metodę prób, na samotne, zwodnicze przeżycie. Jakże to niepełna, jakże fałszywa miara rzeczy!

Drzwi od pokoiku z patefonem otworzyły się. Chwycąc się w takt melodii, wszedł Tomasz, oparty o ramię żony. Jej lekko ciężarny, a od wielu miesięcy stateczny brzuch cieszył się nieustającym zainteresowaniem przyjaciół. Tomasz podszedł do stołu i chwiał się nad nim rozrosłym, pękatym, masywnym jak u wołu łbem.

— Źle się starasz, bo wódki nie ma — rzekł z miękkim wyrzutem, starannie zlustrowawszy naczynia, i odpłynął, popychany przez żonę, w kierunku drzwi. Patrząc w nią tępyim wzrokiem jak w obraz. Mówiło się, że to zawodowo, gdyż handlował fałszywymi Corotami<sup>1</sup>, Noakowskimi<sup>2</sup> i Pankiewiczami<sup>3</sup>. Poza tym był redaktorem syndykalistycznego dwutygodnika i uważał się za radykalnego lewicowca. Wyszli na skrzypiący śnieg. Kłęby mroźnej pary przewinęły się po podłodze jak włochate motki białej bawełny.

W ślad za Tomaszem do kantoru majestatycznie wtoczyły się taneczne pary, pokręciły się sennie koło stołu, majolik i kartofli, starannie omijając zacieki pod oknem, i, zostawiwszy czerwone ślady od świeżo pastowanej posadzki, wróciły tam, skąd wyszły. Maria poderwała się od stołu, poprawiła automatycznym ruchem włosy i powiedziała:

— Muszę już iść, Tadeusz. Kierownik prosił, żeby zaczynać wcześniej.

— Masz jeszcze dobrą godzinę czasu — odrzekłem.

Okrągły zegar firmowy o pogiętej blaszanej tarczy tykał miarowo, zawieszony na długim sznurku między na wpół rozwiniętym plakatem, rysunkiem urojonego widnoką, a węglową kompozycją, przedstawiającą dziurkę od klucza, przez którą widać fragment kubistycznej sypialni.

— Wezmę Szekspira<sup>4</sup>, postaram się zrobić w nocy *Hamleta*<sup>5</sup> na wtorkowy komplet.

Przeszedłszy do drugiego pokoju, kucnęła przy książkach. Półka zbita była prymitywnie z nieheblowanych desek. Deski uginały się pod ciężarem książek. W powietrzu leżały błękitne i białe pasma dymu oraz unosił się ciężki zapach wódki, zmieszany z odorem ludzkiego potu i wapienną wonią wilgotnych, gnijących ścian. Chwiały się na nich, jak bielizna na wietrze, jaskrawo malowane kartony i, jak morskie dno, przeświecały się kolorowymi liniami meduz i koralu poprzez błękitny opar. W czarnym oknie, odgradzonej szybą od nocy, zaplątany w cienką koronkę franki, wyszachrowanej za psie pieniądze od złodziejki kolejowej, smętny, zapijaczony skrzypek (który uważał siebie za impotentą) na próżno usiłował jękiem instrumentu zagłuszyć charczenie patefonu. Zgarbiony jak pod workiem cementu, wydobywał ze skrzypiec z ponurą zaciętością jeden tylko pasaż. Od dwu godzin ćwiczył się do niedzielnego koncertu poetycko-muzycznego. Występował

<sup>1</sup>Corot, Jean-Baptiste-Camille (1796–1875) — francuski malarz, przedstawiciel realizmu. [przypis edytorski]

<sup>2</sup>Noakowski, Stanisław (1867–1928) — polski architekt, malarz, rysownik i historyk sztuki. [przypis edytorski]

<sup>3</sup>Pankiewicz, Józef (1866–1940) — polski malarz, grafik i pedagog. [przypis edytorski]

<sup>4</sup>Szekspir, William a. Shakespeare, William (1564–1616) — angielski poeta, dramaturg i aktor, jeden z najbardziej znanych pisarzy literatury angielskiej oraz reformatorów teatru. [przypis edytorski]

<sup>5</sup>Hamlet — tragedia Williama Szekspira z przełomu XVI i XVII wieku, jeden z najbardziej znanych dramatów. [przypis edytorski]

wtedy umyty, w wizytowym garniturze w paski, miał twarz melancholijną i oczy senne, jakby czytał z powietrza nuty.

Na stole, na obrusie w czerwone kwiaty, wyszachrowanym od złodziejki kolejowej, między kieliszkami, książkami i nadgryzionymi kanapkami leżały gołe i brudne nogi Apoloniusza. Apoloniusz huśtał się na krzeselku i, odwracając się do drewnianego, pomalowanego wapnem przed pluskwami tapczana, na którym, jak duszące się ryby na piasku, leżeli półpijani ludzie, donośnym głosem mówił:

— Czy Chrystus byłby dobrym żołnierzem? Nie, raczej dezserterem. Przynajmniej pierwsi chrześcijanie uciekali z armii. Nie chcieli się sprzeciwiać złu.

— Ja się sprzeciwiam złu — rzekł leniwie Piotr. Leżał, rozwalony, między dwiema rozmamlanymi dziewczynami i gmerał rękoma w ich fryzurach. — Zdejm nogi ze stołu albo je umyj.

— Umyj nogi, Polek — rzekła dziewczyna spod ściany. Miała grube, rozlane uda i czerwone, mięsiste wargi.

— Ale! Chcielibyście. Uważacie, był taki szczep Wandalów<sup>6</sup>, bardzo tchórzliwy — ciągnął Apoloniusz, zesunawszy piętą talerze na kupę — wszyscy ich tłukli i z Danii czy z Węgier wygnali do Hiszpanii. Tam Wandale wsiedli na okręty, pojechali do Afryki i doszli piechotą pod Kartaginę<sup>7</sup>, gdzie biskupem był święty Augustyn<sup>8</sup>, ten od świętej Moniki<sup>9</sup>.

— A wtedy święty wyjechał na osłe i nawrócił Wandalów — powiedział spod pieca młodzieniec, pyknawszy z fajki. Wydymał pulchne, różowe policzki, pokryte złocistym puszkciem jak owoc brzoskwini. Pod oczyma miał wielkie sińce. Pianista, dłuższy czas żył z pianistką o uroczych dołkach w buzi i drapieżnym, namiętym spojrzeniu. Latem ochrzciliśmy go (bo był wyznania narodowego) przy zapalonych świecach, wiechciach kwiatów i miednicy chłodnej, kaplicznej wody, którą zapobiegliwy ksiądz umył mu dokładnie głowę, a zaraz po chrzcie na najruchliwszym punkcie Grójeckiej<sup>10</sup> wymigiwaliśmy się od łapanki ulicznej. Pożeniliśmy ich nierychło, bo dopiero późną zimą. Rodzice odmawiali błogosławieństwa ze względu na mezalians. Wprawdzie ustąpili i użyzyli muzykom pokoju do spania i fortepianu do ćwiczeń oraz kuchni do produkcji bimbrowa, ale nie zechcieli zaprosić na wesele przyjaciół, więc przyjaciele weselisko urządzili sami. Panna młoda w sztywnej niebieskiej sukni siedziała w fotelu nieruchomo, jakby połknęła kij. Była senna, zmęczona i pijana.

— Miło tu u was, bardzo miło, wiesz? — Żydóweczka, która uciekła z getta i tej nocy nie miała gdzie spać, uklękła koło Marii przy książkach i objęła ją ramieniem. — To dziwne, tak dawno nie miałam w ręku szczoteczki do zębów, kanapki, filiżanki z herbatą, książki. Wicie, to trudno nawet określić. I wciąż to uczucie, że trzeba odejść. Ja się panicznie boję!

Maria pogłaskała ją, milcząc, po ptasiej głowie, ozdobionej lśniąco falami przylianych włosów.

— Przecież pani była pieśniarką? Chyba niczego pani nie brakowało. — Miała na sobie żółtą sukienkę w chryzantemy, z wyzywającym dekoltem. Zza niego wychylała się zalotnie kremowa koronka koszulki. Na długim łańcuszku kołysał się między piersiami złoty krzyżyk.

— Brakowało? Nie, nie brakowało — odrzekła z błyskiem zdziwienia w załamanych, krowich oczach. Miała szerokie, rozłożyste biodra, dobre do rodzenia. — Niech pan zrozumie, z artystkami nawet Niemcy inaczej... — urwała i zamyśliła się, patrząc tępo

Książka, Kondycja ludzka,  
Żyd

<sup>6</sup>Wandalowie — grupa plemion wschodniogermańskich, zamieszkująca przed wielką wędrówką ludów Europę Środkową. [przypis edytorski]

<sup>7</sup>Kartagina — starożytne miasto w Afryce Północnej, na wybrzeżu Morza Śródziemnego, założone w IX w. p.n.e. przez Fenicjan. [przypis edytorski]

<sup>8</sup>św. Augustyn a. Augustyn z Hippony (354–430) — filozof, teolog, pisarz i święty. [przypis edytorski]

<sup>9</sup>św. Monika a. Monika z Hippony (ok. 332–387) — święta Kościoła katolickiego, matka św. Augustyna. [przypis edytorski]

<sup>10</sup>Grójecka — główna ulica warszawskiej dzielnicy Ochota. [przypis edytorski]

w książki. — Platon<sup>11</sup>, Tomasz z Akwinu<sup>12</sup>, Montaigne<sup>13</sup> — dotykała polakierowanym na purpurowo paznokciem obszarpanych grzbietów, kupionych na wózkach i wykradzionych z antykwariatu, książek.

— Tylko, żeby pan widział to, co ja widziałam za murami.

— Augustyn napisał sześćdziesiąt trzy książki! Kiedy Wandalowie oblegli Kartaginę, robił właśnie korektę i przy niej umarł! — rzekł maniakcko Apoloniusz. — Po Wandalach nie zostało nic, a Augustyna dzisiaj czytają. *Ergo*<sup>14</sup> — wojna minie, a poezja zostanie, a wraz z nią zostaną moje winiety!

Pod sufitem suszyły się na sznurach okładki tomiku poetyckiego. Ciągnęło od nich tęgą farbą drukarską. Światło przebijało się przez czarne i czerwone płaszczyzny pakowego papieru i płatało się wśród kartek jak w gąszczu leśnym. Okładki szeleściły jak suche liście.

Żydóweczka podeszła do patefonu i zmieniła płytę.

— A ja myślę, że po aryjskiej stronie też będzie getto — powiedziała, patrząc z ukosa na Marię. — Tylko nie będzie z niego wyjścia. — Odplynęła w tańcu, zabrana przez Piotra.

— Ona jest zdenerwowana — rzekła cicho Maria. — Jej rodzina została za murami.

Igła trafiła na pęknięcie w płycie i zawodziła monotonna. We drzwiach stanął zarumieniony Tomasz. Jego żona poprawiła sukienkę na lekko wypukłym brzuchu.

— Jeszcze tylko kilka ciężkich chmur nieporozpychanych nozdrzem konia<sup>15</sup> — zadeklamował i, wskazawszy ręką za okno, na bramę, krzyknął z uczuciem: — Koń, koń!

W kręgu złotawego światła znad drzwi śnieg, oślepiająco biały i gładki, leżał jak talerz na popielatym obrusie, dalej, w cieniu, szarzał i siniał, jakby odbijał niebo, aż dopiero przy furtce mienił się w blasku lampy ulicznej. Załadowana jak wóz z sianem platforma stała w ciemności, nieruchoma jak góra. Czerwona latarnia kołysała się pod kołami, kładąc na śnieg rozchwiane cienie, oświetlając nogi i podbrzusze konia, który wydawał się wyższy i cięższy niż zazwyczaj. Szły od niego kłęby pary, jakby oddychał skórą. Zwiesił łeb, był zmęczony.

Furman stał obok wozu i cierpliwie czekał, zabijając rękoma o pierś. Kiedy odciągnęliśmy z Tomaszem skrzydła bramy, sięgnął bez pośpiechu po bat, machnął lejcami i cmoknął. Koń poderwał łeb, szarpnął się całym ciałem na boki, ale wóz nie ruszył. Przednie koła utkwily w rynsztoku.

— Za pysk, cholerę, i do tyłu — rzekłem ze znanstwem. — Zaraz położę deskę do rynsztoka.

— K'sobie<sup>16</sup>! — krzyknął furman, napierając na dyszel. Żandarm w niebieskim płaszczu, pilnujący sąsiedniego budynku byłej szkoły miejskiej, napakowanej jak więzienie ochotnikami, przeznaczonymi na roboty do Prus<sup>17</sup>, bijąc tępo podkutymi butami o kamienie chodnika, nadszedł od strony latarni. Przez pierś miał przewieszony reflektor na rzemieniach. Podkreślił kontakt i uprzejmie zaświecił.

— Za dużo kłopotów naładowane — rzekł rzeczowo. Spod okapu hełmu, z głębokiego cienia oczy jego błyszczwały nad strugą światła ostro jak wilcze ślepie. Co dzień rano przychodził do kantoru telefonować po zmianę warty i nieodmiennie meldował, że nic ważnego w ciągu nocy nie zaszło.

Koń chrapnął, osadził się na tylnych nogach, napał ciałem do tyłu i platforma dźwignęła się po kocich łbach. Teraz koń pociągnął ku przodowi. Wóz, naładowany po wierzch jak krypa<sup>18</sup> walizami, tłomokami, betami, meblami i brzęczącymi naczyniami z aluminium, chwiejąc się, wjechał po deskach na podwórze. Żandarm zgasił reflektor, poprawił na sobie pasy i miarowym krokiem oddalił się w stronę szkoły. Zwykle ją mijał, dochodził

<sup>11</sup>Platon (424/423–348/347 p.n.e.) — filozof starogrecki, twórca podstaw idealizmu i racjonalizmu. [przypis edytorski]

<sup>12</sup>Tomasz z Akwinu (ok. 1225–1274) — filozof scholastyczny, teolog, członek zakonu dominikanów i święty Kościoła katolickiego. [przypis edytorski]

<sup>13</sup>Montaigne, Michel de (1533–1592) — francuski pisarz i filozof-humanista. [przypis edytorski]

<sup>14</sup>*ergo* (łac.) — zatem, więc. [przypis edytorski]

<sup>15</sup>*Jeszcze tylko kilka ciężkich chmur nieporozpychanych nozdrzem konia* — fragment utworu Cypriana Kamila Norwida (1821–1883) pt. *Święty-pokój*. [przypis edytorski]

<sup>16</sup>*k'sobie* (daw.) — ku sobie. [przypis edytorski]

<sup>17</sup>Prusy — region historyczny między dolnym Niemnem a dolną Wisłą. [przypis edytorski]

<sup>18</sup>*krypa* — duża, otwarta łódź, używana do przewozu piasku, żwiru etc. [przypis edytorski]

do małego kościółka księży pallotynów<sup>19</sup> (częściowo spalonego we wrześniu i odnawianego pieczołowicie a nieustannie w ciągu całego sezonu materiałami z naszej firmy), skręcał pod gnijącym murem schroniska dla bezrobotnych, mieszczącego się w pofabrycznych halach tuż przy torze kolejowym. Był to ruchliwy port przeładunkowy, tędy bowiem płynęły belami i pojedynczo koce, kupony materiałów, ciepłe ubrania, skarpety, konserwy, serwisy, franki, obrusy i ręczniki oraz wszelkie inne dobro, kradzione z pociągów towarowych, idących na front, a także kupowane od obsługi wagonów sanitarnych, które, wracając z frontu z zegarkami, jedzeniem, rannymi, bielizną i częściami do maszyn, meblami i zbożem zatrzymywały się często na dworcu jak przy mołu portowym.

Furman trzasnął jeszcze raz dla fantazji batem, cofnął konia i podjechał tyłem pod drewnianą szopę. Koń robił bokami i dymił parą. Odprężony z szorstką czułością przez woźnicę, powstał chwilę w dyszlach, jakby znużony ponad siły, wreszcie, podgoniony ostro, ruszył wolno pod kran i wetknął pysk w kubel. Wypiwszy do dna, nadsiorbnął wody z drugiego i, włócząc za sobą uprząż, poszedł w stronę otwartych drzwi stajni.

— Sporo przywoziłeś, Olek — rzekłem, rozejrzawszy się w zasobach platformy.

— Wszystko kazala zabrać — rzekł woźnica. — Patrz pan, załadowałem nawet taborety z kuchni i półki z łazienki. Stara stała nade mną jak kat nad dobrą duszą.

— Nie bała się tak w biały dzień?

— Pozwolenie dla niej dostał zięć od swego kolegi — rzekł Olek. Twarz miał kościstą, wychudłą, ściągniętą mrozem. Zrzucił czapkę. Sztywne od wapna włosy rozmierzwiły mu się nad czołem.

— A córka?

— Została z mężem. Klóciła się ze starą, że musi zostać jeszcze dzień. — Popluł w żylaste, wykrzywione dłonie, zżarte od cementu, wapna i gipsu.

— Ano, będziem zdejmować. — Wlazł na wóz, rozplątał sznury i począł podawać jedno po drugim krzeselka, wazon, poduszki, kosze z bielizną, pudła staroświeckie, osznurowane książki. Chwytałyśmy je z Tomaszem i na cztery ręce wnosiliśmy do zatęchłej, ciemnej szopy, układając towar na betonie między workami z na wpół skamieniałym cementem, stosem cuchnącej smołą czarnej papy a kupą suchego wapna, przeznaczonego na detaliczną sprzedaż chłopom. Wapno cienkim pyłem unosiło się w powietrzu i gryzło nieznośnie nozdrza. Tomasz sapał spazmatycznie. Był chory na serce.

— Powiedz pan, po co ją kierownik wziął do siebie? — zapytał woźnica, skończywszy ładunek.

— Zrobiła go człowiekiem, to się jej wywdzięcza. — Zasułem drzwi szopy i zamknąłem je na kłódkę.

— Wdzięczność jest rzeczą piękną — rzekł Tomasz. Oddychał miarowo, wciągając głęboko powietrze. Chwytał w garście śnieg i mył nim dłonie. Wytarł je o spodnie.

— Taa... narobiłem się dzisiaj — powiedział furman, zniżając z platformy. Nie mógł się swobodnie ruszać w twardym kozuchu, pokrytym skorupą wapna, smoły i dziegciu<sup>20</sup>. Oparł się o wóz, z ulgą pociągnął nosem i otarł ręką czoło. — Panie Tadku, panie Tadku, co ja tam widziałem, to byś pan nie uwierzył. Dzieciaki, kobity... Chociaż i żydowskie, ale wiesz pan...

— Ale pan jakoś wyjechałeś szczęśliwie?

— Inżynier nas widział po drodze. Będzie co z tego?

— Ale — rzekłem lekceważąco — co nam te ciapciaki mogą zrobić? Jak kierownik chce kupić filię, to muszą z nim dobrze, nie? Pojedziesz z rana z kursem. Metr wapna na lewo. Wrócisz przed siódmą.

— Ano, trzeba rano z dołu wyrzucić. Konia oporządę. — Powłókł się w ślad za zwierzęciem do stajni. Przechodząc koło kantoru, uchylił czapki.

W złotym kręgu światła jak w aureoli, otoczona jak dłońmi siną nocą, połyskującą pierścieniem gwiazd, stała Maria. Przymknęła za sobą drzwi od muzyki i ludzi i wyciekając patrzyła w mrok. Otrzeptałem ręce z kurzu.

<sup>19</sup>pallotyni — właśc. Stowarzyszenie Apostolstwa Katolickiego, katolicka wspólnota księży i braci, założona przez św. Wincentego Pallottiego (1795–1850) w XIX wieku. [przypis edytorski]

<sup>20</sup>dziegieć — brunatna gęsta ciecz, otrzymywana w procesie destylacji drewna. [przypis edytorski]

— A jak jutro z rozlewaniem i rozwieżeniem? — Ująłem ją pod ramię i po chrupiącym, czerstwym śniegu poprowadziłem wydeptaną ścieżką do furtki. — Może poczekasz do południa? Rozwiewimy razem.

Staliśmy w otwartej furtce. Po pustej ulicy, otwartej migocącym światłem latarni, tępy krokiem spacerował żandarm w niebieskim płaszczu, pilnujący szkoły. Nad ulicą, nad światłem latarni, nad stromym dachem wtulonej w mur szopy siedł z szumem wiatr, niósł dym pociągów, gnały pierzaste obłoki, a nad wiatrem i chmurami drżało niebo głębokie jak dno ciemnego potoku. Księżyc prześwitywał przez chmury jak złoty szmat piasku.

Maria uśmiechnęła się czule.

— Wiesz dobrze, że sama rozwiozę — rzekła z wyrzutem, podając mi usta do pocałunku. Wielki czarny kapelusz ocieniał jej twarz jak skrzydłem. Była o pół głowy wyższa ode mnie. Nie lubiłem przy obcych jej pocałunków.

— Widzisz, solipsysto<sup>21</sup> poetycki, co może miłość — rzekł pogodnie Tomasz. — Bo miłość to poświęcenie. Mówię z głębi doświadczenia, bom wiele miał kochanek.

Zmierch, który zaciera rysy człowieka, nadał mu bryłowatość i ciężar, jakby Tomasz był ociosanym z grubsza kamieniem. Pieprzyk pod lewym okiem czerniał filuternie na monumentalnej, jakby kutej z szarego piaskowca, twarzy.

— Oczywiście, że miłość! — parsknęła beztrioskim śmiechem Maria i, dygnawszy nam dystyngowanie, odeszła ulicą wzdłuż siatki, naprzeciw chmurom, które wiatr gnał nad naszymi głowami. Minęła sklep paskarza<sup>22</sup>, gdzie nabywałem chleb i kaszankę na śniadanie, a chłop swoje dzieci, zamknięte w szkole. Znikła za rogiem, nie obejrzawszy się. Patrzyłem za nią jeszcze chwilę, jakby tropiąc w powietrzu jej ślad.

— Miłość, oczywiście, że miłość! — powiedziałem, uśmiechając się do Tomasza.

— Daj furmanowi wódki, jeżeli masz gdzie pod łóżkiem — rzekł Tomasz. — Chodź, trzeba zbratać się z ludem.

## II

Nocą spadło trochę śniegu. Zanim otworzyłem oficjalnie bramę na znak rozpoczęcia dnia handlu, wyprawiwszy pijanych gości i sprzątnawszy pokój, furman, który wstał przed świtem, zdążył wyrzucić wapno z dołu i zawieźć na budowę, a, wróciwszy z kursu, wyprząc konia i usunąć z placu ślady kół. Tak wczesnym rankiem na dworze było jeszcze sinawo, a na ulicy — pusto. Z torów kolejowych dochodził grzechot pociągów. Patrolujący żandarm poszarzał i zmalął w odpływającym mroku, który go zostawił na wybrzeżu wyludnionej ulicy jak zapomniany wodorost. W oknach byłej szkoły zaczynały pojawiać się głowy uwięzionych ludzi. W paskarskim sklepiku, przy składzie, grzali się przy rozżarzonego piecyku dwaj granatowi policjanci. Mrugający po pijacku czerwonymi oczyma sklepikarz rozkładał drżącymi rękoma na ladzie za szkłem ser, kaszę i chleb. Chłopka wyciągnęła z koszyka pęta kielbasy, które zniknęły pod ladą w podwójnej ścianie. Przez zamarzniete szyby sączył się szary świt. Po zardzewiałych kratkach spływały brudne krople, monotonnie spadały na parapet i ciurkiem lały się na podłogę.

Latem, jesienią, zimą i wiosną — uliczka ślepa, wybrukowana kocimi łbami, śmierdząca zgnilizną otwartych rynsztoków, uliczka zagubiona między grząskim jak przegniły trup polem a szeregiem zmurszałych, parterowych domków, mieszczących pralnię, fryzjera, mydlarnię, parę sklepików spożywczych i obskurny bar — dzień w dzień pęczniała wzbierającym, rozfalowanym tłumem, który podpływał pod betonowe mury szkoły, wyciągał twarze ku nowoczesnym oknom, ku pokrytemu czerwoną karpiówką<sup>23</sup> dachowi, podnosił głowy, wymachiwał rękoma i krzyczał. Z otwartych okien szkoły wołano i dawano białymi dłońmi znaki jak z odbijającego od brzegu okrętu. Ujęty jak w groble w dwa szeregi policjantów tłum odpływał korytem ulicy, odchodził aż do placu, leżącego u jej wylotu, skąd otwierała się miła oczom perspektywa na zapuszczone mielizny nad rzeką, porośnięte kępami postrzępionej wikliny i pokryte z rzadka liszajami śniegu, na most

<sup>21</sup>solipsyzm — pogląd, głoszący, że istnieje jedynie jednostkowy podmiot poznający, a cała rzeczywistość jest tylko zbiorem jego subiektywnych wrażeń. [przypis edytorski]

<sup>22</sup>paskarz (pot.) — osoba czerpiąca zysk ze sprzedaży towarów, brakujących na rynku, po zawyżonych cenach. [przypis edytorski]

<sup>23</sup>karpiówka — rodzaj dachówki ceramicznej. [przypis edytorski]

nad leżącą na migotliwym nurcie mgłą, na żółte, pastelowe domy miasta, roztopiające się w czystym, spokojnym, błękitnym niebie — kłębił się rozpaczliwie na placu i znowu powracał z krzykiem.

Paskarski sklepik był małą, zaciszną zatoką. Nad szklanką bimbrow z buraków bratali się przy ladzie policjanci z chłopami i handlowali ludźmi ze szkoły. Nocą policjanci wysadzali przez okno szkoły towar, który albo natychmiast zniknął w zakamarkach ulicy, albo, kalecząc się nieludzko, przełaził przez druty kolczaste na plac naszej firmy budowlanej, gdzie wałęsał się aż do rana, gdyż kantor był oczywiście zamknięty. Zwykle były to dziewczęta. Łaziły bezradnie po podwórzu, oglądając kupy piasku, zwały gliny, sześciiany cegieł, trocinówek<sup>24</sup>, szpaltówek<sup>25</sup>, ramsayek, zachodziły do sąsiedków<sup>26</sup> z grysikiem<sup>27</sup>, którego różne odcienie i wielkości używane były na schody oraz nagrobki, i załatwiały się tam beztrudno. Obudziwszy się, wyrzucałem je bardzo altruistycznie za bramę, a korzyści z procederu, oprócz policjantów (i pewnie nieprzystępnego, obcego płaskim, ludzkim sprawom żandarma), ciągnął wyłącznie sąsiad, sklepikarz. Nie odczuwał jednak ani obowiązku, ani potrzeby wdzięczności. Dzień w dzień wpadałem do niego po ćwiartkę razowego chleba, dziesięć deka kiszki kaszanej i dwa deka masła. Z reguły mi nie doważał, a cenę wydatnie zaokrąglął. Uśmiechał się wstydliwie, ale ręka drżała mu przy zgarnianiu pieniędzy.

Zresztą, on nie dolewał do pełna setki bimbrow, nie doważał deka masła, ciął chleb na nierówne części i wyciskał z chłopów bezlitośnie forszę za każdą wypuszczoną na lewo dziewczynę, gdyż chciał żyć sam, miał żonę, synka w drugiej gimnazjalnej i dorastającą córkę, uczennicę kompletu licealnego, odczuwającą nęcące powaby stroju, urok chłopców, smak nauki i czar konspiracji; firma budowlana zaś sprzedawała, tak chłopom, jak inżynierom, mokry ton<sup>28</sup>, skamieniały cement, mieszała wapno z wodą, a lepek z piaskiem, a także, odbierając wagony z towarem, stwierdzała, przy cichym zrozumieniu magazyniera kolejowego, poważne manko, co natychmiast wpisywało się w księgi. Dostawca urzędowy nabierał w usta wody, miał bowiem z firmą osobne rachunki, których nie księgowano nigdzie.

Firma budowlana! Ona jak dojna i cierpliwa krowa rozdawała wszystkim utrzymanie. Prawowity jej właściciel, brzuchacz opięty kraciastą kamizelką z brelokiem, patriarchalnie siwy, apoplektycznie nerwowy Inżynier z brodą w klin, na utrzymanie żony dewotki, trwoniącej pieniądze na żebraków, kościoły i zakonników, oraz syna erotomana ciągnął z niej w czasach wielkiego głodu (kiedy jedliśmy obierki i przydziałowy chleb z solą) grube tysiące jak mleko z wymion, rozbudował składy w centrali, wydzierżawił plac po spalonej we wrześniu firmie i założył na nim filię swojego przedsiębiorstwa, kupił dworski pojazd, cugowego<sup>29</sup> konia ze strzyżonym ogonem, wynajął woźnicę, nabył za pół miliona majątek ziemski pod stolicą, wprowadził nieco zaniedbany i podupadły, ale nadający się do polowań (miał bowiem spory kawał lasu) i uprzemysłowienia (posiadał glinę), wreszcie w trzecim roku wojny rozpoczął i pomyślnie poprowadził pertraktacje ze wschodnią koleją niemiecką<sup>30</sup> o zakup i rozbudowę własnej boczniczy kolejowej i postawienie przy niej magazynów przeładunkowych.

Równie pomyślnie układały się losy pracowników Inżyniera. Wprawdzie ustawodawstwo okupacyjne zabraniało Inżynierowi wypłacać tygodniówki ponad 73 złote, jednak Inżynier kilkunastu swoim ludziom dawał z własnej inicjatywy prawie sto złotych tygodniowo bez odtrącenia kosztów, podatków i świadczeń. W wypadkach nagłych, jak wywózka rodziny do lagru<sup>31</sup>, choroba albo łapówka, nie uchylał się wcale od obowiązku. Przez trzy miesiące finansował moje studia na podziemnym uniwersytecie, stawiając mi tylko jeden warunek: abym uczył się dla Ojczyzny.

Filia urzędników się inaczej. Furmani sprzedawali wapno na ulicy, dowożąc na budowę niepełne metry. Odrabiali prywatne kursy. Kradli z kolei. Ja z początku wynosiłem

Interes, Handel, Kondycja  
ludzka

Praca, Handel, Interes,  
Wojna

<sup>24</sup>trocinówka — cegła, zrobiona z gliny i trocin. [przypis edytorski]

<sup>25</sup>szpaltówka — cienki płat wyprawionej skóry. [przypis edytorski]

<sup>26</sup>sąsied — część stodoły a. spichrze, gdzie składa się zboże, siano, słomę etc. [przypis edytorski]

<sup>27</sup>grysik — tu: drobne kruszywo kamienne. [przypis edytorski]

<sup>28</sup>ton — tu: biała glina, używana do malowania ścian. [przypis edytorski]

<sup>29</sup>cugowy — tu: zaprzęgowy. [przypis edytorski]

<sup>30</sup>wschodnia kolej niemiecka — właśc. Pruska Kolej Wschodnia, linia kolejowa długości ok. 740 km, łącząca Berlin z Królewcem. [przypis edytorski]

<sup>31</sup>lager — w gwarze obozowej: niemiecki obóz koncentracyjny. [przypis edytorski]



ze składu ton i kredę koszykiem i sprzedawałem je w mydlarniach okolicznych, jednakże, żywszy się z kierownikiem serdeczniej, wszedłem z nim w spółkę, podzieliłem teren pracy i uzgodniłem sposób księgowania. Wiązała nas również produkcja bimbru, odbywająca się moim kosztem w mieszkaniu kierownika. Oddawszy mi lwi udział z detalicznej sprzedaży, kierownik pograżył się w szerokich interesach, wykorzystując firmę jako punkt przelotowy, a telefon składu jako niezawodny sposób komunikacyjny. Kierownik znał się na złocie i kosztownościach, sprzedawał i nabywał meble, znał adresy pośredników mieszkaniowych, a nawet sam handlował lokalami, miał stosunki ze złodziejami kolejowymi i ułatwiał im kontakty ze sklepami komisowymi, przyjaźnił się z szoferami i sprzedawcami części samochodowych, prowadził także ożywioną wymianę z gettem. Uprawiał handel z wielkim lękiem, jakby przez siłę, wbrew własnemu poczuciu prawa. Odczuwał dotkliwą nostalgię za bezpiecznymi czasami przedwojennymi. Pracował wtedy jako magazynier w przedsiębiorstwie żydowskim. Pod okiem czujnej właścicielki wyrabiał się uparcie na ludzi, kupił auto sportowe i zarabiał taksówką do trzystu złotych dziennie, odliczywszy dniówkę szofera. Wkrótce nabył pod miastem przy autostradzie jedną parcelę budowlaną, a na parę miesięcy przed wojną — drugą na bliskim przedmieściu. Rozumiał, że czyni to w zgodzie z prawem ludzkim, i żył pełnią życia, bez dokuczliwych rozterek duchowych. Z dorobku tych czasów ocalił place i walutę oraz głębokie przywiązanie do starej doktorowej.

Stara siedziała na miejscu Marii w nogach drewnianego tapczanu. Twarz miała ziemistą, zrujnowaną, pustą jak wyludnione miasto. Ubrana była w czarną jedwabną suknię, wytartą i błyszczącą na łokciach. Na szyi miała aksamitną szeroką wstążkę, a na głowie staroświecki kapelusz, ozdobiony bukietem fiołków, spod którego wymykały się pasma rzadkich, siwych włosów. Na kolanach trzymała starannie złożone palto z wylenianym kołnierzem. Odziana była zbyt biednie jak na przedwojenną właścicielkę ogromnego składu towarów budowlanych, paru ciężarowych samochodów, własnej odnogi kolejowej, dziesiątków robotników i niewyczerpanego konta w bankach krajowych i szwajcarskich, zbyt biednie nawet jak na posiadaczkę platformy wszelakiego bagażu, wielu precyzyjnych maszyn do liczenia, zapobiegliwie i przezornie oddanych do przechowania do konsulatu szwajcarskiego, nie mówiąc już o złocie i brylantach, które — według wyobrażenia ludzi ze strony aryjskiej — każdy Żyd przynosił z getta. Ubrana była biednie, siedziała skromnie w kącie. Wzrok utkwiła pod sufitem, oglądając pajęczynę na górnej półce książek. Pajęczyna się kołysała, bo pająk piał się do góry.

— Jasieńku, zatelefonują, co? — rzekła stara do kierownika po długim milczeniu. Ze zdziwieniem poderwałem głowę znad książki o czasach i zabobonach średniowiecznych. Mówiła chropawym szeptem, jakby tarł kamieniem o kamień. Świszczący szept wydobywał się z gardła wraz z oddechem. Dwa masywne złote rzędy zębów błyszczwały w ustach, zdawało się, że kłapnęły, niemal że zadźwięczały. — Bo powinni dać znać, czy przyjdą. Prawda, że powinni? — Skierowała na niego wyblakłe, martwe, jakby zamarżłe oczy.

— A, to trzeba lepiej zaczekać, pani doktorowo — rzekł stanowczo kierownik. Pracowicie wychuchał w oblodzonej szybie otwór i, przechylając głowę, jednym okiem spoglądał z ukosa na plac, na otwartą bramę, na ulicę, która wzbierała już tłumami, bębnił palcami po ramie okiennej, czekał na klienta.

— Przecież pan dyrektor obiecał telefonować. Wyjdzie pewnie dzisiaj razem z córeczką pani doktorowej.

— Jasio tylko tak mówi. A jeżeli im się nie uda, Jasieńku? — Przeniosła znowu wzrok z sufitu na okno. Zwiędłe, pokurczone, robaczywe dłonie położyła na żółtej chustce, zacisnęła palce, jakby ją chciała zerwać z ramion, i bezwładnie opuściła na kolana.

— Co też pani doktorowa mówi! — gwizdnął niedowierzająco kierownik. Poglądał bujne, złociste, falujące włosy, odrzucając je niecierpliwym ruchem głowy. Spod mankietu popelinowej koszuli odsłonił się przy tym ruchu złoty Longines<sup>32</sup>, podłużny, wygięty, dopasowany do okrągłości przegubu, pamiątka po dobrych czasach w firmie na Towarowej<sup>33</sup>.

<sup>32</sup>Longines — szwajcarska firma, produkująca luksusowe zegarki. [przypis edytorski]

<sup>33</sup>Towarowa — ulica w warszawskiej dzielnicy Wola. [przypis edytorski]

Żyd, Starość, Kobieta

Żyd, Wojna, Rodzina,  
Strach

— Co pani doktorowa myśli! Zięć, dyrektor w szopach, może wyjść, kiedy zechce! Pozałatwia, co trzeba, portfel do kieszeni i — fiuuu! Tyle go zobaczą! Co pani się martwi, jak wyjdą? — Przysunął sobie krzeselko i usiadł, wyciągając wygodnie nogi w długich oficerskich butach. — Tu trzeba myśleć, skąd kupić mieszkanie! Pani doktorowa wie, ile żądają? Pięćdziesiąt tysięcy! Dobrze, że człowiek w pierwszym roku wojny kupił sobie jaki kąt, bo co by robił? Na sublokatorce by żył? Do kwaterunku by poszedł?

— Jasio sobie radę da! — szepnęła doktorowa i uśmiechnęła się lekko kącikami ust.

— Człowiek ma, chwałąc Boga, ręce i nogi, myśli, jak, gdzie może chapsnąć, i dlatego żyje! Panie Tadziku — przechylił się do mnie — pańska narzeczona wygotowała dwa-dzieścia pięć litrów. Oszczędna dziewczyna! Buzi dać! I węgla wypaliła o połowę mniej. Robotna, nie ma co!

— Telefonowała — bąknąłem znad książki. — Pojechała na miasto rozwozić bimber. Powinna wrócić niedługo.

Między piecem a wieszakiem było mrocznawo, ale ciepło. Rozgrzane plecy łaskotały rozkosznie. Głowa ciążyła mi i szumiała. Odbijało mi się wódką i jajkami. Książka o średniowiecznych klasztorach budziła na wpół senne marzenia o ciemnych celach, gdzie wśród zabobonów ludu, rzezi szczepów i pożarów miast dokonywała się praca ocalenia ducha ludzkiego.

— Jasińku, czy walizki są w porządku? — szepnęła stara głucho jak z dna studni. — Bo Jasio wie, że to jedyny teraz majątek córki. Ona jest taka niezaradna. Przyzwyczaiła się do opieki matki.

Wygrzewając się pod piecem, zapatrzyłem się w podłogę. Koc spuszczone z tapczanu nie sięgał zapastowanych na czerwono desek. Widać było spod niego czarną przykrywkę Remingtona<sup>34</sup>. Wziąłem maszynę z szopy, aby nie zamokła, i wstawiłem na wszelki wypadek pod łóżko.

— Pani doktorowo, u nas wszystko musi być w porządku — kierownik zatarł z przyzwyczajenia ręce i patrzył chwilę na mnie — w porządeczku jak w ubezpieczalni. Cóż to, pani doktorowa mnie nie zna?

— A jak oni tu mnie nie znajdują? Uliczka jest taka mała i na peryferiach — zaniepokoiła się nagle stara. — Zatelefonuję — zdecydowała i poruszyła się na tapczanie.

— Zwariowała pani doktorowa na starość? — parsknął nagle kierownik i gniewnie zmrużył serdeczne, niebieskie oczy, przykrył je prawie rzęsami koloru słomy. — Niemców na głowę sprowadzić? Dać im podsłuchać? Owszem, ale nie od nas!

Stara nastroszyła się i nadęła jak obudzona zniecka sowa. Splotła ręce na piersiach, jakby jej było zimno. Machinalnie obracała w palcach broszkę, przypiętą do sukni.

— Jakże się pani przedostała do nas? — zapytałem, aby podtrzymać rozmowę.

Drzwi kantoru trzasnęły. Klient zatupołał nogami, objijając z butów śnieg. Kierownik kopnął krzesło i wyszedł do klienta. Stara podniosła na mnie puste oczy.

— Dwadzieścia siedem razy byłem w blokadzie ulic. Wie, co to blokada? Pewno nie bardzo wie? No nic — zachrypiała w przejęciu, kiwając przyjaźnie ręką. — Mieliśmy kryjówkę za szafą w takiej specjalnej niszy. Dwadzieścia osób! Małe dzieci się nauczyły, to jak żołnierze chodzili i bili kolbami o ściany, i jak strzelali, to małe dzieci tylko milczały i patrzyły takimi otwartymi oczyma, wie? Czy oni zdążą wyjść?

Podszedłem do półki z książkami. Włożyłem książkę między średniowiecze. Obejrzałem się na starą.

— Dzieci? — zdziwiłem się.

— Nie, nie, nie! Tam dzieci, co dzieci! Zięć i córka czy wyjdą! On żyje w wielkiej przyjaźni z szefem. Jeszcze z uniwersytetu w Heidelbergu<sup>35</sup>.

— Czemu nie wyszedł z panią?

— On tam ma interesa. Jeszcze dzień, jeszcze dwa... Tam się wszystko kończy. Ciągłe *aus*<sup>36</sup>, *aus*, *aus*! Pusto w domach, pierze na ulicach, a ludzi wywożą, wywożą...

Zadyszala się i zamilkła.

<sup>34</sup>Remington — amerykańska maszyna do pisania. [przypis edytorski]

<sup>35</sup>Heidelberg — miasto na prawach powiatu w Niemczech, w kraju związkowym Badenia-Wirtembergia; znajduje się tutaj najstarszy uniwersytet niemiecki (Uniwersytet Ruprechta i Karola). [przypis edytorski]

<sup>36</sup>*aus* (niem.) — tu: wynocha. [przypis edytorski]

Zza drzwi dochodziły brzękliwe, przekomarzające się głosy. Klient i kierownik ustalili cenę dostawy drzewa z pożydowskich domów z getta otwockiego, sprzedanych przez Kreishauptmanna<sup>37</sup> hurtem polskiemu przedsiębiorcy. Skrzypnęły drzwi, wyszli do sklepu przypięć transakcję. Kierownik był abstynentem, ale dawał się skusić przy szczególnie pomyslnych wydarzeniach.

— Ja bym chciała do swoich rzeczy — rzekła nagle stara. Odrzuciła palto z kolan i z pośpiechem podreptała na dwór.

Urzędniczka w kantorze uśmiechnęła się do mnie zza stołu. Drobna i sucha, umieściła się wygodnie na kozetce. Cały dzień czytała brukowe romanse. Nasłał ją Inżynier, aby pilnowała kasy. Z jego kalkulacji wynikało, że firma daje zbyt niskie dochody. W drugim tygodniu jej urzędowania zabrakło w kasie tysiąca złotych. Kierownik pokrył niedobór z własnej kieszeni, a Inżynier stracił do urzędniczki zaufanie. Do kantoru przychodziła zresztą tylko na kilka godzin, nie zajrzała ani razu do magazynu, nie wiedziała, co to lepik<sup>38</sup>, a co bitumin<sup>39</sup>, ale za to z regularnością poczty zaopatrywała mnie w konspiracyjne gazetki, ozdobione godłem miecza i pługa. Zazdrościłem jej zejścia do podziemia, sam bowiem zadawałem się półprywatnym powielaniem biuletynów, obfitą lekturą, pisywaniem wierszy i produkowaniem się na porankach poetyckich.

— Cóż z tą starą? Mebli dużo? — zagadnęła ironicznie urzędniczka. Głowę miała ustrojoną w czub wysoko spiętych, zmierzwionych niesforne włosów.

— Każdy ratuje się, jak może.

— Przy pomocy bliźnich — zmrużyła złośliwe oczy. Była bardzo niestarannie upudrowana. Cienki nos świecił się jak wyczyszczony łojem. — Ej, panie magazynierze, jakże wiersze? Okładka wyschła?

Kierownik za rękę przyprowadził starą do kantoru. Przyszedł furman, aby się ogrzać. Kucnął przy piecu i, sapiąc, wystawił do ognia spękane od wiatru i mrozu dłonie. Kożuch parował na nim i śmierdział wilgotną skórą.

— Budy na mieście — rzekł woźnica. — Byłem w centrali. Na ulicach pusto, aż strach jechać. Mówią, że jak z Żydami skończą, to nas będą wywozić. I u nas też łapią. Koło cerkwi i przy dworcu aż zielono od żandarmów.

— A to ładnie — prychnęła mała urzędniczka. Wstała nerwowo od stołu. Włoczyła nogami w zbyt głębokich kopcach<sup>40</sup>, kręcąc z nieświadomym wdziękiem kościstymi, przebijającymi przez cienką sukienczynę, biodrami.

— Jakże ja wrócę do domu?

— *Per pedes*<sup>41</sup> — rzekłem kwaśno i, włożywszy pośpiesznie kurtkę, wyszedłem z kantoru. Ostry wiatr, zmieszany ze śniegiem, zaciął mnie w twarz. Nad skrzynią z wapnem kiwał się rytmicznie robotnik. Przytupując z zimna nogami jak śpiący koń, mieszał gracą<sup>42</sup> lasujące się<sup>43</sup> wapno. Klęby białej pary podnosiły się znad kipiącej mieszaniny i owiewały mu twarz. Lasownik pracował całą zimę bez przerwy, szykując wapno na sezon letni. Dziennie przerabiał na mrozie do dwu ton wapna suchego.

Bramę składu kierownik przymknął. Gdy łapanka obejmowała uliczkę, zamykaliśmy ją na kłódkę. Pijani policjanci oczyszczali uliczkę z resztek tłumu, który przemyczał się ku polom. Niemiecki żandarm, wyższy nad tłum i jego troski, ale baczny na każdy ruch policjanta, obojętnie bił żelaznymi butami o bruk. Na placu pod ścianami domów było jeszcze gwarno i tłoczno. Pod oknami i parapetami przekupnie trzęśli kolanami, tupali nogami w słomianych chodakach i darli się ochryple nad koszykiem z bułkami, papierosami, kaszanką, pączkami, białym i razowym chlebem. Wydawało się, że to czarna ściana domu trzęsie się i krzyczy. W bramach ważono na prymitywnych wagach świeże mięso wieprzowe i przelewano pośpiesznie bimber. Na posesji, leżącej na tyłach szkoły, trwała jeszcze zabawa. Karuzela z jednym ogłupiałym dzieckiem na koniu kręciła się majestatycznie przy wtórze wrzaskliwej muzyki. Puste drewniane auta, rowery, łabędzie

Praca, Robotnik

Miasto, Wojna

<sup>37</sup>*Kreishauptmann* (niem.) — odpowiednik polskiego starosty. [przypis edytorski]

<sup>38</sup>*lepik* — lepka substancja, stosowana do przyklejania papy, klepek etc. [przypis edytorski]

<sup>39</sup>*bitumin* a. *bitum* — mieszanina substancji organicznych o dużej lepkości, zawierająca bituminy naturalne lub sztuczne; bitumy są stosowane w budownictwie, górnictwie etc. [przypis edytorski]

<sup>40</sup>*kapec* — but sukieny lub filcowy. [przypis edytorski]

<sup>41</sup>*per pedes* (łac., żart.) — pieszo. [przypis edytorski]

<sup>42</sup>*graca* — tu: narzędzie, służące do rozrabiania wapna z wodą. [przypis edytorski]

<sup>43</sup>*lasować się* — o wapnie: łączyć się z wodą. [przypis edytorski]

z rozczapierzonymi skrzydłami płynęły łagodnie w powietrzu, kołysząc się jak na fali. Robotnicy, zakryci deskami, chodzili pod karuzelą w kieracie. Przy jaskrawo pomalowanej strzelnicy i w ogrodzie zoologicznym pod namiotem (w którym — jak głosił wyblakły od śniegu plakat — miały przebywać krokodyl, wielbłąd i wilk) świeciło beznadziejnie pustką. Kilku gazeciarzy ze schroniska, z plikami gazet niemieckich pod pachą, kręciło się na przystankach niezdecydowanie. Tramwaje bez ludzi okręcały się w pętli naokoło placu i, dzwoniąc łańcuchami, wlokły się wzdłuż alei. Drzewa stały ośnieżone, skrzące się w ostrym słońcu jak wyrzeźbane<sup>44</sup> z lamliwego kryształu. Był zwykły targowy dzień.

W głębi ulicy przestrzeń zamykały kamienne bloki domów i kępy nagich, wychudłych drzew. Za wiaduktem, chronionym kozłami hiszpańskimi<sup>45</sup>, zasiekami i tablicami na torach, otoczony kordonem żandarmów, falował tłum i podpływał ku wiaduktowi. Z wnętrza tłumy wynurzały się pękate, okryte brezentem ciężarówki i, mierząc kołami śnieg, ciężko ciągnęły na most. Za ostatnim wozem wybiegła z tłumy kobieta. Nie zdążyła. Samochód nabrał szybkości. Kobieta podniosła ręce rozpaczliwym gestem i byłaby upadła, gdyby nie pomocne ramię żandarma. Wepchnął ją w tłum.

Miłość, oczywiście, że miłość — pomyślałem ze wzruszeniem i uciekłem do składu, ponieważ plac pustoszał przed nadchodzącą łapanką.

— Telefonowała narzeczona — powiedział kierownik. Był w dobrym humorze, podśpiewywał pod rudym wąsem i zataczał nogami taneczne półkola. — Jedzie z Ochoty, ale nie może szybciej, bo wszędzie łapią. Pod wieczór będzie.

Sucha, czubata urzędniczka rzuciła na mnie krótkie, podszyte złośliwością, spojrzenie.

— Pewnie zaczną z nami jak z Żydami? Pan się martwi?

— Powinna dać sobie radę — rzekłem do kierownika. Zziąbłem na kość. Pogrzebałem kociubą<sup>46</sup> w piecu i dołożyłem torfu. Z otwartych drzwiczek buchnęło dymem na izbę. — Chyba w tym miesiącu wagonów nie dostaniemy? Pewnie zrobią szperę<sup>47</sup> wagonową?

Kierownik skrzywił się niechętnie. Przysiadł na krześle i delikatnymi jak u pianisty palcami stukał po stole.

— A co nam przyjdzie z tego, jak puszcza wagony? — rzekł z goryczą. — Inżynier boi się trzymać cement i gips, wapno ma tylko dla Niemców na roboty na Forcie Bema<sup>48</sup>, to co pan chce? Żebyśmy kwitli? Grochowskie zakłady dostały trzy wagony cementu, Borowik i Srebrny ma, co dusza zapragnie, a my co? Gąsior<sup>49</sup>, felcówki<sup>50</sup>, grysiki, lepiki, maty trzcinowe!

— Niech pan nie przesadza — rzekła urzędniczka. — Gdyby pogrzebali w szopach, to by to i owo...

— Pewnie, że to i owo! Bo kombinuję na własną rękę! Inaczej przyszedłby kto do składu? Owszem, sklepikarz odważników pożyczyc!

Telefon zaterkotał. Kierownik zakręcił się na krześle i chwycił słuchawkę na pół sekundy przed małą urzędniczką. Oddał mi ją z niemą gestykulacją.

— Nasz samochód — szepnąłem, zasłaniając ręką tubę. — Co powiedzieć?

— Niech da pięćdziesiąt

— *Fünfzig*<sup>51</sup> — rzekłem do tuby. — *Abends*<sup>52</sup>? Niech będzie wieczorem.

— Świetnie, chodźmy wobec tego coś zjeść — zatarł ręce kierownik.

Stara siedziała nieporuszona na tapczanie jak zapędzone w kąt zwierzę. Kierownik zakrzętnął się po pokoju, nastawił bulion na maszynie i sprzątnął stolik.

— Jak Inżynier będzie miał mniej dochodu od nas, to raz — wyrzuci tę sikse, a dwa... No co, zdecydowałeś się pan?

<sup>44</sup>wyrzeźać — wyciąć, wyryc. [przypis edytorski]

<sup>45</sup>kozły hiszpańskie a. konie fryzyjskie — umocnienia polowe, chroniące piechotę przed atakami kawalerii. [przypis edytorski]

<sup>46</sup>kociuba — pogrzebacz. [przypis edytorski]

<sup>47</sup>szpera (pot.) — rozwiązanie, mające na celu wprowadzenie ograniczeń w działaniu klasycznego mechanizmu różnicowego; tu: prawdopodobnie chodzi o ograniczenie transportowe. W gwarze obozowej: zakaz wychodzenia poza jednostkę administracyjną obozu (tu: getta). [przypis edytorski]

<sup>48</sup>Fort Bema — osiedle w obecnej dzielnicy Bemowo w Warszawie. [przypis edytorski]

<sup>49</sup>gąsior — rodzaj dachówki do krycia kalenic i naroży. [przypis edytorski]

<sup>50</sup>felcówka — cegła profilowana. [przypis edytorski]

<sup>51</sup>Fünfzig (niem.) — pięćdziesiąt. [przypis edytorski]

<sup>52</sup>abends (niem.) — wieczorem. [przypis edytorski]

— Cóż ja mam wobec pana — rzekłem beznadziejnie. — Wszystko wpakowaliśmy w bimber. Wie pan, jak to jest; trochę książek się kupiło, trochę łachów i tak. Papier też kosztował.

— A sprzedasz chociaż te wiersze?

— Nie wiem, czy sprzedam. Nie pisałem na sprzedaż. To nie cegła dziurawka ani nie smoła — odparłem urażony.

— Jeżeli dobre, to powinni kupować — rzekł ugodowo kierownik, zagryzając bułkę. — Zbierzesz pan te parę tysięcy do spółki. Pan masz dobry łeb.

Stara zjadła powoli, ale z apetytem. Złoty, masywny rząd zębów z lubością zanurzał się w miększym bułki. Wpatrywałem się w ich połysk, oceniając instynktownie wagę i wartość całej szczęki.

Trzasnęły drzwi, wszedł klient. Pallotyn z sąsiedniego kościółka miał rogowe okulary i uśmiechał się nieśmiało. Powiadomiwszy o łapance, zamówił parę worków cementu oraz żółty grysik. Zapłacił z góry samymi złotówkami, powiązanymi w paczki.

— Niech będzie pochwalony — rzekł i, nałożywszy czarny kapelusz, wyszedł, szleszcząc sutanną.

— Na wieki wieków — odparła urzędniczka. Zakręciła piec i wytarła palce w skrawek gazety. — Jak pan myśli, co ta stara robi?

— Kierownik znajdzie dla niej mieszkanie. Stara ma za grubą forszę, żeby ją puścił z rąk — rzekłem półgłosem.

— Ale — prychnęła pogardliwie — więc pan nic nie wie? Kiedy kierownik wyszedł, stara telefonowała do córki. Nie mogą wyjść z getta. Już za późno. Szpera na całego.

— Stara pomartwi się trochę i przestanie.

— Bardzo być może.

Otuliła się w wytarte futro, umieściła się wygodniej na kozetce i powróciła do książki. Nie zdradzała ochoty do dalszej konwersacji.

### III

Wieczorami zostawałem w składzie sam wśród suszących się jak mokra bielizna okładki tomu poetyckiego. Apoloniusz wyciął je z papieru w formie *in folio*<sup>53</sup>, dopasowawszy do rozmiarów siatki ręcznego powielacza, który, wypożyczony mi do odbijania niezmiernie cennych komunikatów radiowych i wartościowych rad (wraz z wykresami), jak prowadzić walki uliczne w większych miastach, posłużył również do druku wzniosłe metafizycznych heksametrów, wyrażających mój nieprzychylny stosunek do dmącego apokaliptycznie wiatru dziejów. Okładka była dwustronnie ozdobiona czarno-białymi wignetami, przy użyciu rewelacyjnie nowej techniki powielaczowej: pojedynczych kawałków matrycy białkowej<sup>54</sup>, które, nalepione na siatkę, dawały białe plamy, sama zaś siatka — plamy czarne. Sposób był bardzo pomysłowy, ale pochłaniał zbyt wiele farby i okładki schły już tydzień — bez rezultatu. Zdjąłem je więc ostrożnie ze sznurów, obłożyłem w grubym pergaminie, zapakowałem ciasno i wsadziłem pod drewniany tapczan. Spuszczony do podłogi koc zakrywał zepsute radio, oczekujące na mechanika, walizczkowy powielacz, płaski jak cygarnica, solidną maszynę do pisania Remington, zabraną z szopy, aby nie zmočila, oraz komplet publikacji pewnej organizacji imperialistycznej, pozostawiony w składzie na przechowanie przez przyjaciela, który miał wynosić się z domu, a nie miał siły pozbyć się kolekcjonerskich i antykwariackich zamięłowań.

Wieczorami także, nie żałując grzbietu ani kolan, szorowałem pracowicie podłogę, wycierałem stół i jako tako okno, a kiedy uznałem, że w pokoiku jest zacisznie i przytulnie jak w uchu, przykrywałem seledynowym kłosem jarzący się grzybek i zamykałem troskliwie pokój, aby nabrał ciepła. Siadywałem zazwyczaj przy piecu w kantorze. Robiłem drobniagowe notatki bibliograficzne, którymi wypychałem specjalne pudła, zapisywałem na luźnych karteczkach głębokie sentencje i trafne aforyzmy, które znalazłem w książkach, i uczyłem się ich na pamięć. Tymczasem nadchodził zmierzch i zaproszał karty książki. Podnosiłem oczy ku drzwiom i czekałem na przyjście Marii.

<sup>53</sup>*in folio* (wl., łac.) — tu: w formie arkusza raz złożonego. [przypis edytorski]

<sup>54</sup>*matryca białkowa* — w powielaczach białkowych matryca, w postaci pokrytej żelatyną bibułki, na której pisano tekst na maszynie do pisania. [przypis edytorski]

Za oknem śnieg tracił błękit, mieszając się ze zmierzchem jak z szarym cementem. Wyniosła ściana spalonego domu, zrudziała jak wilgotna cegła, nabiegała czernią, nieruchomości, jakby milkła, bezgłośny wiatr podnosił znad toru kłęby różowego dymu, rwał je na strzępy i rzucał na siniejące niebiosy jak płatki śniegu na przezroczystą wodę. Zwykle przedmioty, grząska jak zgniły melon góra piasku firmowego, kręta ścieżka, brama, trotuary, mury i domy ulicy nikły w mroku jak we wzbierającym przyplywie. Został tylko nieuchwytny szum, którym tętni najgłębsza cisza, gorący puls, którym bije ciało człowieka, i głucha tęsknota do przedmiotów i uczuć, których człowiek nigdy nie zazna.

Na podwórzu krzątali się jeszcze ludzie. Woźnica wynosił z ciemnego wnętrza szopy pakunki, jak z worka, i ciskał je z rozmachem na platformę. Na platformie stał stary lasownik z rozkraczonymi nogami. Chwytał ze stękaniem bagaż i ubijał go fachowo na wozie, jakby układał torby gipsu albo hydratyzowanego<sup>55</sup> wapna. Z wysiłku wypchnął językiem policzek.

Kierownik stał za wozem przy starej. Uchwycił się deski przy wozie i paznokciem bezmyślnie odłupywał drzazgę.

— Ja tam nie wiem, jestem inaczej nauczony — rzekł do starej, gniewnie wydymając wargi. — Ale na mój rozum nie należało tak od razu. Gdzie tu głowa? Gdzie rozum? Po co był ten cały kłopot?

Stara przechyliła na ramię głowę w kapeluszu z kwiatkami. Na ziemistych policzkach dostała od mrozu buraczanych wypieków. Wargi jej drżały z zimna. Złote zęby błyszcząły zza warg.

— Niech bardzo uważa przy pakowaniu — powiedziała ostro do lasownika. Twarz jej drgała przy każdym ciskanym pakunku, jakby to ją rzucano na platformę. — Niech Jasio wybaczy — zwróciła się do kierownika — że mu sprawiłam kłopot. Jasiowi się przecież opłaciło, prawda?

— Co tam pani doktorowa ma myśleć — rzekł kierownik, wzruszając ramionami. — Pieniądze, co je wzięłam, to dałam na mieszkanie, a tych parę ciuchów, które pani doktorowa zostawiła u mnie, to zawsze można... Ja tam się od tego nie wzbogacę.

Zgarbiona pod szarą ścianą szopy stara przebierała z zimna nogami w wytartych, przydeptanych pantofelkach, pociągała nosem i, zwyczajem krótkowidzów mrugając zaczerwienionymi powiekami, patrzyła na kierownika oczyma zażawionymi. Milczała i uśmiechała się.

— Dużo ich tam pani doktorowa obroni. I tak, i tak giemza<sup>56</sup> — mówił dalej kierownik, patrząc w ziemię, na szprychy koła i na błoto pod kołami. — Co, pani doktorowa nie wie, jak będzie? Zabijają, spalają, zniszczą, stratuja i tyle. Nie lepiej żyć? Ja tam wierzę, że przyjdzie taki czas, kiedy człowiekowi pozwolą spokojnie handlować.

Potężny Diesel z przyczepką wtoczył się w ulicę, plując dymem, i podjechał pod bramę. Kierownik uśmiechnął się z ulgą i pośpieszył otwierać drugą szopę, ja zaś podskoczyłem prosto przez śnieg do bramy. Traktor wpełznął się zadem na przeciwległy chodnik i jak żuk, wypełznąwszy przez rynsztok na podwórze, podjechał pod rozwartą szopę. Z szoferki wyskoczył kierowca w brudnym kombinezonie i niemieckiej furażerce<sup>57</sup>, zawiadacko osadzonej na krucznych, lśniących włosach.

— *Abend*<sup>58</sup>. Pięćdziesiąt? — zapytał i, plasnąwszy z rozmachem w rękę, wszedł, kołysząc biodrami, do szopy. Rozejrzał się z zainteresowaniem po kątach.

— O la, la! Wyprzedaliście wszystko? — rzekł, cmoknąwszy ustami. — Duży obrót, duży zysk. Ale teraz o dziesięć złotych drożej na worku. Po trzydzieści pięć?

— Ten numer nie przejdzie — rzeki kierownik, rozkładając ręce wymownym gestem.

— Trzydzieści dwa. Na rynku jest pięćdziesiąt pięć i drożej — powiedział żołnierz bez zniecierpliwienia.

— Ma on ludzi do wyładowania? — zapytał mnie kierownik. — Trzeba brać.

<sup>55</sup>hydratyzowany — nasycony wodą. [przypis edytorski]

<sup>56</sup>giemza — wyprawiona kozia skóra; tu (pot.): klapa, śmierć. [przypis edytorski]

<sup>57</sup>furażerka — miękka, podłużna czapka wojskowa bez daszka. [przypis edytorski]

<sup>58</sup>Abend (niem.) — wieczór. [przypis edytorski]

— *Keine Leute*<sup>59</sup> — roześmiał się szeroko żołnierz. Miał zdrowe, końskie zęby i błyszczące, starannie wygolone policzki Podszedł do przyczepki i, rozsznurowawszy plandekę, zakomenderował: — *Meine Herren, raus*<sup>60</sup>! Proszę was bardzo — *ausladen*<sup>61</sup>!

Dwaj drzemiący na workach cementu robotnicy odrzucili palta, którymi się przykrywali, wyskoczyli przerażeni krzykiem z głębi auta i opuścili pokrywę. Jeden wytaczał torby na krawędź podłogi; drugi chwycił je rękoma, przyciskał płaski worek do piersi; niósł do magazynu i rzucał z trzaskiem na podłogę. Wyjaśniłem mu, jak należy układać cement, wiążąc worki, by sterta nie przewaliła się k'czortu<sup>62</sup>.

Drzemiący w szoferce pomagier kierowcy wychylił się z okienka.

— Oni mają się pośpieszyć, Peter. Musimy zaraz dalej.

Podparł się łokciami i patrzył sennie w głąb szopy. Złota damska bransoletka luźno zwisała na przegubie. Dłonie miał owłosione, twarz smagłą, czarną od zarostu.

— Prędzaj, prędzaj, *du alte Slavine*<sup>63</sup> — mruczał przez zęby. Napotkawszy moje bawdawcze spojrzenie, uśmiechnął się przyjaźnie.

W szopie umączony cementem robotnik (jak kto nie umie obchodzić się z towarem, to zawsze przy przenoszeniu porwie parę worków i narobi szkody) podniósł ku mnie srebrzystą, unurzaną w cemencie twarz i zapytał szeptem, udając, że wierzchem dłoni ociera oczy:

— Jest pięć worków więcej. Weźmie pan dzisiaj?

— Po dwadzieścia — mruknąłem, nie ruszając wargami. — *Komm*<sup>64</sup> do kantoru. Obliczymy się — rzekłem do żołnierza. Zgasił zapalną, przydeptał troskliwie podeszwę. Zaciągnął się z ochotą dymem. Nikły różowawy blask rozjaśnił mu policzki i odbił się w oczach.

— *Fünfzig* sztuk? Pięćdziesiąt? — pokazał robotnikowi pięć rozczapierzonych palców.

— *Ja, ja, chef*<sup>65</sup>, ja liczę! Ani jednego więcej! — wykrzyknął gorliwie podawacz spod plandeki.

Furman kończył ładować wóz. Lasownik dobijał bagaż i podciągał sznury. Osznurowali platformę troskliwie jak paczkę ze szkłem. Znali się na pakowaniu. Ukryli w środku rzeczy cenniejsze, skórzane walizy i brezentowe worki z bielizną, na wierzch zaś i po bokach dali plecione kosze, stolki i klekocące naczynia. Platforma stała cierpliwie jak arka. Stara dreptała pod szopą, trzymając ręce w mufce<sup>66</sup>. Ujrzawszy przechodzącego z bliska żołnierza, przestraszyła się i skryła za drzwiami magazynu.

— Przeprowadzka? — zapytał mimochodem szofer.

— Przeprowadzka, oczywiście, że przeprowadzka, a cóż by innego?

Niebo ścieśniało się, osiadało nad mrokiem bezszelestnie jak opadający ptak. Bezlistne drzewo nad torem szamotało się z wiatrem zaciekle jak człowiek, który postanowił się nie dać.

— Wy ale żyjecie spokojnie — rzekł z dobroduszną pogardą żołnierz — a nasi walczą za wasz spokój.

Kierownik poprosił siadać. Rozmawiał przez telefon z żoną.

— Więc udał się obiad czy nie? Buraczki — nie. Weź kapustę. — Uśmiechnął się wyrozumiale. — Dzieciak? Spi? Obudz go, już śpi dwie godziny.

— Książek przybyło, co? — rzekł żołnierz, uchyliwszy drzwi do pokoju.

— O, jaki nastrój! Tylko patefon nastawić! Panienska, co, panienska? — Pokazał palcem na czerwony szlafrok na wieszaku. Obejrzał obrazy Apoloniusza, żebraczkę pod chropawym murem, trzymającą za rączkę dziecko z wylupiastymi oczyma, oraz martwą naturę z żółtym dzbankiem. Naniósł do pokoju błota i smrodu żołnierskiego.

Kierownik wydobył z portfela paczkę starannie powiązanych banknotów i, przeliczywszy modlitewnym szeptem, podał szoferowi.

— Znowu środa, następny tydzień, *ja?* — zapytał szofer.

<sup>59</sup>*keine Leute* (niem.) — żadnych ludzi. [przypis edytorski]

<sup>60</sup>*Meine Herren, raus* (niem.) — (Moi) panowie, wynocha, na zewnątrz! [przypis edytorski]

<sup>61</sup>*ausladen* (niem.) — rozładować. [przypis edytorski]

<sup>62</sup>*k'czortu* — do diabła, w diabły. [przypis edytorski]

<sup>63</sup>*du alte Slavine* (niem.) — właściwie: *Slawe*: ty stary Słowianinie. [przypis edytorski]

<sup>64</sup>*komm* (niem.) — chodź. [przypis edytorski]

<sup>65</sup>*Ja, ja, chef* (niem.) — Tak, tak, szefie. [przypis edytorski]

<sup>66</sup>*mufka* — futro, zszyte w rulon, które chroni dłonie przed zimnem. [przypis edytorski]

— *Ist gut*<sup>67</sup>— rzekł kierownik — *ist sebr gut*<sup>68</sup>. Widzi pan, panie Tadziku, gdyby człowiek miał własny skład, to by się nie krył z towarem. Przetrzywałby parę dni, zarobek pewny.

— Urzędniczka zaraz poleci do Inżyniera.

— Nie uwierzy, jak nic nie znajdzie. Odstąpimy od ręki czerniakowskim zakładom. Ale i tak Inżynier musi być dobrze z nami. Wpakował forszę w bocznice i robi bokami — powiedział chepliwie kierownik.

— Kombinuj pan kupić tę budę. Ja, co będę miał, dołożę.

— A jak zupełnie zabronią budować?

— Teraz też zabraniają, a ludzie budują. Wyżyć to pan wyżyje z tego, co pan ma w szufladzie. Plac i szopy zostaną na po wojnie. Jak znalazł. No, widzi pan, chodźmy odprowadzić starą.

— Zapomniała maszyny u pana — powiedział kierownik. Odcesał dłonią włosy i z pewną elegancją nałożył czapkę tramwajarską. Na ulicy udawał tramwajarza. Jeździł za darmo tramwajami i czuł się bezpieczny przed łapanką.

— Maszyna przyda się firmie.

— *Ja, ist gut*. — Żołnierz przeliczył pieniądze, schował je do kieszeni kombinezonu i, uściskawszy nam serdecznie, ale nie wylewnie dłoń, wyszedł, chrzescząc butami.

Furman odjął koniowi worek z obrokiem<sup>69</sup>, zapalił latarnię, podczepił ją pod wozem, zebrał w dłonie lejce, cmoknął uroczyście i platforma, oświetlona pęlgającym krwawo blaskiem jak karnawałowy pojazd, ruszyła, skrzypiąc, za bramę, zanurzyła się w ulicę jak w ocienioną aleję.

Między purpurową jak spieczone usta kołdrą, ściągniętą białym sznurkiem od firanki, a pękatymi walizkami, zwiniętą w kłębek jak pies, siedziała, podkuliwszy pod siebie nogi, stara Żydówka, nakryta z góry blatem ukośnie przechylonego stołu, którego nogi niczym martwe kikuty sterczały ku niebu i, podskakując wraz z blatem za każdym poruszeniem wozu, zdawały się mściwie mu wygrażać. Stara miała oczy zamknięte, głowę wtuliła w futrzany kołnierz. Najwidoczniej drzemała. Parę obdartych dzieciaków pobiegło za platformą w nadziei, że uda się coś ukraść.

Ulica ożywała wieczorem. Na granatowym niebie złoty księżyc toczył się naprzeciw pierzastym obłokom jak krążek ananasa i metalicznym blaskiem opadał na dachy ulicy, w zasłony murów, na chrzesczącą jak srebrna blacha śnieg trotuaru. Przed szkołą chodził dorodny żandarm, cały niebieski od zmroku. Panny z pralni przesuwały się pod fioletową latarnią i znikwały w cieniu spalonego domu. Od sklepiarza wychodzili podochoceni policjanci na służbę nocną. Dzwonek w odnawianym naszym cementem i wapnem kościółku poczynał świegotać radośnie jak bawiące się dziecko, płosząc uśpione na parapacie dzwonnicy gołębie, które z łopotem skrzydeł wzbijały się nad wieżę i jak płaty chryzantem sennie osuwały się na dach.

Traktor z cementem ostrożnie wyminął doły na wapno i, zatrąbiwszy na pożegnanie, opuścił podwórze. Dostarczyłem do przyczepki i wsadziłem pieniądze w wyciągniętą rękę robotnika.

— Dziesięć było, dziesięć! — krzyknął. Plandeka zakryła się za nim.

— Oblatwił<sup>70</sup> dzień — rzekł kierownik, przepasując rzemieniem tramwajarski płaszcz. Ściągnął pas rzetelnie, na siłę, gdyż lubił wydawać się szczupły. — Zostajesz pan sam. Coś narzeczona nie przyjeżdża?

— Boję się o nią — odpowiedziałem. — Łapanka trwa cały dzień. Musieli sporo nałapać.

— Co robić? — westchnął ciężko kierownik. — Narzeczona pewno nie może się dostać do pana. — Włożył do teczki kawał mięsa, które wybrał na jutrzejszy obiad.

— Czekał pan, pójdę coś kupić na kolację. Jeść się chce po tym głupim dniu. — Wyszliśmy na ulicę, zatraskując furtkę. Niemiecki traktor zamykał wylot ulicy, trząśł się i dymił. Przechodnie gromadzili się na chodniku i patrzyli na plac. Przy rynsztoku stała platforma z betami. Woźnica cierpliwie czekał na wolny przejazd.

<sup>67</sup>*Ist gut* (niem.) — To dobrze. [przypis edytorski]

<sup>68</sup>*ist sebr gut* (niem.) — to bardzo dobrze. [przypis edytorski]

<sup>69</sup>*obrok* — pasza dla koni. [przypis edytorski]

<sup>70</sup>*oblatwić* — zrobić, dokonać, załatwić. [przypis edytorski]

Żyd, Starość

Miasto, Wieczór

Wojna, Strach



Wieczór zapadał coraz głębszy. Za czarnym pasem pola nad srebrnym nurtem rzeki kamienny most napinał się na tle nieba jak łuk. Na drugim brzegu czarna bryła miasta zapadała w grząską ciemność. Nad nią wysokie słupy reflektorów wzbijały się rtęciowym światłem w niebo, przekreślały je i jak ramiona marionetek bezwładnie opadały wzdłuż ziemi. Świat na chwilę zwęzał się do jednej ulicy, tętniącej jak otwarta żyła.

Z chrzęstem, przy pełnych reflektorach, waliły jezdnią wypchane ludźmi ciężarówki, przelewając się na wybojach. Twarze ludzi ukazywały się spod brezentu białe, jakby posypane mąką, i, jak zdmuchnięte wiatrem, nikły w ciemności. Motocykle, obsadzone żołnierzami w hełmach, wynurzały się spod wiaduktu i, trzepocząc skrzydłem cienia jak potworne motyle, znikwały z hukiem za samochodami. Duszący dym spalinowych motorów siał się na jezdni. Kolumna szła w stronę mostu.

— Nałapali pod cerkwią — rzekł za mną sklepikarz. Położył mi ciężko ręce na ramionach. Bilo od niego odorem wódki i śmierdziało machorką<sup>71</sup>. — Żeby ich ziemia pochłonęła

— Zabierają się do nas — rzekł ponuro policjant z paskiem zapiętym służbowo pod brodą. Zdjął czapkę i otarł czoło rękawem. Czerwona pręga, odcisnięta na łysinie przez czapkę, bielą na chłodzie. — Ano, tak — dodał przez zęby.

— Ta Żydówka wyprowadza się od was? — szepnął konfidentycznie sklepikarz. — Tak szybko?

— Wyprowadza się gdzie indziej.

— To co będzie z mieszkaniem? — zaniepokoił się sklepikarz. Nachylił się do ucha. — Ja już z ludźmi gadałem. Pan kierownik miał dzisiaj dać zadatek.

— To szukaj pan kierownika — powiedziałem niecierpliwie i otrząsnąłem jego łapy.

— Przepraszam — szepnął sklepikarz. Światło reflektora przejechało po jego twarzy. Zamrugnął powiekami, odpędzając się od jego blasku. Reflektor oświetlił wnętrze ulicy, twarz sklepikarza oblekła się w mrok.

— Ona wraca do getta. Ma tam córkę, która nie może się wydostać.

— No pewno — rzekł z przekonaniem sklepikarz. — Przynajmniej umrze z nią jak człowiek... — westchnął ciężko i zapatrzył się w ulicę.

Na zakręcie alei powstał zator. Kolumna zatrzymała się, samochody zbliżyły się do siebie. Padły gardłowe nawoływania. Motocykle wytoczyły się z za aut i oświetliły reflektorami jezdnię, tramwaje, trotuar i tłum. Reflektory prześliznęły się po twarzach ludzkich jak po zbielałych kościach; zajrzały w czarne, ślepe okna mieszkań; ogarnęły jarzącą się zielonymi lampionami, zatrzymaną w pół taktu, karuzelę z chwiejącymi się na linach pstrokatymi końmi na biegunach, łabędziami o łagodnie wygiętych szyjach, drewnianymi autami, rowerami; pomacały głąb placu końskiego; otarły się o namiot ogrodu zoologicznego z krokodylem, wilkiem i wielbłądem, zbadaly wnętrze tramwajów, stojących ze zgaszonymi światłami, zawahały się na lewo i na prawo jak głowa rozdrażnionego węża, powróciły do ludzi, oświetliły jeszcze raz oczy i skierowały się na auta.

Twarz Marii, otoczona szerokim rondem czarnego kapelusza, była biała jak wapno. Trupioblade, kredowe dłonie podniosła spazmatycznie ku piersiom jak w geście pożegnania. Stała w aucie, wciśnięta w tłum, tuż przy żandarmie. Patrzyła z natężeniem w moją twarz jak ślepa, prosto w reflektor. Poruszyła wargami, jakby chciała zawołać. Zachwiała się, omal nie upadła. Samochód zatrząsł się, zawarczał i nagle szarpnął. Nie wiedziałem zupełnie, co robić.

Jak się później dowiedziałem, Marię, jako aryjsko-semickiego Mischlinga<sup>72</sup>, wywieziono wraz z transportem żydowskim do osławionego obozu nad morzem, zagazowano w komorze krematoryjnej, a ciało jej zapewne przerobiono na mydło.

Miasto, Strach, Wojna,  
Tłum

Strach, Rozstanie, Miłość,  
Śmierć

<sup>71</sup>*machorka* — tytoń gorszego gatunku. [przypis edytorski]

<sup>72</sup>*Mischling* (niem.) — mieszaniec, kundel. [przypis edytorski]

# Dzień na Harmenzach

## I

Cień kasztanów jest zielony i miękki. Kołysze się lekko po ziemi jeszcze wilgotnej, bo świeżo skopanej, i wznosi się nad głową seledynową kopułą, pachnącą poranną rosą. Drzewa tworzą wzdłuż drogi wysoki szpaler, a czuby ich rozplywają się w kolorycie nieba. Odurzająca woń bagna ciągnie od stawów. Trawa zielona jak plusz srebrzy się jeszcze rosą, ale ziemia już paruje w słońcu. Będzie upał.

Lecz cień kasztanów jest zielony i miękki. Nakryty cieniem, siedzę w piasku i wielkim francuskim kluczem dokręcam złączenia wąskotorowej kolejki. Klucz jest chłodny i dobrze leży w dłoni. Co chwila biję nim o szyny. Metaliczny, surowy dźwięk rozchodzi się po całych Harmenzach<sup>73</sup> i powraca z daleka niepodobnym echem. Oparci na łopatach, stoją koło mnie Grecy. Ale ci ludzie z Salonik<sup>74</sup> i winnych stoków Macedonii<sup>75</sup> boją się cienia. Stoją więc w słońcu, zdjawszy koszule, i opalają niezmiernie chude barki i ramiona, pokryte świerzbem i wrzodami.

— Ależ pilnie pracujesz dzisiaj, Tadku! Dzień dobry! Nie jesteś głodny?

— Dzień dobry, pani Haneczko! Absolutnie nie. A poza tym walę mocno w szyny, bo nasz nowy kapo<sup>76</sup>... Przepraszam, że nie wstaję z szyn, ale pani rozumie: wojna, *Bewegung, Arbeit*<sup>77</sup>...

Pani Haneczka uśmiecha się.

— Ależ naturalnie, że rozumiem. Nie poznałabym cię, gdybym nie wiedziała, że to ty. Pamiętasz, jak jadłeś kartofle w lupinach, które dla ciebie kradłam od kur?

— Jadłem! Ależ, pani Haneczko, ja się nimi zażerałem! Uwaga, esesman od tyłu.

Pani Haneczka sygnęła parę garści zboża z sita zbiegającym się ku niej kurczakom, ale, obejrawszy się, machnęła lekceważąco:

— Ach, to tylko nasz szef. Mam go w tym palcu.

— W takim małym? Strasznie dzielna z pani kobieta. — I z rozmachem wałnąłem kluczem w szyny, wybijając na jej cześć melodie: *La donna è mobile*<sup>78</sup>.

— Ależ, człowieku, nie hałasuj! Może byś jednak naprawdę coś zjadł? Właśnie idę do dworu, to ci przyniosę.

— Pani Haneczko, najczulej dziękuję. Myślę, że dosyć mnie pani dokarmiła, jak byłem biedny...

— ...ale uczciwy — rzuciła z lekką ironią.

— ...a co najmniej niezaradny — odparowałem, jak umiałem. — Ale *à propos* niezaradności: miałem dla pani dwa piękne mydła z najśliczniejszą, jaka może być, nazwą „Warszawa<sup>79</sup>” i...

— i... ukradli jak zwykle?

— I ukradli jak zwykle. Jak nie miałem nic, to spałem spokojnie. Teraz, żebym nie wiedzieć jak owiazał paczki sznurkami i drutem, zawsze rozwiążą. Parę dni temu zorganizowali<sup>80</sup> mi butelkę miodu, a teraz znów to mydło. Ale biedny będzie złodziej, jak go złapię.

Pani Haneczka roześmiała się na głos.

— Wyobrażam sobie. Aleś dziecko! Co do mydła, masz się wcale nie martwić, dostałam dziś od Iwana dwa ładne kawałki. Ach, byłabym zapomniała, oddaj ten pakuneczek dla Iwana, to słonina — rzekła, kładąc pod drzewem małe zawiniątko. — A tu patrz, jakie ładne mydła.

Praca, Kobieta, Obcy

Jedzenie

Kradzież

Złodziej

<sup>73</sup>*Harmenze* a. *Harmense* — podobóz, w którym do stawu rybnego więźniowie zsypywali popiół ze zwłok palonych w krematoriach. Podobóz Harmense powstał na terenie dawnej wsi Harmęże. [przypis edytorski]

<sup>74</sup>*Saloniki* — miasto w północnej Grecji, nad Morzem Egejskim. [przypis edytorski]

<sup>75</sup>*Macedonia* — tu: prawdopodobnie region administracyjny Grecji. [przypis edytorski]

<sup>76</sup>*kapo* — w gwarze obozowej: więzień, pełniący funkcję dozorczy pozostałych więźniów. [przypis edytorski]

<sup>77</sup>*Bewegung, Arbeit* (niem.) — ruch, praca. [przypis edytorski]

<sup>78</sup>*La donna è mobile* — (wł. *Kobieta jest zmienna*), aria z opery *Rigoletto* Giuseppe Verdiego (1813–1901). [przypis edytorski]

<sup>79</sup>*Warszawa* — stolica i największe miasto Polski. [przypis edytorski]

<sup>80</sup>*organizować* — w gwarze obozowej: zdobyć nielegalnie, ukraść. [przypis edytorski]

Odwinęła papier dziwnie znajomy. Podszedłem i przyjrzałem się dokładnie: na obu wielkich jak od Schichta<sup>81</sup> kawałkach wytłoczona była kolumna i napis *Warszawa*.

Milcząc, oddałem jej zawiniątko.

— Rzeczywiście, ładne mydło.

Spojrzałem na pole ku rozrzuconym grupom pracujących ludzi. W ostatniej, aż koło kartofli, dostrzegłem Iwana: jak pies owczarek naokoło trzody czujnie obchodził swoją grupę ludzi, pokrzykiwał coś, czego z odległości nie było słychać, i wymachiwał wielkim, odartym z kory kijem.

— Ale biedny będzie złodziej — rzekłem nie spostrzegłszy, że mówię w przestrzeń, bo pani Haneczka odeszła już i tylko z daleka rzuciła mi, odwracając na moment głowę:

— Obiad, jak zwykle, pod kasztanami.

— Dziękuję!

I począłem znów dzwonić kluczami o szyny i dokręcać zluźnione śruby.

Pani Haneczka wzbudziła pewną sensację wśród Greków, gdyż przynosi im czasem kartofle.

— Pani Haneczka *gut, extra prima*<sup>82</sup>. To twoja *madonna*<sup>83</sup>?

— Ależ gdzie *madonna*! — obruszam się, tłukąc przez pomyłkę kluczem w palec — to znajoma, no, *camerade, filozof, compris, Greco bandito*<sup>84</sup>?

— *Greco niks bandito. Greco gut*<sup>85</sup> człowiek. Ale dlaczego ty nic od niej jeść? *Kartofel, patatas*<sup>86</sup>?

— Nie jestem głodny, mam co jeść.

— Ty *niks gut, niks gut* — kręci głową stary Grek, tragarz z Salonik, który zna dwaście języków z południa — my jesteśmy głodni, wiecznie głodni, wiecznie, wiecznie...

Kościste ramiona przeciągają się. Pod oparszywiałą świerzbem i wrzodami skórą grają dziwnie wyraźnie, jakby oddzielone osobno, mięśnie, uśmiech łagodzi napięte rysy twarzy, ale czającej się gorączki w oczach nie może zagasić.

— Jak jesteście głodni, to ją poproście. Niech wam przyniesie. A teraz pracujcie, *laborando, laborando*<sup>87</sup>, bo nudno z wami. Idę gdzie indziej.

— A właśnie, Tadeusz, że źle zrobiłeś — rzekł, wysuwając się zza innych, stary, gruby Żyd. Oparł łopatę o ziemię i, stanąwszy nade mną, ciągnął: — Przecież i ty byłeś głodny, więc umiesz nas zrozumieć. Nic by ciebie nie kosztowało, żeby tak przyniosła z kubek kartofli.

Słowo *kubek* przeciągnął długo i marząco.

— Ty się, Beker, odczep ode mnie ze swoją filozofią i zajmij się lepiej ziemią i łopatą, *compris*? Ale żebyś wiedział: będziesz zdychał, to cię jeszcze dobiję, rozumiesz? A wiesz, za co?

— Za cóż to?

— Za Poznań<sup>88</sup>. A może to nieprawda, że byłeś *Lagerältesterem*<sup>89</sup> w żydowskim lagrze<sup>90</sup> pod Poznaniem?

— No to co, że byłem?

— A zabijałeś ludzi? A wieszaleś ich na słupku za głupią ukradzioną kostkę margaryny albo za bochenek chleba?

— Wieszaleś złodzieją.

Jedzenie, Głód

Głód, Wojna, Żyd, ,  
Sprawiedliwość, Kara

<sup>81</sup>*Schicht* — warszawskie przedsiębiorstwo, produkujące m.in. mydło. [przypis edytorski]

<sup>82</sup>*gut, extra prima* — dobra, super pierwszorzędna (niektórzy więźniowie z południa Europy posługują się specyficzną mieszkanką języków romańskich, niekiedy z drobnymi naleciałościami niemieckimi; uwaga ta odnosi się do niemal wszystkich dialogów „greckich”). [przypis edytorski]

<sup>83</sup>*madonna* — tu: kobieta. [przypis edytorski]

<sup>84</sup>*camerade, filozof, compris, Greco bandito* — koleżanka, przyjaciele, rozumiesz, grecki bandyta. [przypis edytorski]

<sup>85</sup>*Greco niks bandito. Greco gut* — Grek nie bandyta. Grek dobry. [przypis edytorski]

<sup>86</sup>*patatas* — ziemniaki. [przypis edytorski]

<sup>87</sup>*laborando, laborando* — pracować, pracować. [przypis edytorski]

<sup>88</sup>*Poznań* — miasto na prawach powiatu w zach. Polsce, stolica województwa wielkopolskiego. [przypis edytorski]

<sup>89</sup>*Lagerältester* (niem.) — starszy obozu, najstarszy funkcyjny więzień. [przypis edytorski]

<sup>90</sup>*lager* — w gwarze obozowej: niemiecki obóz koncentracyjny. [przypis edytorski]

— Beker, mówią, że jest na kwarantannie<sup>91</sup> twój syn.

Ręce Bekera kurczowo ujęły trzon łopaty, a wzrok jego począł uważnie obejmować mój tułów, szyję, głowę.

— Ty, puść tę łopatę, nie patrz tak bojowo. Może to nieprawda, że to syn kazał ciebie zabić za tamtych z Poznania?

— Prawda — rzekł głucho. — A drugiego syna powiesiłem w Poznaniu, ale nie za ręce, tylko za szyję, bo ukradł chleb.

— Bydlę! — wybuchnąłem.

Ale Beker, starszy, siwawy Żyd, skłonny nieco do melancholii, był już spokojny i opanowany. Popatrzył na mnie z góry, prawie z pogardą:

— Jak długo siedzisz w obozie?

— O... parę miesięcy.

— Wiesz, Tadeusz, bardzo ciebie lubię — rzekł niespodziewanie — ale ty głodu to tak naprawdę nie zaznałeś, co?

— Zależy, co to jest głód.

— Głód jest wtedy prawdziwy, gdy człowiek patrzy na drugiego człowieka jako na obiekt do zjedzenia. Ja już miałem taki głód. Rozumiesz? — A gdy milczałem i tylko od czasu do czasu stukiałem kluczem o szyny, i machinalnie oglądałem się na lewo i na prawo, czy nie idzie kapo, ciągnął: — Nasz lager — tam — był mały... Tuż obok drogi. Droga chodzili ludzie ładnie ubrani, takie kobiety. Na przykład w niedzielę do kościoła. Albo młode pary. A dalej wieś, taka zwykła wieś. Tam ludzie mieli wszystko, o pół kilometra od nas. A myśmy brukiew... człowieku, u nas ludzie żywcem chcieli się zjadać! I co, miałem nie zabijać kucharzy, co za masło kupowali wódkę, a za chleb papierosy? Mój syn kradł, to go też zabiłem. Ja jestem tragarz, to znam życie.

Przyglądałem mu się ciekawie, jak nowemu człowiekowi.

— A ty, a ty też tylko twoją porcję jadłeś?

— To co innego. Ja byłem *Lagerältesterem*.

— Uwważaj! *Laborando, laborando, presto*<sup>92</sup>! — wrzasnąłem nagle, zza zakrętu drogi bowiem wynurzył się esesman na rowerze i przejeżdżał obok nas, przyglądając się uważnie. Natychmiast pochyliły się niżej karki, wzniosły się ciężko trzymane w pogotowiu łopaty, uderzył o szyny francuski klucz.

Esesman zniknął za drzewami, łopaty opadły i znieruchomiały, Grecy zapadali w zwykłe odrętwienie.

— Która godzina?

— Nie wiem. Do obiadu jeszcze daleko. A wiesz, Beker, powiem ci coś na odchodnym: dziś będzie na lagrze wybiórka<sup>93</sup>. Mam nadzieję, że razem ze swoimi wrzodami pójdziesz do komina.

— Wybiórka? Skąd wiesz, że będzie...

— Cóż się tak wystraszył? Będzie, i tyle. Boisz się, co? Nosił wilk... — Uśmiecham się złośliwie, rad z pomysłu, i odchodzę, nucąc modne tango zwane „krematoryjnym”. Puste oczy człowieka, z których nagle uciekła wszelka treść, patrzą nieruchomo przed siebie.

## II

Szyny mojej kolejki ciągną się wzdłuż i w szerz po całym polu. Tu doprowadziłem je jednym końcem do kupy spalonych kości, przywożonych przez auta z „kremo”, a drugi utopiłem w stawie, gdzie ostatecznie kości te lądują, ówdzie wjechałem nimi na górę piasku, który będzie równomiernie rozprowadzony po polu, żeby dać suchy podkład zbyt bagnistej glebie, tam znów położyłem je wzdłuż wału trawiastej ziemi, która pójdzie na piasek. Tory chodzą tak i siak, a tam, gdzie się krzyżują, jest olbrzymia żelazna płyta obrotowa, którą przenosi się raz tu, raz tam.

<sup>91</sup>*kwarantanna* — w gwarze obozowej: okres pobytu w obozie bezpośrednio po przybyciu, w czasie którego eliminowano więźniów chorych na choroby zakaźne i niezdolnych do pracy; kwarantannę organizowano w izolowanych blokach. [przypis edytorski]

<sup>92</sup>*presto* — szybko. [przypis edytorski]

<sup>93</sup>*wybiórka* a. *selekcja* — w gwarze obozowej: wybieranie spośród chorych lub inwalidów kandydatów do zagazowania. [przypis edytorski]

Tłum półnagich ludzi otoczył ją, pochylił się i wczepił w nią palce.

— *Hoooch*<sup>94</sup>, do góry! — wrzasnąłem, dla lepszego efektu podnosząc sugestywnie rękę jak dyrygent. Ludzie szarpnęli raz i drugi, ktoś przewalił się ciężko przez płytę, sam nie mogąc za bardzo ustać na nogach. Skopany przez towarzyszy, wyczołgał się z kręgu i, podnosząc piaskiem i łzami uwalaną twarz znad ziemi, jęknął:

— *Zu schwer, zu schwer...*<sup>95</sup> Za ciężkie, kolego, za ciężkie... — Wsadził rozharataną dłoń w usta, ssał chciwie.

— Do roboty, *auf*<sup>96</sup>! Wstawaj! Ano jeszcze raz! *Hooch!* Do góry!

— *Doguri!* — zgodnym chórem powtarza tłum, pochyla się jak najniżej, wypina zębate jak u ryb łuki kręgosłupów, wypręża mięśnie tułowia. Ale ręce, przytknięte do płyt, zwisają luźne i bezwładne.

— Do góry!

— *Doguri!*

Nagle na ten krąg wyprężonych grzbietów, na zgięte karki, na pochylone aż ku ziemi głowy, na sflaczałe ręce posypał się grad uderzeń. Trzon łopaty bębnił o łby, objął skórę na kościach i głucho stękał po brzuchu. Zakotłowało się naokoło płyty. Okropny wrzask ludzki buchnął nagle i urwał się, a płyta dzwignęła się do góry i, chybocząc się, ciężko zawisła nad głowami ludzi i ruszyła, grożąc w każdej chwili upadkiem.

— Wy psy — rzucił odchodzącym kapo — ja będę wam ale pomagał.

Dysząc ciężko, przecierał ręką czerwoną, obrzękłą twarz o żółtych plamach i wodził za nimi roztargnionym, bezmyślnym spojrzeniem, jakby tych ludzi widział po raz pierwszy. Potem zwrócił się do mnie:

— Ty, kolejarz, gorąco dzisiaj?

— Gorąco. Kapo, tę płytę trzeba położyć przy trzecim inkubatorze, prawda? A szyny?

— Poprowadzisz prosto do rowu.

— Ale tam jest wał ziemi po drodze.

— To go przekop. Do południa musi być zrobione. A na wieczór zrobisz mi cztery pary noszy. Może się kogoś poniesie na lager. Gorąco dziś, co?

— Gorąco. Ale, kapo... Dalej, dalej z tą płytą! Do trzeciego domku. Kapo się patrzy!

— Kolejarz, daj mi cytrynę.

— Niech kapo przyśle do mnie piplę<sup>97</sup>. Nie mam w kieszeni.

Kiwa kilkakrotnie głową i odchodzi, kulejąc. Idzie na dwór, na wyżerkę. Ale wiem, że tam mu nic nie dadzą — bije ludzi. Kładziemy płytę. Straszliwym wysiłkiem dociąga się szyny, podważa kilofem, gołymi palcami dokręca się śruby. Głodne, gorączkowe postacie łażą, nieporadne, zgonione, pokrwawione. Słońce wychodzi wysoko na niebo i grzeje coraz dokuczliwiej.

— Która godzina, kolego?

— Dziesiąta — mówię, nie podnosząc oczu od szyn.

— Boże, Boże, jeszcze dwie godziny do obiadu. Czy to prawda, że dziś będzie w obozie wybiórka, że pójdziemy do krematorium?

Już wszyscy wiedzą o wybiórce. Ukradkiem opatrują sobie rany, żeby były czystsze i mniejsze, zrywają bandażę, masują mięśnie, spryskują się wodą, żeby być świeższymi i raźniejszymi na wieczór. Walczą o byt ciężko i bohatercko. Innym jest wszystko jedno. Ruszają się, żeby uniknąć bicia, żrą trawę i lepką glinę, aby nie czuć głodu, chodzą osowiali, jeszcze żywe trupy.

— My wszyscy — krematorium. Ale wszyscy Niemcy będą *kaput*<sup>98</sup>. Wojna *fini*<sup>99</sup>, wszyscy Niemcy — krematorium. Wszyscy: kobiety, dzieci. Rozumiesz?

— Rozumiesz, *Greco gut*. Ale to nieprawda, wybiórki nie będzie, *keine Angst*<sup>100</sup>.

Przekopuję wał. Lekka, poręczna łopata „sama” chodzi w dłoniach. Grudy wilgotnej ziemi poddają się łatwo i miękko wylatują w powietrze. Dobrze jest pracować, jak się

Strach, Głód, Jedzenie

Praca, Jedzenie

<sup>94</sup>*hoch* (niem.) — do góry. [przypis edytorski]

<sup>95</sup>*zu schwer* (niem.) — za ciężki. [przypis edytorski]

<sup>96</sup>*auf* (niem.) — tu: do góry, wstawaj. [przypis edytorski]

<sup>97</sup>*pipel* — w gwarze obozowej: chłopiec na posługi u blokowego a. kapo. [przypis edytorski]

<sup>98</sup>*kaput* — skończeni. [przypis edytorski]

<sup>99</sup>*fini* — skończona. [przypis edytorski]

<sup>100</sup>*kein Angst* — żadnego strachu. [przypis edytorski]

zjadło na śniadanie ćwierć boczku z chlebem i czosnkiem i zapiło się puszką skondensowanego mleka.

W skąpym cieniu murowanego inkubatora kucnął Kommandoführer<sup>101</sup>, mały, wysuszony esesmanek w rozchełstanej koszuli. Zmęczył się łażeniem wśród kąpiących. Umie boleśnie smagać szpicrutą. Wczoraj ciął mnie dwa razy przez plecy.

— Gleisbauer<sup>102</sup>, co tam nowego słychać?

Śmigam łopatą i przybijam ziemię na wierzchu.

— Pod Orłem<sup>103</sup> padło trzysta tysięcy bolszewików.

— To dobrze, nie? Jak myślisz?

— Pewnie, że dobrze. Bo tam zginęło drugie tyle Niemców. A bolszewicy będą za rok tutaj, jak tak dalej pójdzie.

— Tak myślisz? — uśmiecha się złośliwie i zadaje sakramentalne pytanie: — Daleko do obiadu?

Wyciągam zegarek, stary, srebrny grat ze śmiesznymi rzymskimi cyframi. Lubię go, bo jest podobny do zegarka ojca. Kupiłem go za paczkę fig.

— Jedenasta.

Cherlak wstał spod muru i spokojnie wyjął mi go z ręki.

— Daj mi go. Bardzo mi się podoba.

— Nie mogę, bo to mój własny, z domu.

— Nie możesz? To nie.

Zamachnął się i cisnął zegarek o ścianę. Po czym siada znów w cieniu i podkula nogi.

— Gorąco dzisiaj, co?

Milcząc, podnoszę zegarek i zaczynam gwizdać ze złości. Najpierw fox o wesołej Joannie, potem stare tango o Rebecce, potem „Warszawiankę”<sup>104</sup> i „Rotę”<sup>105</sup>, a wreszcie repertuar z lewej strony.

Właśnie gwizdałem „Międzynarodówkę”<sup>106</sup>, wtórując w myśli — *Eto budiet poslednij i rieszitielnyj boj*<sup>107</sup>, gdy nagle przesłonił mnie wysoki cień i ciężka dłoń spadła mi na kark. Podniosłem głowę i zamarłem. Rozpościerała się nade mną olbrzymia, czerwona, obrzękła twarz, a trzon od łopaty niepokojąco chwiał się w powietrzu. Nieskazitelnie białe pasiaki odcinały się ostro od dalekiej zieleni drzew. Mały czerwony trójkąt z cyferką „3277”, przyszyty do piersi, chwiał się dziwnie i rozrastał się w oczach.

— Co gwizdziesz? — spytał kapo, patrząc mi prosto w oczy.

— To taki bardzo międzynarodowy slogan, panie kapo.

— A znasz ten slogan?

— No... trochę... z rozmaitych stron — dodałem przezornie.

— A to znasz? — spytał.

I ochryplym głosem zaczął śpiewać *Rote Fabne*<sup>108</sup>. Odrzucił trzon od łopaty, oczy załśniły mu niespokojnie. Nagle urwał, podniósł kij i pokiwał głową, pół z pogardą, a pół z politowaniem.

— Żeby to prawdziwy SS słyszał, już byś nie żył. Ale ten...

Cherlak pod murem śmieje się szeroko i dobrodusznie:

— I wy to nazywacie katorgą! Trzeba było być jak ja na Kaukazie<sup>109</sup>!

— Kommandorführer, już zasypaliśmy jeden staw kośćmi ludzkimi, a ile zasypano przedtem, a ile poszło do Wisły<sup>110</sup>, tego ani pan, ani ja nie wiemy.

— Trzymaj pysk, świński psie! — i wstał spod muru, sięgając po upuszczoną szpicrutę.

<sup>101</sup> *Kommandoführer* (niem.) — szef komanda więziarskiego. [przypis edytorski]

<sup>102</sup> *Gleisbauer* (niem.) — pracownik torowy. [przypis edytorski]

<sup>103</sup> *Orzeł* — miasto w zach. części Rosji, nad rzeką Oką; w czasie II wojny miejsce ciężkich walk między Rosjanami i Niemcami. [przypis edytorski]

<sup>104</sup> *Warszawianka* a. *Warszawianka 1905* — polska pieśń socjalistyczna, powstała w 1879 roku. [przypis edytorski]

<sup>105</sup> *Rota* — wiersz Marii Konopnickiej (1842–1910), a także pieśń hymniczna. [przypis edytorski]

<sup>106</sup> *Międzynarodówka* — pieśń rewolucyjna, hymn socjalistów. [przypis edytorski]

<sup>107</sup> *Eto budiet poslednij i rieszitielnyj boj* (ros.) — To będzie ostatni i decydujący bój. [przypis edytorski]

<sup>108</sup> *Rote Fabne* — (wł. Bandiera Rossa), powstała we Włoszech jedna z najsłynniejszych pieśni ruchu robotniczego, której tekst zmodyfikowano po dojściu Mussoliniego do władzy. [przypis edytorski]

<sup>109</sup> *Kaukaz* — łańcuch górski na pograniczu pld.-wsch. Europy i pld.-zach. Azji; także region geograficzny wokół gór Kaukaz. [przypis edytorski]

<sup>110</sup> *Wisła* — najdłuższa rzeka Polski. [przypis edytorski]

— Bierz ludzi i idź po obiad.

Rzucam łopatę i znikam za węglem inkubatora. Z daleka słyszę jeszcze głos kapa, ochryply i dychawiczny:

— Tak, tak, to są świńskie psy. Trzeba ich wszystkich wybić do nogi. Ma pan rację, panie Kommandorführerze.

Rzuciłem na nich nienawistne spojrzenie.

### III

Wychodzimy drogą prowadzącą przez Harmenze. Wysokie kasztany szumią, cień jest jeszcze zieleńszy, ale jakby suchszy. Jak wyschłe liście. Jest to cień południa.

Po wyjściu na drogę trzeba koniecznie przejść obok małego domku o oknach z zielonymi okiennicami, które w środku mają niezgrabnie wycięte serduszka, i o białych, wpół zesuniętych firaneczkach. Pod oknami pną się delikatne róże o bladym, matowym kolorze, a w skrzyneczkach rosną jakieś dziwne, fioletowe kwiateczki. Na schodach z ganczkiem oplecionym ciemnozielonym bluszczem bawi się mała dziewczynka z wielkim, mrukiwym psem. Pies, widocznie znudzony, daje się ciągnąć za uszy, tylko przekręca łbem, oganiając się od much. Dziewczynka jest w białej sukieneczce, ma opalone, brązowe ramiona. Pies jest rasy doberman, o brązowym podgardlu, a ta dziewczynka to córka Unterscharführera<sup>111</sup>, gospodarza w Harmenze. A ten dworek z różyczkami i firaneczkami to jego dom.

Zanim się wyjdzie na drogę, trzeba przebyć parę metrów grząskiego, lepkiego błota, ziemi zmieszanej z trocinami i polewanej odkażającą substancją. To żeby nie przywleć żadnej zarazy na Harmenze. Obchodzę ostrożnie z boku to świństwo i wyłazimy społem na drogę, gdzie rzędem poustawiane stoją kotły z zupą. Przywiózł je samochód z obozu. Każde komando<sup>112</sup> ma swoje kotły, oznaczone kredą. Obchodzę je dookoła. Zdążyliśmy na czas, nikt nam jeszcze nie ukradł. Trzeba samemu spróbować.

— Pięć naszych, dobrze, zabierać, te dwa rzędy należą do kobiet, nie wolno grandy robić. Aha, jest — monologuję głośno i ciągnę kocioł sąsiedniego komanda, a na jego miejsce podstawiam nasz, o połowę mniejszy, i kreślę nowe znaki kredą.

— Zabierać! — gromko wołam do Greków, którzy gapią się na proceder pełni zrozumienia.

— Te, coś kotły zamienili! Czekaj, stój! — wołają tamci, z drugiego komanda, którzy też idą po obiad, tylko się spóźnili.

— Kto ci zamienił? Trzymaj pysk, człowieku!

Tamci biegną, ale Grecy, ciągnąc kotły po ziemi, stękając, klnąc po swojemu: „putare”<sup>113</sup> i „porka”<sup>114</sup>, popychając i poganiając się wzajemnie, znikają za żerdzią, oddzielając świat od Harmenze. Przełażę za nimi ostatni, słyszę, jak tamci są już przy kotłach i klną mnie w żywy kamień, a moją rodzinę rozstawiają z uporem po kątach. Ale wszystko jest w porządku: dziś ja, jutro oni, kto pierwszy, ten lepszy. Nasz patriotyzm komandowy nie wychodzi nigdy poza ramy sportu.

Zupa bulgocze w kotłach. Grecy co parę kroków stawiają kotły na ziemi. Oddychają ciężko, jak ryby wyrzucone na brzeg, i ukradkiem zlizują palcami, ciekącą wąziutkimi strugami spod niedokręconych pokryw, lepka, gorąca maź. Znam jej smak, zmieszany z kurzem, brudem i potem rąk, bo sam te kotły nie tak dawno nosiłem.

Stawiają kotły i wyczekująco patrzą mi w twarz. Podchodzę uroczyście do środkowego kotła, wolno odkręcam śruby, przez nieskończenie długie pół sekundy trzymam dłoń na pokrywie i — podnoszę. Kilkanaście par oczu gaśnie w zniechęceniu: pokrzywa. Rzadka, biała ciecz chlupie w kotle. Na powierzchni pływają żółte oka margaryny. Ale wszyscy poznają po kolorze, że pod spodem leżą całe, nieposiekane, włókniste lodygi pokrzyw, o zgniłym kolorze i ohydny zapachu, że zupa do samego dna jest taka sama: woda, woda, woda... Na moment świat ciemnieje w oczach dźwigających ludzi. Kładę pokrywę na kocioł. W milczeniu znosimy kotły na dół.

<sup>111</sup> *Unterscharführer* — najmłodszy stopień podoficerski w SS. [przypis edytorski]

<sup>112</sup> *komando* — w gwarze obozowej: w obozie koncentracyjnym grupa więźniów, wykonujących pracę przymusową. [przypis edytorski]

<sup>113</sup> *putare* (wulg.) — kurwa. [przypis edytorski]

<sup>114</sup> *porka* (wulg.) — kurwa, cholera. [przypis edytorski]

Dworek, Dziecko, Pies,  
Sielanka

Jedzenie

Jedzenie, Rozczarowanie,  
Przekleństwo, Obcy

Wielkim łukiem obchodzę teraz pole ku grupie Iwana, który zdziera nawierzchnię łąki przy kartoflach. Długi rząd ludzi w pasiakach stoi nieruchomo przy czarnym wale ziemi. Od czasu do czasu ruszy się łopata, ktoś przegnie się, zamrze na chwilę w tym ruchu, wyprostuje się z wolna, dźwignie łopatę i zastygnie na długo w półobrocie, w niedokończonym geście, jak zwierzę zwane leniwcem. Za chwilę poruszy się ktoś inny, machnie łopatą i zapadnie tak samo w bezwładne otepienie. Nie pracują rękoma, lecz oczami. Gdy pojawi się na horyzoncie esesman lub kapo albo spod wnęki, gdzie panuje wilgotny cień świeżej ziemi, ciężko wygramoli się dozorca, łopaty szczękają żywiej, choć, póki się da, latają puste, członki poruszają się jak w kinie: śmiesznie, kanciasto.

Włażę wprost na Iwana. Siedzi w swej wnęce i kozikiem wyrzyna na korze grubego drąga ozdoby: kwadraty, wężyki, serduszka, ukraińskie napisy. Obok klęczał stary, zaufany Grek i pakował coś do jego torby. Zdążyłem jeszcze dostrzec białe, pierzaste skrzydło i czerwoną głowę gęsi, dziwnie wygiętą na grzbiet, gdy Iwan, zobaczywszy mnie, rzucił na worek marynarkę. Słonina przemieęła mi w kieszeni i mam brzydką plamę na spodniach.

— Od pani Haneczki — rzekłem krótko.

— Nie mówiła nic? Miała przynieść jajka?

— Kazała ci podziękować za mydło. Bardzo się jej podobało.

— To *horoszo*<sup>115</sup>. Ja je wczoraj kupił od Żyda z Kanady<sup>116</sup>. Dałem trzy jajka.

Iwan rozwija słoninę. Jest wymiętoszona, rozparzona i żółta. Mdło mi się robi na jej widok, może dlatego, że zbyt wiele boczku zjadłem z rana i jeszcze mi się odbija.

— O *blad*<sup>117</sup>! Za takie dwa kawałki tylko tyle dała? Ciasta ci nie dała? — Iwan patrzy na mnie podejrzliwie.

— A wiesz, Iwan, rzeczywiście dała ci za mało. Widziałem to mydło.

— Widziałeś je? — Iwan poruszył się niespokojnie we wnęce. — Trzeba iść ludzi pognać do roboty.

— Widziałem. I za mało ci dała. Więcej ci się należy. Zwłaszcza ode mnie. Postaram ci się oddać. — Chwilę patrzymy sobie twardo w oczy.

#### IV

Nad samym rowem wyrósł tatarak, a po drugiej stronie, gdzie stoi głupi, wąsaty post<sup>118</sup> z paru trójkątami wysłużonych lat na ramieniu, rosną maliny o bladych, jakby zakurzonych liściach. Dnem rowu biegnie mętna woda, panoszą się w niej jakieś zielone, oślizgłe dziwotwory, czasem ze szlamem wygarnie się czarnego, wijącego się węgorza. Grecy zjadają go na surowo.

Rozkraczam się nad rowem i łopatą powoli przesuwam po dnie. Stoję ostrożnie, by nie zamoczyć butów. Post podchodzi bliżej, przygląda się w milczeniu.

— Co to będzie tu robione?

— Grobla, a potem oczyścimy rów, panie post.

— Skąd masz takie ładne buty?

Buty mam istotnie ładne: na podwójnej podeszwie, ręcznie szytej, półbuty bardzo wymyślnie na modę węgierską dziurkowane. Przynieśli mi je przyjaciele z rampy<sup>119</sup>.

— Dostałem w obozie razem z tą koszulą — odrzekłem, wskazując mu na jedwabną koszulę, za którą dałem chyba z kilo pomidorów.

— Takie buty dają u was? Patrz, w jakich ja chodzę.

Pokazuje mi buty zmarszczone i popękane. Na nosie prawego łąta. Kiwam w zrozumieniu głową.

— A nie sprzedałbyś mi tych swoich butów?

Podniosłem na niego wzrok pełen bezgranicznego zdziwienia.

— Jakże ja mogę sprzedać panu własność obozu? Jakże ja mogę?

<sup>115</sup>*horoszo* (ros.) — dobrze. [przypis edytorski]

<sup>116</sup>*Kanada* — w gwarze obozowej: grupa więźniów przebywających w obozie dłuży czas, zajmujących się rozładunkami transportów, uważana za uprzywilejowaną. [przypis edytorski]

<sup>117</sup>*blad* (ros., wulg.) — kurwa. [przypis edytorski]

<sup>118</sup>*post* — w gwarze obozowej: esesman, pilnujący więźniów przy pracy lub pełniący wartę na wieży strażniczej. [przypis edytorski]

<sup>119</sup>*rampa* — w gwarze obozowej: miejsce przywożenia i wywożenia transportów więźniów, a także ich selekcji. [przypis edytorski]



Post opiera karabin o ławkę i podchodzi bliżej do mnie, przechylając się nad wodą, która odbija jego postać. Sięgnąłem łopata i zmaściłem obraz.

— Wszystko wolno, jak nikt nie widzi. Dostaniesz chleba, mam w chlebaku.

Chleba dostałem w tym tygodniu szesnaście bochenków z Warszawy. Poza tym za takie buty pół litra wódki murowane. Uśmiecham się więc wyrozumiale.

— Dziękuję, dostajemy w obozie takie porcje, że nie jestem głodny. Chleba i słoniny mam dosyć. Ale jeśli pan post ma chleba za dużo, to niech da tym Żydom, którzy pracują tam, przy wale. O, ten, co nosi darń — rzekłem, wskazując na małego, chudego Żydkę o kaprawych, zażawionych oczach — to bardzo porządny chłopak. Zresztą te buty nie są dobre, zelówka się odrywa. — W zelówce istotnie jest szpara: chowa się tam czasem parę dolarów, czasem parę marek, czasem jakiś list. Post zagryza wargi i patrzy na mnie ze ściągniętymi brwiami.

— Za co ciebie zamknęli?

— Szedłem ulicą, była łapanka. Złapali, zamknęli i przywieźli. Zupełnie niewinnie.

— Wy wszyscy tak mówicie!

— O, nieprawda, nie wszyscy. Mego przyjaciela aresztowali za to, że fałszywie śpiewał, rozumie pan post, *falsch gesungen*<sup>120</sup>.

Łopata, którą bez przerwy poruszam po dnie mulastego rowu, zaczepiła się o coś twardego. Szarpie: drut. Klnę brzydko pod nosem, a post, ogłupiały, patrzy na mnie.

— *Was*<sup>121</sup>, *falsch gesungen*?

— O, to cała historia. Raz w Warszawie, gdy podczas nabożeństwa śpiewano pieśni kościelne, mój przyjaciel zaczął śpiewać hymn narodowy. A że śpiewał bardzo fałszywie, więc go zamknęli. I powiedzieli, że dotąd nie wypuszczą, aż się nauczy nut. Bili go nawet, ale nic z tego, będzie pewnie siedział aż do końca wojny, bo jest zupełnie niemuzykalny. Raz nawet pomylił marsz niemiecki z marszem Chopina<sup>122</sup>.

Post syknął coś i odszedł w stronę ławki. Usiadł, podniósł w zadumie karabin i, bawiąc się zamkiem, zarepetował. Podniósł głowę, jak by coś sobie przypominając.

— Ty, warszawiak, chodź, dam ci chleb, oddasz go Żydom — rzekł, sięgając po torbę.

Uśmiecham się najprzyjemniej, jak tylko umiem.

Po tamtej stronie rowu ciągnie się linia wart i postom wolno strzelać do ludzi. Za łebek dostają trzy dni urlopu i pięć marek.

— Niestety, nie wolno nam tam chodzić. Ale jeśli pan post chce, to proszę rzucić chleb, ja naprawdę złapię.

Staję w wyczekującej pozycji, ale post odkłada nagle torbę na ziemię, zrywa się i melduje przechodzącemu dowódcy warty, że „wszystko bez szczególnych wydarzeń”.

Janek, który pracuje obok mnie, takie miłe dziecko Warszawy, które nic z obozu nie rozumie i chyba do końca nie zrozumie, wygarnia pracowicie szlam, układając go równo i starannie po drugiej stronie, prawie wprost pod nogi posta. Dowódca warty podszedł bliżej i popatrzył na nas tak, jak się patrzy na parę koni, które ciągną wóz, albo na pasące się bydło. Janek uśmiecha się szeroko w jego stronę i kiwa porozumiewawczo głową.

— Rów oczyszczamy, panie Rottenführer<sup>123</sup>, bardzo dużo błota.

Rottenführer ocknął się i spojrzął na mówiącego więźnia ze zdziwieniem takim, jak patrzy się na pociągowego konia, który nagle przemówi, albo na pasącą się krowę, która zacznie śpiewać modne tango.

— Chodź no tu — rzekł do niego.

Janek odłożył łopate, przeskoczył rów i podszedł. Wtedy Rottenführer podniósł rękę i trzasnął go z całej siły w twarz. Janek potoczył się, chwycił się krzaków malin i wjechał do szlamu. Zabulgotała woda, ja zakrzusilem się śmiechem. Rottenführer zaś rzekł:

— G... mnie obchodzi, co ty tu robisz nad rowem! Możesz nic nie robić. Ale jak mówisz do esesmana, to masz czapkę zdjąć ze łba i opuścić ręce. — Rottenführer odszedł. Pomogłem Jankowi wyleźć z błota.

<sup>120</sup>*falsch gesungen* (niem.) — fałszywie zaśpiewane, sfalszowane. [przypis edytorski]

<sup>121</sup>*was* (niem.) — co. [przypis edytorski]

<sup>122</sup>*Chopin, Fryderyk* (1810–1849) — polski kompozytor i pianista. [przypis edytorski]

<sup>123</sup>*Rottenführer* (niem.) — stopień przynawany członkom SS i SA, zasłużonym dla organizacji, ale nieposiadającym odpowiedniego przeszkolenia politycznego lub wojskowego, aby zostać podoficerem; stopień Rottenführera był odpowiednikiem kaprała w armii. [przypis edytorski]

— Ale za co ja dostałem, za co, za co? — spytał zdumiony, nic nierozumiejący.

— Nie pchaj się na ochotnika — odrzekłem — a teraz się oczyść.

Kończymy właśnie szlamowanie rowu, gdy nadszedł pipel od kapa. Sięgam po chlebak, przekładam bochenek chleba, słoninę i cebulę. Wyciągam cytrynę. Post z drugiej strony przygląda się milcząco.

— Pipel, chodź tu. Mam. Wiesz dla kogo.

— Dobra, Tadek. Słuchaj, nie masz co do jedzenia? Ale wiesz, coś słodkiego. Albo jajek. Nie, nie, ja nie jestem głodny, jadłem na dworze. Dostałem od pani Haneczki trochę jajeczniczy. Morowa kobieta! Tylko chciałaby wszystko wiedzieć o Iwanie. Ale wiesz, jak kapo pójdzie na dwór, to mu nic nie dadzą.

— Niech nie bije ludzi, to mu dadzą.

— Powiedz mu to.

— Od czego jesteś, pipel? Nie umiesz organizować. Przypatrz się, jak tu niektórzy gęsi łapią i wieczorem smażą w bloku, a twój kapo zupę je. Smakowały mu wczorajsze pokrzywy?

Pipel patrzy na mnie badawczo. Jest to młody, ale bardzo sprytny chłopak. Niemiec, był w wojsku, choć ma dopiero szesnaście lat. Szmuglował.

— Tadek, mów od razu, przecie się rozumiemy. Na kogo chcesz mnie napuścić?

— Na nikogo. Ale przypatrz się dobrze gęsiom.

— A wiesz, że wczoraj znowu zginęła jedna gęś, a Unterscharführer zbił kapę po pysku i zabrał mu ze złości zegarek? No, idę i popatrzę.

Idziemy razem, bo jest już przerwa na obiad. Gwiżdżą preraźliwie od strony kotłów i machają rękoma. Jak kto stoi, rzuca narzędzia. Łopaty sterczą na wałach. Z całego pola idą powoli ku kotłom zmęczeni ludzie, chcąc przeciągnąć błogą chwilę przedobiedną, głód, który zaraz będą nasycać. Spóźniona, ciągnie za wszystkimi grupa Iwana. Iwan zatrzymał się nad rowem przy „moim” poście i rozmawia z nim długo. Post pokazuje ramieniem. Iwan kiwa głową. Wrzaski i nawoływania przynagliły go do pośpiechu. Przechodząc koło mnie, rzuca:

— Zdaje się, że dziś nic nie upolujesz.

— Dzień się jeszcze nie skończył — odparłem.

Rzuca mi z ukosa złośliwe i wyzywające spojrzenie.

## V

W pustym inkubatorze pipel rozstawia naczynia, wyciera stołki i nakrywa stół do obiadu. Pisarz komanda, grecki lingwista, kurczy się w kącie, żeby wydać się jak najmniejszym i najbardziej niepozornym. Przez wywalone drzwi widać jego twarz koloru gotowanego raka, o oczach wodnistych jak żabi skrzek. Na dworze, na placyku otoczonym naokoło wysokim wałem ziemi, posadzono więźniów. Siedli tak, jak stali, po pięciu, szeregami i w grupach. Siedzą ze skrzyżowanymi nogami, wyprostowani, ręce opuszczone są do bioder. Podczas wydawania obiadu nie wolno im się ruszyć. Później będą mogli przegiąć się w tył i położyć się na kolanach towarzysza, ale biada, jeśli złamią szyk szeregów. Z boku, w cieniu nasypu, niedbale siedzą esesmani, maszynowe pistolety położywszy nonszalantko na kolanach, wyciągają z toreb i chlebaków chlebek, smarują uważnie margaryną, jedzą powoli i odświeżają. Do jednego przysiadł się Rubin, Żyd z Kanady, i cicho z nimi rozmawia. Załatwia interes — dla siebie i dla kapy. Sam kapo, olbrzymi i czerwony, stoi przy kotle.

Biegamy z miskami w rękę niczym najwytrawniejsi kelnerzy. W całkowitym milczeniu podajemy zupę, w całkowitym milczeniu wrywamy przemocą menażki z rąk, które chcą coś z pustego dna jeszcze wygrzebać, jeszcze przedłużyć chwilę jedzenia, jeszcze raz oblizać miskę, ukradkiem przeciągnąć palcem po dnie. Kapo odskoczył od kotła, wpadł w szeregi: dojrzał. Kopniakiem w twarz obala liżącego miskę, kopie raz i drugi w podbrzusze i odchodzi, depcząc po kolanach i rękach, ale ostrożnie, omijając jedzących.

Wszystkie oczy patrzą z wysiłkiem w twarz kapy. Jeszcze dwa kotły: dolewka. Co dzień kapo rozkoszuje się tą chwilą. Za dziesięć lat obozu należy mu się ta pełnia władzy nad ludźmi. Końcem chochli wskazuje, kto zasłużył na dolewkę: nie pomyli się nigdy.

Jedzenie

Głód, Jedzenie, Kondycja  
ludzka

Jedzenie

Jedzenie, Kondycja  
ludzka

Dolewkę dostaje lepiej pracujący, silniejszy, zdrowszy. Chory, osłabiony, wyschły człowiek nie ma prawa do drugiej miski wody z pokrzywą. Nie wolno marnować pokarmu dla ludzi, którzy niedługo pójdą do komina.

Vorarbeiterom<sup>124</sup> należą się z urzędu dwie pełne miski zupy z kartoflami i mięsem, wygrzebanej z dna kotła. Z miską w rękę oglądam się, niezdecydowany, czuję na sobie czyjś uporczywy wzrok. W pierwszym rzędzie siedzi Beker, wylupiaste oczy utkwili pożądliwie w zupie.

— Masz, zjedz, może to ci nareszcie zaszkodzi.

W milczeniu chwyta miskę z rąk i zaczyna łapczywie jeść.

— A miskę postaw koło siebie, żeby pipel pozbierał, bo dostaniesz od kapy w mordę.

Drugą miskę oddaję Andrzejowi. Przyniesie mi za to jabłek. Pracuje w sadzie.

— Rubin, co post mówił? — pytam półgłosem, mijając go, aby pójść do cienia.

— Post mówi, że Kijów zajęli — odpowiada cicho.

Zatrzymuję się zdziwiony. Kiwa mi niecierpliwie ręką. Odchodzę w cień, podkładam pod siebie marynarkę, aby nie pobrudzić jedwabnej koszulki, układam się wygodnie do snu. Odpoczywamy, jak kogo na to stać.

Kapo poszedł do inkubatora i po zjedzeniu dwóch misek zupy zasnął. Wtedy pipel wyciągnął z kieszeni kawał gotowanego mięsa, pokroił go na chlebiec i począł jeść ostentacyjnie na oczach głodnego tłumu, zagryzając mięso cebulą jak jabłkiem. Ludzie porozkładali się w ciasnych szeregach jeden za drugim i, zakrywszy głowę marynarkami, zapadli w ciężki, niespokojny sen. My leżymy w cieniu. Naprzeciw rozłożyło się komando dziewcząt w białych chusteczkach. Z daleka pokrzykują coś do nas i na migi układają całe historie. Ten i ów kiwa porozumiewawczo. Jedna z dziewcząt klęczy całkiem z boku, a w wyprostowanych nad głową rękach trzyma belkę, wielką i ciężką. Co chwila esesman, pilnujący komanda, popuszcza smycz psa. Pies rwie się do jej twarzy, ujadając wściekle.

— Złodziejka? — domyślam się leniwie.

— Nie. Złapali ją w kukurydzy z Petrem. Petro uciekł — odrzekł Andrzej.

— Wytrzyma pięć minut?

— Wytrzyma. To twarda dziewczka.

Nie wytrzymała. Ugięła ręce, rzuciła belkę i upadła na ziemię, głośno zanosząc się płaczem. Andrzej odwrócił się i spojrzał na mnie.

— Nie masz, Tadek, papierosa? Szkoda, ot życie!

Po czym owinął głowę w marynarkę, wyciągnął się wygodniej i zasnął. Układałem się i ja do snu, gdy szarpnął mnie pipel:

— Kapo cię woła. Uważaj, bo zły.

Kapo obudził się, ma czerwone oczy. Przeciera je i patrzy nieruchomo w przestrzeń.

— Ty — dotknął mi grożąco palcem piersi — dlaczego oddałeś zupę?

— Mam co innego jeść.

— Co on ci dał za to?

— Nic.

Kiwa głową niedowierzająco. Porusza ogromnymi zuchwami jak krowa, żująca pokarm.

— Jutro w ogóle zupy nie dostaniesz. Dostaną ci, co nic innego nie mają do jedzenia. Rozumiesz?

— Dobrze, kapo.

— Dlaczego nie zrobiłeś czterech trag<sup>125</sup>, jak ci kazałem? Zapomniałeś?

— Nie miałem czasu. Kapo widział, co robiłem przed południem.

— Zrobisz je po południu. I uważaj, żebyś sam na nich nie leżał. Ja ci to mogę zrobić.

— Czy mogę już odejść?

Dopiero teraz spojrzał na mnie. Utkwił we mnie martwy, pusty wzrok człowieka wyrwanego z głębokiego zamyślenia.

— Czego ty tu chcesz? — zapytał.

<sup>124</sup>Vorarbeiter — w gwarze obozowej: starszy więzień w komandzie. [przypis edytorski]

<sup>125</sup>traga — w gwarze obozowej: nosze. [przypis edytorski]

## VI

Spod kasztanów doszedł mnie zdławiony krzyk człowieka. Zbieram klucze i zakrętki, układam tragi jedną na drugiej, rzucam Jankowi:

— Janek, weź skrzynkę, bo się mamusia będzie gniewała — i podchodzę w stronę drogi.

Na ziemi leżał Beker, charczał i pluł krwią, a Iwan kopał go, gdzie popadło: w morde, w brzuch, w podbrzusze...

— Patrz, co ten hadiuka<sup>126</sup> zrobił! Cały obiad ci wyżarł! Złodziej przekłety!

Na ziemi leży menażka pani Haneczki z resztą kaszy. Beker jest cały umazany w kaszy.

— Wsadziłem mu ryło do menażki — rzekł, ciężko dysząc, Iwan. — Dokończ go, bo muszę iść.

— Umyj menażkę — rzekłem do Bekera — i postaw pod drzewem. Uważaj, żeby cię kapo nie złapał. Właśnie zrobiłem czworo noszy. Wiesz, co to znaczy?

Na drodze Andrzej ćwiczy dwóch Żydów. Nie umieli maszerować, kapo połamał im na łbach dwa kije i zapowiedział, że się muszą nauczyć. Andrzej przywiązał im po kiju do nogi i tłumaczy, jak może: „*czortowe wy diety, taj dywyś, ce lewa, a ce prawa, links, links*”<sup>127</sup>. Grecy otwierają szeroko oczy i maszerują w koło, ze strachu szurając nogami po ziemi. Ogromny tuman kurzu wzbija się wysoko w górę. Koło rowu, gdzie stoi post, ten od butów, pracują nasi chłopcy, „planują” ziemię, delikatnie ubijając ją i głaszcząc łopatami, jakby była ciastem. Wrzeszczą, gdy idą na przelaj, zostawiając głębokie ślady.

— Tadek, co słyhać?

— A nic, Kijów zajęli.

— A czy to prawda?

— Śmieszne pytanie!

Tak drąc się na cały głos, omijam ich z boku i idę wzdłuż rowu. Nagle słyszę za sobą wołanie:

— *Halt, halt, du Warschauer!*<sup>128</sup> — I za chwilę niespodziewanie po polsku: — Stój, stój!

Po drugiej stronie rowu dobiega do mnie pędem „mój post”, karabin pochylił jak do szturm. Jest bardzo podniecony. — Stój, stój!

Stoję. Post przedziera się przez krzaki jeżyn, repetuje karabin.

— Coś ty teraz mówił? O Kijowie? Wy tu plotki polityczne rozpuszczacie! Wy tu tajną organizację macie! Numer, numer, podaj swój numer!

Dygotając ze złości i wzburzenia, wyciąga świstek papieru, długo szuka ołówka. Uczulem, jak ze mnie coś odpływa, ale trochę ochłonąłem.

— Przepraszam, pan post nie rozumiał. Pan post słabo po polsku rozumie. Ja mówiłem o kijach, które Andrzej przywiązał Żydom na drodze. I że to jest bardzo śmieszne.

— „Tak, tak, panie post, właśnie to on mówił” — potwierdza zgodny chór.

Post zamierzył się karabinem, jak by chciał mnie sięgnąć kolbą przez rów.

— Ty jesteś ale zwariowany! Ja jeszcze dzisiaj zamelduję na polityczny! Numer, numer!

— Sto dziewiętnaście, sto dzie...

— Pokaż na ręce.

— Patrz.

Wyciągam ramię z wytatuowanym numerem i jestem pewien, że z daleka nie widzi.

— Chodź bliżej.

— Nie wolno mi. Może post robić meldunek, ale ja nie jestem „biały Wańka”.

„Biały Wańka” parę dni temu wlaź na brzozę, rosnącą na linii postów, żeby naciąć gałęzi na miotły. Za miotły można dostać w obozie chleb lub zupę. Post złożył się i strzelił, kula przeszła na ukos przez pierś i wyszła tyłem przez kark. Przynieśliśmy chłopca do obozu. Odchodzę zły, ale tuż za węglem dogania mnie Rubin.

— Tadek, cóżes ty zrobił? I co to będzie?

— A co ma być?

<sup>126</sup>hadiuka — w polszczyźnie kresowej: wąż, padalec. [przypis edytorski]

<sup>127</sup>czortowe wy diety, taj dywyś, ce lewa, a ce prawa, links, links — diabelski pomocię, no i patrzcie, lewa, prawa, lewa, lewa. [przypis edytorski]

<sup>128</sup>Halt, halt, du Warschauer! (niem.) — Stój, stój, ty warszawiaku! [przypis edytorski]

— Przecież ty wszystko powiesz, że to ja... Oj, coś ty najlepszego zrobił. Jak można tak głośno krzyczeć? Ty mnie zniszczyć chcesz.

— Czego ty się boisz? U nas nie sypią.

— Ja wiem i ty wiesz, ale *sicher ist sicher*<sup>129</sup>. Pewne jest pewne. Ty, a może dasz te buty dla posta? On się na pewno zgodzi. Nu, ja spróbuję z nim pogadać. Niech mnie to kosztuje. Ja z nim handlowałem.

— A to świetnie, powie się i o tym.

— Tadek, ja czarno widzę przed nami. Ty daj buty, a ja z nim obgadam. To morowy chłop.

— Tylko za długo żyje. Butów nie dam, bo mi szkoda. Ale mam zegarek. Nie chodzi i ma pęknięte szkło, ale od czego ty jesteś. Zresztą, daj swój, nic cię nie kosztował.

— Oj, Tadek, Tadek...

Rubin chowa zegarek, słyszę z daleka:

— Kolejarz!

Biegnę na przelaj przez pole. Oczy kapy nabrały złowieszczonego wyrazu, a w kącikach ust pojawiła się piana. Ręce, olbrzymie goryle ręce, kołyszą się miarowo, a palce nerwowo się kurczą:

— Coś handlował z Rubinem?

— Kapo przecież widział. Kapo wszystko widzi. Dałem mu zegarek.

— Co? — Ręce powoli poczęły się podnosić ku mojemu gardłu.

Skamieniałem ze strachu. Bez najmniejszego ruchu (to dzikie zwierzę — przemknęło mi przez myśl), nie spuszczać z niego oczu, wypaliłem jednym tchem:

— Dałem zegarek, bo post chce mi robić meldung<sup>130</sup> na polityczny za to, że prowadzę tajną robotę.

Ręce kapo rozprężyły się z wolna i opadły wzdłuż boków. Szczęka zwisła lekko jak u psa, któremu jest zbyt gorąco. Słuchając opowiadania, niezdecydowanie macha trzonkiem od łopaty.

— Idź do roboty — zdaje się, że ciebie dziś poniosą do obozu.

W tej chwili czyni błyskawiczny ruch, podrywa się na baczność i ściąga czapkę z głowy. Odskakuję, uderzony z tyłu rowerem. Zrywam czapkę. Unterscharführer, gospodarz z Harmenze, zeskakuje z roweru, czerwony ze zdenerwowania:

— Co się tu dzieje na tym zwariowanym komandzie? Dlaczego ci ludzie chodzą tam z poprzywiązywymi kijami? To jest czas pracy!

— Oni nie umieją chodzić.

— Jak nie umieją, to ich zabić. A wie pan, że znowu zginęła gęś?

— Czego stoisz jak głupi pies? — wrzasnął kapo na mnie. — Andrej ma zrobić z nimi porządek. *Los!*<sup>131</sup>

Poleciałem ścieżką.

— *Andrej, konczaj!*<sup>132</sup> ich! Kapo kazał!

Andrej chwycił kij i uderzył na odlew. Grek zasłonił się ręką, zaskowyczał i upadł. Andrej położył mu kij na gardle, stanął na kiju i zakolysał się.

Odszedłem prędko w swoją stronę.

Z daleka widzę, jak kapo z esesmanem idą do mego posta i długo z nim gadają. Kapo gestykuluje gwałtownie trzonkiem łopaty. Czapkę ma nasadzoną na łbie. Gdy odeszli, podszedł do posta Rubin. Post wstał z ławki, zbliżył się nad rów, wreszcie wszedł na groblę. Po chwili Rubin kiwa na mnie.

— Podziękuj panu postowi, że ci nie robi meldunku.

Rubin nie ma zegarka na ręku.

Dziękuję i odchodzę w stronę warsztatu. Stary Grek, ten od Iwana, zatrzymuje mnie po drodze.

— *Camerade!*<sup>133</sup>, *camerade*, ten esesman to z obozu, prawda?

— Albo co?

Interes, Strach

Okrucieństwo, Śmierć

Strach, Kondycja ludzka

<sup>129</sup>*sicher ist sicher* (niem.) — pewne to pewne. [przypis edytorski]

<sup>130</sup>*Meldung* (niem.) — zgłoszenie, meldunek. [przypis edytorski]

<sup>131</sup>*Los!* (niem.) — Szybciej! [przypis edytorski]

<sup>132</sup>*Andrej, konczaj* (ros.) — Andrej, wykończ. [przypis edytorski]

<sup>133</sup>*camerade* — towarzysz, kolega. [przypis edytorski]

— To dziś już naprawdę będzie wybiórka?

I w dziwnej egzaltacji siwy, wysuszony Grek, kupiec z Salonik, odrzuca łopatę i podnosi ręce do góry:

— *Nous sommes les hommes misérables. O Dieu, Dieu!*<sup>134</sup>

Blade, niebieskie oczy patrzą w niebo, które jest tak samo niebieskie i blade.

## VII

Podnosimy wagonik. Naładowany do pełna piaskiem, wykoleił się na samej „scheibie”<sup>135</sup>. Cztery pary wychudłych ramion pchają wóz raz do przodu, raz do tyłu, huśtają. Rozkolesali, podnieśli przednią parę kół, wstawili na szyny. Podkładamy kołek, lora<sup>136</sup> już, już włązi na szyny, nagle puszczamy ją i wyprostowujemy się.

— Zbiórka! — drę się i gwizdzę z daleka.

Lora bezwładnie opada i kołami zarywa się w ziemię. Ktoś odrzuca niepotrzebny drąg, wysypujemy piasek z lory wprost na „scheibę”. I tak się jutro sprzątnie.

Idziemy na „antreten”<sup>137</sup>. Dopiero po chwili orientujemy się, że przecież za wcześnie. Słońce stoi jeszcze wysoko. Do czuba drzewa, o które opiera się nosem w porze zbiórki, jest jeszcze kawał drogi. Najwyżej trzecia. Twarze ludzkie są niespokojne i pytające. Stajemy w piątkach, równamy, dociągamy torby i pasy.

Pisarz liczy nas nieustannie.

Od strony dworu idą esesmani i te nasze posty. Obstawiają nas wokoło. Stoimy. Na końcu komanda nosze z dwoma trupami.

Na drodze uczynił się większy ruch niż zwykle. Ludzie z Harmenz chodzą tu i tam, zaniepokojeni naszym wczesnym odejściem. Ale dla starych „lagrowców”<sup>138</sup> rzecz jest jasna: w lagrze będzie naprawdę wybiórka.

Parę razy mignęła jasna chusteczka pani Haneczki.

Kobieta zwraca ku nam pytające oczy. Stawia koszyk na ziemi i opiera się o stodołę, patrzy. Idę za jej wzrokiem. Patrzy niespokojnie na Iwana.

Zaraz za esesmanami nadszedł kapo i cherlak Kommandoführer.

— Rozstąpić się i podnieść ręce do góry — rzekł kapo.

Wtedy wszyscy zrozumieli: rewizja. Rozpinamy kurtki, otwieramy torby. Esesman jest wprawny i szybki. Przejeżdża rękoma po ciele, sięga do torby. Obok reszty chleba, paru cebul i jakiejś zestarzałej słoniny — jabłka, niewątpliwie z sadu.

— Skąd to masz?

Podnoszę głowę: „mój” post.

— Z paczki, panie post.

Przez chwilę patrzy mi ironicznie w oczy.

— Te same jabłka jadłem dzisiaj po obiedzie.

Wypaproszają z kieszeni kawały słoneczników, kaczany kukurydzy, ziele, szczaw, jabłko, raz po raz podrywa się krótki ludzki wrzask: biją.

Nagle Unterscharführer wszedł w sam środek szeregu i wyciągnął na bok starego Greka z dużą, wypchaną torbą.

— Otwórz — rzekł krótko.

Trzęsącymi się rękoma Grek otworzył torbę. Unterscharführer zajrzał do środka i zawołał kapa:

— Patrz, kapo, nasza gęś.

I wyciągnął z torby gęś o olbrzymich, rozłożystych skrzydłach.

Pipel, który też podbiegł do worka, krzyknął tryumfująco do kapy:

— Jest, jest, a nie mówiłem!

Kapo zamachnął się kijem.

— Nie bij — rzekł, wstrzymując mu rękę, esesman.

<sup>134</sup>*Nous sommes les hommes misérables. O Dieu, Dieu!* (fr.) — Jesteśmy nieszczęśliwymi. O Boże, Boże! [przypis edytorski]

<sup>135</sup>*scheiba* (z niem.) — tu: płytka metalowa z otworem, podkładana pod główkę śruby lub pod nakrętkę. [przypis edytorski]

<sup>136</sup>*lora* — odkryty wagon towarowy. [przypis edytorski]

<sup>137</sup>*antreten* (niem.) — tu: stanąć w szeregu, zbiórka. [przypis edytorski]

<sup>138</sup>*lagrowiec* — w garze obozowej: więzień obozu koncentracyjnego. [przypis edytorski]

Wyciągnął z pochwy rewolwer i zwrócił się wprost do Greka, wymownie gestykulując bronią.

— Skąd to masz? Jak nie odpowiesz, to cię zastrzelę. — Grek milczał. Esesman podniósł pistolet. Spojrzałem na Iwana. Był zupełnie błądy. Spojrzenia nasze spotkały się. Zacisnął usta i wystąpił z szeregu. Podszedł do esesmana, zdjął czapkę i rzekł:

— To ja mu dałem.

Wszystkie spojrzenia zawisły na Iwanie. Unterscharführer wolno podniósł pejcz i ciął go po twarzy raz, drugi, trzeci. Potem zaczął bić po głowie. Pejcz świszczwał, twarz więźnia pokryła się krwawymi pręgami, ale Iwan nie padał. Stał z czapką w ręce, wyprostowany, z rękoma wzdłuż bioder. Nie uchylał głowy, chwiały się tylko całym ciałem.

Unterscharführer opuścił rękę.

— Zapisać mu numer i złożyć meldunek. Komando — odmarsz.

Odchodzimy równym, wojskowym krokiem. Zostaje za nami kupa słoneczników, kępy ziela, szmaty i torby, pogniecione jabłka, a za tym wszystkim leży wielka gęś o czerwonym łbie i rozłożystych białych skrzydłach. Na końcu komanda idzie Iwan, niepodtrzymywany przez nikogo. Za nim na noszach niosą dwa trupy, przykryte gałęziami.

Gdy przechodziliśmy koło pani Haneczki, zwróciłem głowę w jej stronę. Stała błąda i wyprostowana, z rękoma przyciśniętymi do piersi. Wargi jej drżały nerwowo. Podniosła wzrok i spojrzała na mnie. Wtedy zobaczyłem, że jej duże czarne oczy pełne były łez.

Po apelu wpędzili nas na blok. Leżymy na pryczy, wyglądamy przez szpary i czekamy na koniec wybiórki.

— Czuję się, jak bym zawinił w tej całej wybiórce. Ten dziwny fatalizm słów. W tym przeklętym Oświęcimiu<sup>139</sup> nawet złe słowo ma moc stawania się.

— Nie przejmuj się — odrzekł Kazik — daj lepiej coś do tego pasztetu.

— Pomidorów nie masz?

— Nie co dzień świętego Jana.

Odsunąłem przygotowane kanapki.

— Nie mogę jeść.

Na dworze kończą wybiórkę. Lekarz-esesman, zabrawszy liczbę i numery zapisanych, odchodzi do następnego bloku. Kazik zabiera się do odejścia.

— Idę kupić papierosów. Ale wiesz, Tadek, jesteś frajer, bo jakby mi kto kaszę wyjadł, to bym go zbił na marmoladę.

W tej chwili na krawędzi buksy<sup>140</sup> wylazła z dołu jakaś siwa, ogromna czaszka i spojrzwały na nas zażenowane, mrugające oczy. Potem ukazała się twarz Bekera, zmięta i jeszcze bardziej postarzała.

— Tadek, ja mam do ciebie prośbę.

— Gadaj — rzekłem, przechylając się ku niemu.

— Tadek, idę do komina.

Pochyliłem się jeszcze niżej i zajrzałem mu z bliska w oczy: były spokojne i puste.

— Tadek, ale ja byłem tyle czasu taki głodny. Daj mi coś zjeść. Na ten ostatni wieczór.

Kazik uderzył mnie dłonią po kolanie.

— Znasz tego Żyda?

— To Beker — odrzekłem cicho.

— Te, Żyd, włącz tu na buksę i zażeraj. Jak się nażresz, to resztę zabierz ze sobą do komina. Włącz na buksę. Ja tu nie śpię, to możesz mieć wszy.

— Tadek — chwycił mnie za ramię — chodź. Mam na bloku świetną szarlotkę, wprost od mamy.

Złaząc z buksy, trącił mnie ramieniem.

— Patrz — rzekł szeptem.

Spojrzałem na Bekera. Miał przymknięte powieki i jak ślepiec próżno szukał dłonią deski, żeby wleźć na górę.

<sup>139</sup> *Oświęcim* — miasto w województwie małopolskim, siedziba władz powiatu oświęcimskiego; w latach 1940–1945 działał tutaj zespół niemieckich nazistowskich obozów koncentracyjnych. [przypis edytorski]

<sup>140</sup> *buksa* — w gwarze obozowej: pryczna. [przypis edytorski]

# Proszę państwa do gazu

Cały obóz chodził nago. Wprawdzie przeszliśmy już odwshenie i ubrania dostaliśmy z powrotem z basenów napełnionych rozpuszczonym w wodzie cyklonem, który znakomicie truł wszy w ubraniach i ludzi w komorze gazowej, a tylko bloki odgradzone od nas hiszpańskimi kozłami nie „wyfasowały<sup>141</sup>” jeszcze ubrań, to jednak i ci, i tamci chodzili nago: upał był okropny. Obóz ściśle zamknięto. Żaden więzień, żadna wesz nie śmie się przedostać przez jego bramę. Ustała praca komand. Cały dzień tysiące nagich ludzi przewalało się po drogach i placach apelowych, leżakowało pod ścianami i na dachach. Spano na deskach, gdyż sienniki i koce były w dezynfekcji. Z ostatnich bloków widać było FKL<sup>142</sup> — tam też odwshawali. Dwadzieścia osiem tysięcy kobiet rozebrano i wypędzono z bloków — właśnie kotłując się na wizach, drogach i placach.

Od rana czeka się na obiad, je się paczki, odwiedza się przyjaciół. Godziny płyną wolno, jak to w upale. Nawet zwykłej rozrywki nie ma: szerokie drogi do krematoriów są puste. Od paru dni nie ma już transportów. Część Kanady<sup>143</sup> zlikwidowano i przydzielono na komando. Trafili na jedno z najcięższych, na Harmenze<sup>144</sup>, jako że byli wypasieni i wypoczęci. W obozie bowiem panuje zawistna sprawiedliwość: gdy można upadnie, przyjaciele starają się, by upadł jak najniżej. Kanada, nasza Kanada, nie pachnie wprawdzie, jak Fiedlerowska, żywicą<sup>145</sup>, tylko francuskimi perfumami, lecz chyba nie rośnie tyle wysokich sosen w tamtej, ile ta ma ukrytych brylantów i monet zebranych z całej Europy.

Właśnie siedzimy w kilku na buksie<sup>146</sup>, beztrósko machając nogami. Rozkładamy białe, przemyślnie wypieczony chleb, kruchy, rozsypujący się, drażniący trochę w smaku, ale za to niepleśniejący tygodniami. Chleb przysłany aż z Warszawy. Jeszcze tydzień temu miała go w rękach moja matka. Miły Boże, miły Boże...

Wyciągamy boczek, cebulę, otwieramy puszkę skondensowanego mleka. Henri, wielki i ociekający potem, marzy głośno o francuskim winie przywożonym przez transporty ze Strasburga, spod Paryża, z Marsylii...

— Słuchaj, *mon ami*<sup>147</sup>, jak pójdziemy znów na rampę, przyniosę ci oryginalnego szampana. Pewnie nigdy nie piłeś, nieprawda?

— Nie. Ale przez bramę nie przeniesiesz, więc nie bujaj. Zorganizuj lepiej buty, wiesz, takie dziurkowane, z podwójną podeszwą, a o koszulce już nie mówię, dawno mi obiecałeś.

— Cierpliwości, cierpliwości, jak przyjdą transporty, przyniosę ci wszystko. Znowu pójdziemy na rampę.

— A może już nie będzie transportów do komina? — rzuciłem złośliwie. — Widzisz, jak zelżało na lagrze, nieograniczona ilość paczek, bić nie wolno. Pisaliście przecież listy do domu... Rozmaicie mówią o rozporządzeniach, sam przecież gadasz. Zresztą, do cholery, ludzi zabraknie.

— Nie gadałbyś głupstw — usta otyłego, o uduchowionej jak z miniatur Coswaya<sup>148</sup> twarzy marsylczyka (jest moim przyjacielem, ale imienia jego nie znam) zapchane są kanapką z sardynkami — nie gadałbyś głupstw — powtórzył przelękając z wysiłkiem („poszło, cholera!”) — nie gadałbyś głupstw, ludzi nie może zabraknąć, bobyśmy pozdychali na lagrze. Wszyscy żyjemy z tego, co oni przywiozą.

— Wszyscy, nie wszyscy. Mamy paczki...

Więzień

Chleb, Matka

Pozycja społeczna, Więzień,  
Jedzenie

<sup>141</sup>*wyfasować* — pobrać a. wydać z magazynu wojskowego żywność, umundurowanie, broń itp. [przypis edytorski]

<sup>142</sup>FKL — *efkael*, skrót od niem. *Frauenkonzentrationslager*: kobiece oboz koncentracyjny. [przypis edytorski]

<sup>143</sup>Kanada — grupa więźniów przebywających w obozie dłużej czas, zajmujących się rozładunkami transportów, uważana za uprzywilejowaną. [przypis edytorski]

<sup>144</sup>Harmenze a. *Harmense* — podobóz, w którym do stawu rybnego więźniowie zsyrywali popiół ze zwłok palonych w krematoriach. Podobóz Harmense powstał na terenie dawnej wsi Harmęże. [przypis edytorski]

<sup>145</sup>Kanada, nasza Kanada, nie pachnie wprawdzie, jak Fiedlerowska, żywicą — nawiązanie do książki Arkadego Fiedlera pt. *Kanada pachnącą żywicą*. [przypis edytorski]

<sup>146</sup>buksa — prycza. [przypis edytorski]

<sup>147</sup>*mon ami* (fr.) — mój przyjacielu. [przypis edytorski]

<sup>148</sup>*Cosway, Richard* (1742–1821) — angielski malarz portretowy, znany ze swoich miniatur. [przypis edytorski]



— To masz ty i twój kolega, i dziesięciu twoich kolegów, macie wy, Polacy, i to nie wszyscy. Ale my, Żydki, ale Ruskie? I co, gdybyśmy nie mieli co jeść, *organisation* z transportów, to byście tam te swoje paczki tak spokojnie jedli? Nie dalibyśmy wam.

— Dalibyście albo byście zdychali z głodu jak Grecy. Kto ma żarcie w obozie, ten ma siłę.

— Wy macie i my mamy, o co się sprzeczać?

Pewnie, nie ma o co się sprzeczać. Wy macie i ja mam, jemy wspólnie, śpimy na jednej buksie. Henri kroi chleb, robi sałatkę z pomidorów. Świetnie smakuje z kantynową musztardą.

W bloku, pod nami, kotłują się ludzie, nadzy, ociekający potem. Łażą między buksami w przejściu, wzdłuż ogromnego, inteligentnie zbudowanego pieca, między ulepszeniami, które stajnię końską (na drzwiach wisi jeszcze tabliczka, że „*versuchte Pferde*” — зараżone konie, należy odstawić tam a tam) przemieniają w miły (*gemütlich*) dom dla ponad pół tysiąca ludzi. Gnieżdżą się na dolnych pryzkach po ośmiu, dziewięciu, leżą nadzy, kościści, cuchnący potem i wydzielinami, o zapadniętych głęboko policzkach. Pode mną, na samym dole — rabin; nakrył głowę kawałkiem szmaty odartej z koca i czyta z modlitewnika hebrajskiego (tej lektury tu jest...), zawodząc głośno i monotonicznie.

— Może by się tak zdało go uspokoić? Drze się, jakby Boga za nogi złapał.

— Nie chce mi się z buksy złączyć. Niech się drze, prędzej do komina pójdzie.

— Religia jest opium dla narodu. Bardzo lubię palić opium — dodaje z lewej sentencjonalnie marsylczyk, który jest komunistą i rentierem.

— Gdyby oni nie wierzyli w Boga i w życie pozagrobowe, już by dawno rozwalili krematoria.

— A dlaczego wy tego nie zrobicie?

Pytanie ma sens metaforyczny, lecz marsylczyk odpowiada.

— Idiota — zapycha usta pomidorem i czyni ruch, jakby chciał coś powiedzieć, ale zjada i milczy. Kończyliśmy właśnie wyzerkę, gdy u drzwi bloku uczynił się większy ruch, odskoczyli muzułmani<sup>149</sup> i rzucili się, uciekając między buksy, do budy blokowego wleciał goniec. Za chwilę majestatycznie wyszedł blokowy.

— Kanada! *Antreten*<sup>150</sup>! Ale szybko! Transport przychodzi.

— Wielki Boże! — wrzasnął Henri, zeskakując z buksy.

Marsylczyk zadławił się pomidorem, chwycił marynarkę, wrzasnął *raus*<sup>151</sup> do siedzących na dole i już byli we drzwiach. Zakotłowało się na innych buksach. Kanada odchodziła na rampę.

— Henri, buty! — krzyknąłem na pożegnanie.

— *Keine Angst!*<sup>152</sup> — odkrzyknął mi już z dworu.

Opakowałem żarcie, owiązałem sznurami walizę, w której cebula i pomidory z ojcowskiego ogródka w Warszawie leżały obok portugalskich sardynek, a boczek z lubelskiego „Bacutilu”<sup>153</sup> (to od brata) mieszał się z najautentyczniejszymi bakaliami z Salonik. Owiązałem, naciągnąłem spodnie, zlązłem z buksy.

— *Platz!*<sup>154</sup> — wrzasnąłem, przeciskając się między Grekami. Odsuwali się na bok. We drzwiach natknąłem się na Henriego.

— *Allez, allez, vite, vite!*<sup>155</sup>

— *Was ist los?*<sup>156</sup>

— Chcesz iść na rampę z nami?

— Mogę pójść.

— To jazda, bierz marynarkę! Brakuje paru ludzi, rozmawiałem z kapem<sup>157</sup> — i wypchnął mnie z bloku.

<sup>149</sup>*muzułman* (z niem. *Muselman*) — w gwarze obozowej: osoba skrajnie wycieńczona fizycznie i psychicznie głodem i chorobami, pozbawiona podstawowych odruchów życiowych. [przypis edytorski]

<sup>150</sup>*antreten* (niem.) — tu: do szeregu. [przypis edytorski]

<sup>151</sup>*raus* (niem.) — wynocha, precz. [przypis edytorski]

<sup>152</sup>*keine Angst!* (niem.) — bez obaw! [przypis edytorski]

<sup>153</sup>*Bacutil* — nazwa przedsiębiorstwa zajmującego się m.in. utylizacją resztek zwierzęcych. [przypis edytorski]

<sup>154</sup>*Platz!* (niem.) — miejsce! (tu w zn.: z drogi!). [przypis edytorski]

<sup>155</sup>*Allez, allez, vite, vite!* (fr.) — naprzód, naprzód, żywo, żywo! [przypis edytorski]

<sup>156</sup>*Was ist los?* (niem.) — Co jest?, Co się stało? [przypis edytorski]

<sup>157</sup>*kapo* — więzień pełniący funkcję dozorczy pozostałych więźniów. [przypis edytorski]

Stanęliśmy w szeregu, ktoś spisał nam numery, ktoś od czoła wrzasnął „marsz, marsz” i pobiegliśmy pod bramę, odprowadzani okrzykami różnojęzycznego tłumu, który już zapędzano bykowcami do bloków. Nie każdy może iść na rampę... Już żegnano ludzi, już jesteśmy pod bramą. — *Links, zwei, drei, vier! Mützen ab!*<sup>158</sup> Wyprostowani, z rękami sztywno przyłożonymi do bioder, przechodzimy przez bramę rażno, sprężyście, nieomal z gracją. Zaspany esesman, z wielką tabliczką w ręku, liczy ospale, oddzielając w powietrzu palcem każdą piątkę.

— *Hundert!*<sup>159</sup> — krzyknął, gdy minęła go ostatnia.

— *Stimmt!*<sup>160</sup> — odkrzyknięto ochryple od czoła.

Maszerujemy szybko, prawie biegiem. Postów dużo, młodzi, z automatami. Mijamy wszystkie odcinki obozu II B: niezamieszkały lager C, czeski, kwarantanna, zagłębia-my się między grusze i jabłonie *truppenlazarettu*<sup>161</sup>; wśród nieznamomej, jakby z księżycą zieleni, dziwnie w tym kilkudniowym słońcu wybujałej, omijamy łukiem jakieś baraki, przechodzimy linie wielkiej *postenketty*<sup>162</sup>, biegiem wpadamy na szosę — jesteśmy na miejscu. Jeszcze kilkadziesiąt metrów — wśród drzew rampa.

Była to sielankowa rampa, jak zwykle na zagubionych, prowincjonalnych stacjach. Placyk, obramowany zielenią wysokich drzew, wysypany był żwirem. Z boku, przy drodze, kucnął maleńki, drewniany baraczek, brzydszy i tandetniejszy od najbrzydszej i najtandetniejszej budy stacyjnej, dalej leżały wielkie stosy szyn, podkłady kolejowe, zwały desek, części baraków, cegły, kamienie, kręgi studzienne. To stąd ładują towar na Birkenau: materiał do rozbudowy obozu i ludzi do gazu. Zwykły dzień roboczy: zajeżdżają samochody, biorą deski, cement, ludzi...

Rozstawiają się posty na szynach, na belkach, pod zielonym cieniem śląskich kasztanów, ścisłym kołem otaczają rampę. Ocierają pot z czoła, piją z manierek. Upał ogromny, słońce stoi nieruchomo na zenicie. — Rozejść się! — Siadamy w skrawkach cienia pod szynami. Głodni Grecy (zapłatało się ich paru, diabli wiedzą, jakim sposobem) myszkują wśród szyn, ktoś znajduje puszkę konserw, spleśniałe bułki, niedojedzone sardynki. Jedzą.

— *Schweinedreck!*<sup>163</sup> — spluwa na nich młody, wysoki post<sup>164</sup>, o bujnych płowych włosach i niebieskim, marzącym spojrzeniu — przecież zaraz będziecie mieli tyle do żarcia, że nie przeżreć. Odechce się wam na długo. — Poprawił automat, otarł twarz chustką.

— To bydlę — potwierdzamy zgodnie.

— Te, gruby — but posta dotyka lekko karku Henriego. — *Pass mal auf!*<sup>165</sup>, chce ci się pić?

— Chce, ale nie mam marek — odpowiedział fachowo Francuz.

— *Schade*, szkoda.

— Ależ, *Herr Posten*, czy moje słowo nic już nie znaczy? Nie handlował *Herr Posten* ze mną? *Wieviel!*<sup>166</sup>?

— Sto. *Gemacht?*<sup>167</sup>

— *Gemacht*.

Pijemy wodę, mdła i bez smaku, na konto pieniędzy i ludzi, których jeszcze nie ma.

— Te, uważaj — mówi Francuz, odrzucając pustą butelkę, aż pryska gdzieś dalej na szynach — forsy nie bierz, bo może być rewizja. Zresztą na cholere ci forsa i tak masz co jeść. Ubrania też nie bierz, bo to jest podejrzenie o ucieczkę. Koszulę bierz, ale tylko jedwabną i z kołnierzykiem. Pod spód gimnastyczna. A jak znajdziesz coś do picia, to mnie nie wołaj. Dam sobie rady i uważaj, żebyś nie oberwał.

— Biją?

<sup>158</sup> *Links, zwei, drei, vier! Mützen ab* (niem.) — W lewo, dwa, trzy cztery! Ściągać czapki! [przypis edytorski]

<sup>159</sup> *hundert* (niem.) — sto. [przypis edytorski]

<sup>160</sup> *stimmt* (niem.) — dobrze, zgadza się. [przypis edytorski]

<sup>161</sup> *Truppenlazarett* (niem.) — szpital wojskowy. [przypis edytorski]

<sup>162</sup> *Postenkett* (niem.) — łańcuch posterunków na granicach obozu. [przypis edytorski]

<sup>163</sup> *Schweinedreck* (niem.) — świńskie gówno. [przypis edytorski]

<sup>164</sup> *post* (z niem.) — esesman-wartownik. [przypis edytorski]

<sup>165</sup> *pass mal auf* (niem.) — tylko uważaj. [przypis edytorski]

<sup>166</sup> *wieviel* (niem.) — ile. [przypis edytorski]

<sup>167</sup> *gemacht?* (niem.) — zrobione? [przypis edytorski]

— Rzecz normalna. Trzeba mieć oczy w plecach. *Arschaugen*<sup>168</sup>.

Wokół nas siedzą Grecy, ruszają łapczywie zuchwami, jak wielkie, nieludzkie owady, żrą łakomie zbutwiałe grudy chleba. Są zaafetowani, nie wiedzą, co będą robić. Niepokoją ich belki i szyny. Nie lubią dźwigania.

— *Was wir arbeiten?*<sup>169</sup> — pytają.

— *Niks. Transport kommen, alles Krematorium, compris?*<sup>170</sup>

— *Alles verstehen*<sup>171</sup> — odpowiadają w krematoryjnym esperanto. Uspokajają się: nie będą ładować szyn na auta ani nosić belek.

Tymczasem na rampie robiło się coraz gwarniej i tłoczniej. *Vorarbeiterzy* dzielili sobie grupy, przeznaczając jednych do otwierania i rozładowywania wagonów, które przyjąć mają, innych pod drewniane schodki i wyjaśniając im celowe działanie. Były to przenośne, wygodne, szerokie schodki, jakby wejście na trybunę. Zajeżdżały z warkotem motocykle wiozące obsypanych srebrem odznak podoficerów SS, tęgich, spasionych mężczyzn, o wypolerowanych oficerskich butach i błyszczących, chamskich twarzach. Niektórzy przyjechali z teczkami, inni mieli giętkie, trzciniowe kije. Nadawało im to służbowy i sprężysty wygląd. Wchodzili do kantyny, bo ów mizerny barak był ich kantyną, gdzie latem pili wodę mineralną — *Studentenquelle* — a zimą ogrzewali się gorącym winem, witali się państwowo wyciągniętym po rzymsku ramieniem, a potem kordialnie potrząsali prawicę, uśmiechali się serdecznie do siebie, rozmawiali o listach, o wiadomościach z domu, o dzieciach, pokazywali sobie fotografie. Niektórzy dostojnie przechadzali się po placu, żwir chrzęścił, buty chrzęściły, srebrne kwadraty błyszczały na kołnierzach, a bambusowe laseczki świstały niecierpliwie.

Różnopasiasty tłum leżał pod szynami w wąskich pasach cienia, oddychał ciężko i nierówno, gadał po swojemu, leniwie i obojętnie patrzył na majestatycznych ludzi w zielonych mundurach, na zielen drzew, bliską i nieosiągalną, na wieżę dalekiego kościoła, z której dzwoniło właśnie na spóźniony Anioł Pański.

— Transport idzie — rzekł któryś i wszyscy unieśli się w oczekiwaniu. Zza zakrętu wychodziły towarowe wagony: pociąg pchał się tyłem, kolejarz stojący na breku<sup>172</sup> wychylił się, zamachał ręką, gwizdnął. Lokomotywa przeraźliwie odgwizdnęła, sapnęła, pociąg potoczył się wolno wzdłuż stacji. W małych zakratowanych okienkach widać było twarze ludzkie, blade, zmięte, jakby niewyspane, rozczochrane — przerażone kobiety, mężczyzn, którzy, rzecz egzotyczna, mieli włosy. Mijali powoli, przyglądali się stacji w milczeniu. Wtedy wewnątrz wagonów zaczęło się coś kotłować i dudnić w drewniane ściany.

— Wody! Powietrza! — zerwały się głuche, rozpaczliwe okrzyki.

Z okien wychylały się twarze ludzkie, usta chwytały rozpaczliwie powietrze. Zaczepnawszy kilka łyków powietrza, ludzie z okien nikli, na ich miejsce wdzierali się inni i tak samo znikali. Krzyki i rżenia stawały się coraz głośniejsze.

Człowiek w zielonym mundurze, bardziej niż inni obsypany srebrem, skrzywił usta z niesmakiem. Zaciągnął się papierosem, odrzucił go nagłym ruchem, przełożył teczkę z prawej do lewej i skinął na posta. Ten powoli ściągnął automat z ramienia, złożył się i przeciągnął serią po wagonach. Ucichło. Tymczasem podjeżdżały ciężarówki, podstawiono pod nie stołki, rozstawiono się fachowo przy wagonach. Olbrzym z teczką skinął ręką.

— Kto weźmie złoto albo cokolwiek innego nie do jedzenia, będzie rozstrzelany jako złodziej własności Rzeszy. Zrozumiano? *Verstanden?*

— *Jawohl!*<sup>173</sup> — wrzaśnięto nierówno i indywidualnie, aczkolwiek z dobrą wolą.

— *Also loos!*<sup>174</sup> Do pracy!

Szczęknięły rygle, wagony otwarto. Fala świeżego powietrza wdarła się do środka, uderzając ludzi jakby czadem. Niezmiernie zbici, przytłoczeni potworną ilością bagażu, waliz,

<sup>168</sup>*Arschaugen* (niem.) — oczy w dupie. [przypis edytorski]

<sup>169</sup>*Was wir arbeiten?* (niem., znieksz.) — Przy czym będziemy pracować? [przypis edytorski]

<sup>170</sup>*Niks. Transport kommen, alles Krematorium, compris?* (niem. i fr. znieksz.) — Przy niczym. Transport idzie, wszyscy do krematorium, rozumiecie? [przypis edytorski]

<sup>171</sup>*Alles verstehen* (niem. znieksz.) — zrozumiano. [przypis edytorski]

<sup>172</sup>*brek* — wóz, powóz bez osłon bocznych. [przypis edytorski]

<sup>173</sup>*Jawohl!* (niem.) — tak jest! [przypis edytorski]

<sup>174</sup>*Also loos!* (niem.) — więc śmiało! [przypis edytorski]

walizeczek, walizek, plecaków, tłumoków wszelkiego rodzaju (wieźli bowiem to wszystko, co stanowiło ich dawne życie, a miało rozpocząć przyszłe), gnieździli się w strasznej ciasnocie, mdleli od upału, dusili się i dusili innych. Teraz skupili się przy otwartych drzwiach, dysząc jak ryby wyrzucone na piasek.

— Uwaga, wysiadać z rzeczami. Zabierać wszystko. Wszystkie te swoje klamoty składać koło wagonu na kupę. Pałta oddawać. Jest lato. Maszerować na lewo. Zrozumiano?

— Panie, co z nami będzie? — zeskakują już na żwir, niespokojni, roztrzęsieni.

— Skąd jesteście?

— Sosnowiec, Będzin. Panie, co to będzie? — uparcie powtarzają pytania, wpatrując się żarliwie w cudze zmęczone oczy.

— Nie wiem, nie rozumiem po polsku.

Jest prawo obozu, że ludzi idących na śmierć oszukuje się do ostatniej chwili. Jest to jedyna dopuszczalna forma litości. Upał ogromny. Słońce osiągnęło zenit, rozpalone niebo dygoce, powietrze faluje, wiatr, który chwilami przewiewa przez nas, to rozparzone, ciekłe powietrze. Wargi już są popękane, czuje się w ustach słony smak krwi. Od długiego leżenia na słońcu dało jest słabe i odporne. Pić, och, pić.

Wylewa się z wagonu różnobarwna fala, objuczona, podobna do oglupiałej, ślepej rzeki, która szuka nowego koryta. Ale zanim oprzytomnieją, uderzeni świeżym powietrzem i zapachem zieleni, już im pakunki wyrywa się z rąk, ściąga się pałta, kobietom wyrywa się torebki, odbiera parasole.

— Panie, panie, ale to od słońca, ja nie mogę...

— *Verboten*<sup>175</sup> — szczeka się przez zęby, sycząc głośno.

Za plecami stoi esesman, spokojny, opanowany, fachowy.

— *Meine Herrschaften*, moi państwo, nie rozrzucajcie tak rzeczy. Trzeba okazać trochę dobrej woli — Mówi dobrotliwie, a denka trzcina gnie mu się nerwowo w rękach.

— Tak jest, tak jest — odpowiadają wielogłośnie, przechodząc i raźniej idą wzdłuż wagonów. Jakaś kobieta schyla się szybko podnosząc torebkę, świsnęła trzcina, kobieta krzyknęła, potknęła się i upadła pod nogi tłumu. Dziecko biegnące za nią pisnęło: „Mamele!” — taka mała, rozczochrana dziewczynka.

Rośnie kupa rzeczy, walizek, tłumoków, plecaków, pledów, ubrań, torebek, które padając otwierają się i wysypują barwne tęczowe banknoty, złoto, zegarki, przed drzwiami wagonów piętrzą się stosy chleba, gromadzą słoiki różnobarwnych marmolad, powidel, pęcznią zwaly szynki, kiełbasy, rozsypuje się po żwirze cukier. Zapchane ludźmi auta odjeżdżają z piekielnym warkotem, wśród zawodzenia i wrzasku kobiet oplakujących dzieci i oglupiałego milczenia nagle osamotnionych mężczyzn. To ci, co poszli na prawo — młodzi i zdrowi — ci pójda na lager. Gaz ich nie minie, ale wprawdzie będą pracować.

Auta odjeżdżają i wracają, bez odpoczynku, jak na potwornej taśmie. Bez przerwy jeździ karetka Czerwonego Krzyża. Olbrzymi krwawy krzyż na masce motoru roztapia się w słońcu. Niemordowanie jeździ karetka Czerwonego Krzyża: to właśnie w niej wozi się gaz, gaz, którym trują tych ludzi.

Ci z Kanady, którzy są przy schodkach, nie mają chwili wytchnienia, oddzielają tych do gazu, od tych, co idą na lager, wypychają pierwszych na schody, ubijają na aucie, na każde sześćdziesiąciu, tak plus-minus.

Z boku stoi młody, gładko wygolony pan, esesman z notatnikiem w ręku; każde auto to kreska, jak odjedzie szesnaście aut, to jest tysiąc, tak plus-minus. Pan jest zrównoważony i dokładny. Nie odjedzie auto bez jego wiedzy i jego kreski: *Ordnung muss sein*<sup>176</sup>. Kreski pęcznią w tysiące, tysiące w całe transporty, o których mówi się krótko „z Salonik”, „ze Strasburga”, „z Rotterdamu”. O tym będzie się już dziś mówiło „Będzin”. Ale na stałe uzyska nazwę „Będzin-Sosnowiec”. Ci, którzy pójda na lager z tego transportu dostaną numery — 131–132. Rozumie się tysiący, lecz w skrócie będzie się mówiło właśnie tak — 131–132.

Transporty rosną w tygodnie, miesiące, lata. Gdy skończy się wojna, będą liczyć spalonych. Naliczą cztery i pół miliona. Najkrwawsza bitwa wojny, największe zwycięstwo

<sup>175</sup>*verboten* (niem.) — zabronione. [przypis edytorski]

<sup>176</sup>*Ordnung muss sein* (niem.) — musi być porządek. [przypis edytorski]

solidarnych i zjednoczonych Niemiec. *Ein Reich, ein Volk, ein Führer* — i cztery krematoria. Ale krematoriów będzie w Oświęcimiu szesnaście, zdolnych spalić pięćdziesiąt tysięcy dziennie. Obóz rozbuduje się, aż się oprze naelektryzowanym drutem o Wisłę, zamieszka go trzysta tysięcy ludzi w pasiakach, będzie się zwał *Verbrecher-Stadt* — „Miasto Przestępców”. Nie, ludzi nie zabraknie. Spalą się Żydzi, spalą się Polacy, spalą się Rosjanie, przyjdą ludzie z zachodu i południa, z kontynentu i wysp. Przyjdą ludzie w pasiakach, odbudują zburzone miasta niemieckie, zaorzą odłogiem leżącą ziemię, a gdy osłabną w bezlitosnej pracy, w wiecznym *Bewegung! Bewegung!*<sup>177</sup> — otworzą się drzwi gazowych komór. Komory będą ulepszone, oszczędniejsze, sprytniej zamaskowane. Będą jak te w Dreźnie, o których już chodzą legendy.

Już się opróżniły wagony. Chudy, ospowaty esesman spokojnie zagląda do środka, kiwa głową z niesmakiem, ogarnia nas spojrzeniem i wskazuje wewnątrz.

— *Rein*. Oczyszczyć!

Wskakuje się do środka. Porozrzucane po kątach wśród kału ludzkiego i pogubionych zegarków leżą poduszone, podeptane niemowlęta, nagie potworki o ogromnych głowach i wyдутych brzuchach. Wynosi się je jak kurczaki, trzymając po parę w jednej garści.

— Nie nieś ich na auto. Oddaj kobietom — mówi, zapalając papierosa esesman. Zapalniczka mu się zacięła, jest nią bardzo zaaferowany.

— Bierzcie te niemowlęta, na litość boską — wybucham, bo kobiety z przerażeniem uciekają ode mnie, wtulając głowy w ramiona.

Dziwnie niepotrzebnie pada imię Boga, bo kobiety z dziećmi idą na auto, wszystkie, nie ma wyjątku. Wiemy wszyscy dobrze, co to znaczy, i patrzemy na siebie z nienawiścią i przerażeniem.

— Co, brać nie chcecie? — powiedział jakby ze zdziwieniem i wyrzutem ospowaty esesman i począł odpinać rewolwer.

— Nie trzeba strzelać, ja wezmę.

Siwa, wysoka pani wzięła ode mnie niemowlęta i przez chwilę patrzyła mi prosto w oczy.

— Dziecko, dziecko — szepnęła, uśmiechając się. Odeszła, potykając się na żwirze.

Oparłem się o ścianę wagonu. Byłem bardzo zmęczony. Ktoś szarpie mnie za rękę.

— *En avant*<sup>178</sup>, pod szyny, chodź!

Patrzę, twarz skacze mi przed oczyma, rozplywa się, miesza się, olbrzymia, przezroczysta, z drzewami nieruchomymi, nie wiadomo dlaczego czarnymi, z przelewającym się tłumem... Mrugam ostro powiekami: Henri.

— Słuchaj, Henri, czy my jesteśmy ludzie dobrzy?

— Czemu się głupio pytasz?

— Widzisz, przyjacielu, wzbiera we mnie zupełnie niezrozumiała złość na tych ludzi, że przez nich muszę tu być. Nie współczuję im wcale, że idą do gazu. Żeby się ziemia pod nimi wszystkimi rozstąpiła. Rzuciłbym się na nich z pięściami. Przecież to jest patologiczne chyba, nie mogę zrozumieć.

— Och, wprost przeciwnie, to normalne, przewidziane i obliczone. Męczy cię rampa, buntujesz się, a złość najłatwiej wylądować na słabszym. Pożądane jest nawet, abyś ją wylądował. To tak na chłopski rozum, *compris*? — mówi nieco ironicznie Francuz, wygodnie układając się pod szynami. — Patrz na Greków, ci umieją korzystać! Żrą wszystko, co im pod rękę wlezie; przy mnie zjadł jeden słoik marmolady.

— Bydło. Jutro połowa z nich zdechnie na sraczkę.

— Bydło? Ty też byłeś głodny.

— Bydło — powtarzam zawzięcie. Zamykam oczy, słyszę krzyki, czuję drżenie ziemi i parne powietrze na powiekach. W gardle zupełnie sucho.

Ludzie płyną i płyną, auta warczą jak rozjuszony psy. W oczach przesuwają się trupy wynoszone z wagonów, zdeptane dzieci, kaleki poukładane razem z trupami, i tłum, tłum, tłum... Wagony podcazają się, stosy łachów, waliz i plecaków rosną, ludzie wychodzą, przyglądają się słońcu, oddychają, żebrzą o wodę, wchodzą na auta, odjeżdżają. Znów podchodzą wagony, znów ludzie... Czuję, jak obrazy mieszają się we mnie, nie wiem, czy

<sup>177</sup> *Bewegung! Bewegung!* (niem.) — ruchy! ruchy! [przypis edytorski]

<sup>178</sup> *En avant* (fr.) — Naprzód, dalej! [przypis edytorski]

to się naprawdę dzieje, czy mi się śni. Widzę nagle jakąś zielen drzew, które kołyszą się wraz z całą ulicą, z barwnym tłumem, ale — to Aleje! Szumi mi w głowie, czuję, że będę wymiotował.

Henri szarpie mnie za ramię.

— Nie śpij, idziemy ładować kłamoty.

Już nie ma ludzi. Ostatnie auta suną daleko po szosie, wzniesając olbrzymie tumany kurzu, pociąg odjechał, po opustoszałej rampie chodzą dostojnie esesmani, świecąc srebrem na kołnierzach. Połyskują glansem buty, błyszczą czerwono nalane twarze. Wśród nich kobieta, teraz dopiero uświadamiam sobie, że była tu cały czas, wysuszona, bezpierzchna, koścista. Rzadkie, bezbarwne włosy gładko przyczesane w tył i związała w „nordycki” węzeł, ręce wsunęła w szerokie spodnie-spódnice. Chodzi z kąta w kąt rampy z przylepionym na wyschłe wargi szurzym, zawziętym uśmiechem. Nienawidzi urody kobiecej nienawiścią kobiety obrzydliwej i zdającej, sobie z tego sprawę. Tak, już ją nieraz widziałem i dobrze zapamiętałem: to komendantka FKL, przyszła oglądać swój nabytek, bo część kobiet odstawiono do aut i te pójdą piechotą — na lager. Nasi chłopcy, fryzjerzy z Zauny, pozbawiają je całkowicie włosów i będą mieli wiele uciechy z ich wolnościowego wstydu.

Ładujemy więc kłamoty. Dźwigamy ciężkie walizy, pakowne, zasobne, rzucamy je z wysiłkiem na auto. Tam układa się je w stosy, ubija się, upycha, rżnie, co się da, nożem — dla przyjemności i w poszukiwaniu wódki i perfum, które wylewa się wprost na siebie. Jedna z waliz otwiera się, wypadają ubrania, koszule, książki... Chwytam jakieś zawiniątko: ciężkie; rozwijam: złoto, dwie dobre garście: koperty, bransolety, pierścionki, kolie, brylanty.

— *Gib her*<sup>179</sup> — spokojnie mówi esesman, nadstawiając otwartą teczkę, pełną złota i barwnej, obcej waluty. Zamyka ją, oddaje oficerowi, bierze inną, pustą, i czatuje przy innym samochodzie. To złoto pójdzie do Rzeszy.

Upał, ogromny upał. Powietrze stoi nieruchomym, rozżarzone słupem. Gardła są suche, każde wymówione słowo wywołuje ból. Och, pić. Gorączkowo, byle prędzej, byle do cienia, byle odpocząć. Kończymy ładować, ostatnie auta odjeżdżają, zbieramy skrzętnie znad toru wszelkie papierki, wygrzebujemy spomiędzy drobnego żwiru nietutejszy, transportowy brud, „żeby śladu po tym obrzydlistwie nie zostało”, i w chwili gdy ostatnia ciężarówka znika za drzewami, a my idziemy — nareszcie! — w stronę szyn odpocząć i napić się (może Francuz kupi znów od posta?), zza zakrętu słychać gwizdek kolejarza. Powoli, niezmiernie powoli wtaczają się wagony, przeraźliwie odgwiszduje lokomotywa, z okien patrzą twarze wymięte i blade, płaskie, jakby wycięte z papieru, o ogromnych, płonących gorączką oczach. Już są auta, już jest spokojny pan z notatnikiem, już z kantyny wyszli esesmani z teczkami na złoto i pieniądze. Otwieramy wagony.

Nie, już nie można nad sobą panować. Wyrывa się ludziom brutalnie walizki z rąk, szarpiać ściąga się palta. Idźcie, idźcie, przemińcie. Idą, przemijają. Mężczyźni, kobiety, dzieci. Niektórzy z nich wiedzą.

Oto idzie szybko kobieta, śpieszy się nieznacznie, ale gorączkowo. Małe, kilkuletnie dziecko o zarumienionej, pyzatej twarzy cherubinka biegnie za nią, nie może nadążyć, wyciąga rączki z płaczem: — Mamo! mamol

— Kobieto, weźże to dziecko na ręce!

— Panie, panie, to nie moje dziecko, to nie moje! — krzyczy histerycznie kobieta i ucieka, zakrywając rękoma twarz. Chce skryć się, chce zdążyć między tamte, które nie pojadą autem, które pójdą pieszo, które będą żyć. Jest młoda, zdrowa, ładna, chce żyć.

Ale dziecko biegnie za nią, skarżąc się na cały głos:

— Mamo, mamol nie uciekaj!

— Tol nie moje, nie moje, nie!

Aż dopadł ją Andrej, marynarz z Sewastopola. Oczy miał mętne od wódki i upału. Dopadł ją, zbił z nóg jednym, zamaszystym uderzeniem ramienia, padającą chwycił za włosy i dźwignął z powrotem do góry. Twarz miał wykrzywioną wściekłością.

Matka, Dziecko, Strach,  
Rozpacz

<sup>179</sup> *Gib her* (niem.) — daj mi to. [przypis edytorski]

— Ach, ty, *jebit twoju mat', blad' jewrejskaja*<sup>180</sup>! To ty od swego dziecka uciekasz! Ja tobi dam, ty kurwo! — Chwycił ją wpół, zadławił łapą gardło, które chciało krzyczeć, i wrzucił ją z rozmachem jak ciężki wór zboża na auto.

— Masz! Weź i to sobie! Suko! — i cisnął jej dziecko pod nogi.

— *Gut gemacht*<sup>181</sup>, tak należy karać wyrodne matki — rzekł esesman stojący przy samochodzie.

— *Gut, gut*<sup>182</sup> Ruski.

— *Malczy!*<sup>183</sup> — warknął przez zęby Andrej i odszedł do wagonów. Spod kupy szmat wyciągnął ukrytą manierkę, odkręcił, przytknął do ust sobie, potem mnie. Parzy gardło spirytus. Głowa szumi, nogi uginają się, zbiera się na torsje.

Raptem spośród tej całej fali ludzkiej, która parla ślepo w stronę aut jak rzeka pchana niewidzialną siłą, wynurzyła się dziewczyna, zeskoczyła lekko z wagonu na żwir, spojrzała dokoła badawczym okiem, jak człowiek, który czemuś bardzo się dziwi.

Bujne jasne włosy rozsypały się miękką falą na ramiona, strząsnęła je niecierpliwie. Przesunęła odruchowo rękoma po bluzeczce, poprawiła nieznacznie spódniczkę. Stała tak chwilę. Wreszcie oderwała wzrok od tłumy i przesunęła spojrzeniem po naszych twarzach, jakby kogoś szukając. Nieświadomie szukałem jej wzroku, oczy nasze spotkały się.

— Słuchaj, słuchaj, powiedz, dokąd oni nas powiozą?

Patrzyłem na nią. Oto stoi przede mną dziewczyna o cudnych, jasnych włosach, o ślicznych piersiach, w batystowej, letniej bluzeczce, o mądrym, dojrzałym spojrzeniu. Stoi, patrzy mi prosto w twarz i czeka. Oto komora gazowa: wspólna śmierć, ohydna i obrzydliwa. Oto obóz: z ogoloną głową, watowane sowieckie spodnie na upał, wstrętne, mdły zapach brudnego, rozparzonego dała kobiecego, zwierzęcy głód, nieludzka praca i ta sama komora, tylko śmierć jeszcze ohydniejsza, jeszcze obrzydliwsza, jeszcze straszniejsza. Kto raz tu wszedł, nawet popiołów swoich nie wyniesie na *postenkette*, nie wróci do tamtego żyda.

„Po cóż ona to przywiozła, przecież i tak jej zabiorą” — pomyślałem mimo woli, dostrzegłszy na przegubie ręki śliczny zegarek o drobnociągłej złotej bransoletce. Taki sam miała Tuśka, tylko na czarnej, wąskiej tasiemce.

— Słuchaj, odpowiedz.

Milczałem. Zaciśnięła usta.

— Już wiem — rzekła z odcieniem pańskiej pogardy w głosie, odrzucając w tył głowę; śmiało poszła w stronę samochodów. Ktoś ją chciał zatrzymać, odsunęła go śmiało na bok i wbiegła po schodkach na wypełnione już prawie auto. Zobaczyłem tylko z daleka bujne, jasne włosy, rozwiane w pędzie.

Wchodziłem do wagonów, wynosiłem niemowlęta, wyrzucałem bagaże. Dotykałem się trupów, ale nie mogłem przemóc wzbierającego dzikiego strachu. Uciekałem od nich, ale leżały wszędzie; poukładane pokotem na żwirze, na cementowym skraju peronu, w wagonach. Niemowlęta, ohydne nagie kobiety, poskręceni w konwulsjach mężczyźni. Uciekam jak najdalej. Ktoś mnie smaga trzcina po plecach, kątem oka dostrzegam klnącego esesmana, wymykam mu się i mieszam się w grupie pasiastej Kanady. Wreszcie znów włączę pod szyny. Słońce pochyliło się głęboko nad horyzontem i krwawym, zachodzącym światłem oblało rampę. Cienie drzew wydłużały się upiornie; w ciszy, która w naturze zapada pod wieczór, ludzki krzyk bił w niebo coraz głośniejszy i natarczywiej.

Dopiero stąd, spod szyn, widać było całe piekło kotłującej się rampy. Oto para ludzi padła na ziemię, spleciona rozpaczliwym uściskiem. On wbił kurczowo palce w jej ciało, zębami chwycił za ubranie. Ona krzyczy histerycznie, przeklina, bluźni, aż przyduszona butem rżęzi i milknie. Rozszczepiają ich jak drzewo i wpędzają jak zwierzęta na auto. Oto czterech z Kanady dźwiga trupa; olbrzymią, opuchłą babę, klną i pocą się z wysiłku, kopniakami odganiają zablakane dzieci, które płaczą się po wszystkich kątach rampy, wyjąc przeraźliwie jak psy. Chwytają je za karki, za łby, za ręce i wrzucają na kupę, na ciężarówkę. Tamtych czterech nie da rady dźwignąć baby na auto, wołają innych i zbiorowym mozołem wpychają górę mięsa na platformę. Z całej rampy znosi się trupy

<sup>180</sup>*jebit twoju mat', blad' jewrejskaja* (ros.) — jebać twoją matkę, ty kurwo żydowska. [przypis edytorski]

<sup>181</sup>*gut gemacht* (niem.) — dobrze zrobione. [przypis edytorski]

<sup>182</sup>*gut, gut* (niem.) — dobrze, dobrze. [przypis edytorski]

<sup>183</sup>*malczy* (ros.) — milcz. [przypis edytorski]

wielkie, nabrzmiałe, opuchnięte. Między nie ciska się kaleki, sparaliżowanych, przydużonych, nieprzytomnych. Góra trupów kotłuje się, skowyczy, wyje. Szofer zapuszcza motor, Odjeżdża.

— *Halt! halt!* — wrzeszczy z daleka esesman. — Stój, stój, do cholery!

Włoką starca we fraku, z opaską na ramieniu. Starzec głową tłucze o żwir, o kamienie, jęczy i bezustannie, monotonnie zawodzi: „*Ich will mit dem Herrn Kommandanten sprechen* — chcę mówić z panem komendantem”. Powtarza to ze starczym uporem całą drogę. Wrzucony na auto, przydeptany czyjąś nogą, przydużony, wciąż rzezi: „*Ich will mit dem...*”.

— Człowieku, uspokój się, ale! — woła do niego młody esesman, zaśmiewając się głośno — za pół godziny będziesz gadał z największym komendantem! Tylko nie zapomnij powiedzieć mu *Heil Hitler!*<sup>184</sup>

Inni niosą dziewczynkę bez nogi; trzymają ją za ręce i za tę jedną, pozostałą nogę. Łzy ciekną jej po twarzy, szepce żałości: „Panowie, to boli, boli...”. Ciskają ją na auto między trupy. Spali się żywcem wraz z nimi.

Zapada wieczór chłodny i gwiazdzisty. Leżymy na szynach, jest niezmiernie cicho. Na wysokich słupach palą się anemiczne lampy, za kręgiem światła rozciąga się nieprzenikniona ciemność Krok w nią i człowiek znika bezpowrotnie. Ale oczy postów patrzą uważnie. Automaty są gotowe do strzału.

— Wymieniłeś buty? — pyta mnie Henri.

— Nie.

— Czemu?

— Człowieku, ja mam dosyć, kompletnie dosyć!

— Już po pierwszym transporcie? Pomyśl, ja — od Bożego Narodzenia przewinęło się przez moje ręce chyba z milion ludzi. Najgorsze są transporty spod Paryża: zawsze człowiek spotyka znajomych.

— I co im mówisz?

— Że idą się kąpać, a potem spotkamy się w obozie. A ty byś co powiedział?

Milczę. Pijemy kawę zmieszaną ze spirytusem, ktoś otwiera puszkę kakao, miesza z cukrem. Czerpie się to dłonią, kakao zalepia usta. Znow kawa, znow spirytus.

— Henri, na co my czekamy?

— Będzie jeszcze jeden transport. Ale nie wiadomo.

— Jeżeli przyjdzie, to ja nie pójdę go rozładowywać. Nie dam rady.

— Wzięło cię, co? Dobra Kanada?! — Henri uśmiecha się dobrotliwie i znika w ciemności. Po chwili wraca.

— Dobrze. Tylko uważaj, żeby cię esesman nie złapał. Będziesz tu cały czas siedział. A buty ci skombinuję.

— Daj mi spokój z butami.

Chce mi się spać. Jest głęboka noc.

Znow *antreten*, znow transport. Z ciemności wynurzają się wagony, przechodzą przez pas światła i znow znikają w mroku. Rampa jest mała, ale krąg światła jest jeszcze mniejszy. Będziemy wyładowywać kolejno. Gdzieś warczą auta, podjeżdżają pod schodki upiornie czarne, reflektorami oświetlają drzewa. *Wasser! Luft!* Znow to samo, spóźniony seans tego samego filmu: strzelają serią automatu, wagony uspokajają się. Tylko jakaś dziewczynka wychyliła się do pół ciała z okienka wagonu i straciwszy równowagę upadła na żwir. Chwilę leżała ogłuszona, wreszcie podniosła się i zaczyna chodzić w kółko, coraz prędzej i prędzej, sztywno wymachując rękoma jak na gimnastyce, łapiąc głośna powietrze i wyjąc monotonnie, piskliwie. Dusząc się — dostała obłądu. Działa na nerwy, więc podbiegł do niej esesman, okutym butem kopnął w plecy: upadła. Przydeptał ją nogą, wyjął rewolwer, strzelił raz i drugi: została, kopiąc nogami ziemię, aż znieruchomiała. Poczęto otwierać wagony.

Byłem znow przy wagonach. Buchnął ciepły, słodki zapach. Góra ludzka zapełniała wagon do połowy, nieruchoma, potwornie poplątana, ale jeszcze parująca.

<sup>184</sup>*Heil Hitler!* (niem.) — chwala Hitlerowi, pozdrowienie nazistowskie. [przypis edytorski]



— *Ausladen*<sup>185</sup>! — rozległ się głos esesmana wynurzającego się z ciemności. Na pierśiach miał zawieszony przenośny reflektor. Zaświecił do wnętrza.

— Co stoicie wy tak głupio? Wyładować! — i świsnął kijem przez plecy. Chwyliłem ręką trupa: dłoń jego kurczowo zawarła się wokół mojej ręki. Szarpnąłem z krzykiem i uciekłem. Serce mi łomotało, dławilo gardło. Mdłości zgmiotły mnie naraz. Wymiotowałem, skulony pod wagonem. Chwiejąc się, przekradłem się pod szyny.

Leżałem na dobrym, chłodnym żelazie i marzyłem o powrocie do obozu, o pryczy, na której nie ma siennika, o odrobinie snu wśród towarzyszy, którzy w nocy nie pójdą do gazu. Naraz obóz wydał mi się jakąś zatoką spokoju. Wciąż umierają inni, samemu się jeszcze jakoś żyje, ma się co jeść, ma się siły do pracy, ma się ojczyznę, dom, dziewczynę...

Światła migocą upiornie, fala ludzi płynie bez końca, mętna, zgorączkowana, ogłupiała. Wydaje się tym ludziom, że rozpoczynają nowe życie w obozie i psychicznie przygotowują się na ciężką walkę o byt. Nie wiedzą, że zaraz umrą i że złoto, pieniądze, brylanty, które zapobiegliwie ukrywają w fałdach i szwach ubrania, w obcasach butów, w zakamarkach ciała — już im nie będą potrzebne. Fachowi, rutynowani ludzie będą im grzebać we wnętrzościach, wyciągną złoto spod języka, brylanty z macicy i kieszki odchodowej. Wyrwą im złote zęby. W zabitych szczelnie skrzyniach odeślą do Berlina.

Czarne postacie esesmanów chodzą spokojne, fachowe. Pan z notatnikiem w rękę robi ostatnie kreski, dopełnia liczby: piętnaście tysięcy.

Dużo, dużo aut pojechało do krematorium.

Już kończą. Trupy porozkładane na rampie zabiera ostatnie auto, kłamoty są załadowane. Kanada objuczona chlebami, marmoladą, cukrem, pachnąca perfumami i czystą bielizną, ustawia się do odmarszu. Kapo kończy ładowania kotła od herbaty złotem, jedwabiami i czarną kawą. To na bramę dla wachmanów: puszcza komando bez kontroli. Parę dni obóz będzie żył z tego transportu: zjadał jego szynki i kielbasy, konfitury i owoce, pił jego wódki i likiery, będzie chodził w jego bieliźnie, handlował jego złotem i tłumokami. Wiele wyniosą cywile za obóz, na Śląsk, do Krakowa i dalej. Przywiozą papierosy, jajka, wódkę i listy z domu.

Parę dni będzie obóz mówił o transporcie „Sosnowiec-Będzin”. Był to dobry, bogaty transport.

Gdy wracamy do obozu, gwiazdy poczynają blednąć, niebo staje się coraz bardziej przezroczyste, podnosi się nad nami, noc przejaśnia się. Zapowiada się pogodny, upalny dzień.

Z krematoriów ciągną potężne słupy dymów i łączą się w górze w olbrzymią, czarną rzekę, która niezmiernie powoli przewala się przez niebo nad Birkenau i niknie za lasami w stronę Trzebini. Transport sosnowiecki już się pali.

Mijamy oddział SS idący z bronią maszynową na zmianę warty. Idą równo, człowiek przy człowieku, jedna masa, jedna wola.

— *Und morgen die ganze Welt...*<sup>186</sup> — śpiewają na całe gardło.

— *Rechts ran!* Na prawo! — pada od czoła komenda. Usuwamy się im z drogi.

## Śmierć powstańca

Obok rowu, za wąskim pasem łąki, leżało pole zasadzone burakami. Wychyliwszy się za brunatny nasyp świeżo wyrzuconej, lepkiej gliny, widziało się prawie że osiągalne zielone, mięsiste liście, a pod nimi białe, o różowych żyłkach, końskie buraki, rozparte w mokrej ziemi. Pole ciągnęło się zboczem pod górę i urywało się pod ścianą czarnego lasu, rozmazanego w rzadkiej mgłę. Na skraju lasu stał post<sup>187</sup>. Sterczała z niego jak kopia śmieszna tyczka długiego, podobno duńskiego, karabinu. O kilkadziesiąt metrów na lewo,

Las, Praca, Żołnierz

<sup>185</sup> *ausladen* (niem.) — rozładować! [przypis edytorski]

<sup>186</sup> *Und morgen die ganze Welt...* — fragment popularnej piosenki nazistowskiej napisanej przez Hansa Baumann. Cytowany wers brzmi: „Denn heute da hört uns Deutschland / Und morgen die ganze Welt” (z niem.: „Więc dziś słyszą nas Niemcy, / a jutro cały świat). [przypis edytorski]

<sup>187</sup> *post* — w gwarze obozowej: esesman, pilnujący więźniów przy pracy lub pełniący wartę na wieży strażniczej. [przypis edytorski]

pod rachitycznymi śliwami, rozsiadł się drugi post i, owinąwszy się szczelnie w lotniczy szary płaszcz, patrzył spod nasuniętej na uszy i czoło furazerki<sup>188</sup> w dolinę jak na dno wanny.

Dalej na zboczu, tam gdzie las schodził w dół kępami młodych wierzb, między nie spodziewanie żywotną rzeczką a szosą, przecinającą w poprzek dolinę, jeździły olbrzymie traktory, równając pługami ziemię rwaną przez bagry<sup>189</sup> i podwożoną z dołu przez szeregi wagoników, pchanych przez ludzi. Było tam niebezpiecznie gwarno i tłoczno. Ludzie pchali lory<sup>190</sup>, nosili podkłady i szyny, rwali płatami murawę na zamaskowanie budynków, pod które grunt dopiero równał traktor.

Na dnie wanny kopaliśmy rów. Rów, przewidująco wykończony w dobrych czasach, kiedy świeciło słońce i pełno było pod drzewami dojrzałych, strząśniętych przez wiatr śliwek, zaczął się podczas deszczów obsypywać, a nawet grozić całkowitym zawaleniem się, jako że do wodociągów ściany kazano nam kopać prosto, a nie — jak to się mówi — na sago<sup>191</sup>, nie przewidziawszy, że Norwegowie, którym polecono w rowach układać rury na wodociąg, wymrą solidarnie co do jednego już po pierwszych dziesięciu kilometrach. Czym prędzej więc zabrano nas do noszenia szyn i wyciągania poplątanych prętów stalowych, leżących, jak Bóg zdarzył, kupą na dworcu, i zagnano na dno wanny poprawiać rów, który ciągnął się nieprzyzwoicie blisko pola buraczanego.

— Pomyślałbyś, taki rów że niby nic nie znaczy — rzekłem do Romka, byłego dywersanta spod Radomia<sup>192</sup>, od dwóch lat odrabiającego w obozach Niemcom to, co im w Polsce napsuł. Pracowaliśmy na spółkę od chwili założenia tego parszywego obozu na skraju małej łączki pod jednym z wirtemberskich<sup>193</sup> wzgórz i doszliśmy w kopaniu rowów do niejkiej wprawy. On działał kilofem miękko ziemię na kaszkę, a ja wyrzucałem ją końcem łopaty na grzbiet nasypu. Kiedy on się kiwał, przyczepiony leniwie do kilofa, opierałem się o wilgotną, popękaną ścianę rowu lub siadałem na umiejętnie podłożonej łopacie. Kiedy ja się kiwałem, on przejmował moją funkcję podpierania rowu. Z daleka wyglądało to tak, jakby w rowie był jeden człowiek, który pracuje wolno, ale za to gorliwie i bez odpoczynku.

— A bo co, że rów? — podtrzymał rozmowę Romek, kiwnąwszy się bez zapалу na kilofie. Umiejętność prowadzenia rozmowy i przewlekania jej przez cały dzień była prawie tak samo ważna jak jedzenie. — Osypał się i tyle. Jak go poprawimy, to pójdziemy dalej — mówił, przedzielając rytmicznie słowa kłapnięciami kilofa. — Aby nie do noszenia szyn albo podkładów jak ci tam od powstania. Przy łopacie i kilofie ujdzie jeszcze wytrzymać. Ale jak chcesz coś powiedzieć, to mów od razu, a nie tak, na okrąg.

Popatrzył po horyzoncie. Miał niebieskie, jakby wypłowiałe, oczy i dobroną, bardzo przychudzoną twarz o silnie zarysowanych kościach policzkowych.

— Nawet słońca nie widać — zauważył zmartwiony. — Jak myślisz, będzie deszcz?

Skulił się pod ścianą we wnęce po przezornie oddziabanej glinie. Było tam sucho i jakby cieplej. Nad rowem szedł porywisty jesienny wiatr i pędził górą niespokojne, nabrziałe deszczem obłoki, ale w dole było zaciszenie.

— Frajer deszcz — odparłem lekkomyślnie. — Albo to pierwszyzna dla nas? A popatrz, rów, jakeśmy zaczęli go kopać, to było nas starych równo tysiąc ludzi. Chłop w chłopa, wysiedzianych po nie byle jakich obozach. Co to niejedno już widzieli.

Machnąłem w milczeniu parę razy pustą łopatą i przytrzymałem osypujące się z nasypu grudy.

— Wykopaliśmy rów, trochę słońce poświeciło, trochę deszcz popadał, trochę się rów osypał — i została nas połowa. A z tych tam — wskazałem głową za zakręt rowu, gdzie pracowała reszta naszej grupy, ci tam od powstania — to nie wiem, czy i połowa żyje. Mówili, że truponosy dostali wczoraj po dwa bochenki chleba, bo wywieźli pięćdziesiąt

<sup>188</sup> *furazerka* — miękka, podłużna czapka wojskowa bez daszka. [przypis edytorski]

<sup>189</sup> *bagier* — pogłębiarka. [przypis edytorski]

<sup>190</sup> *lora* — odkryty wagon towarowy. [przypis edytorski]

<sup>191</sup> *na sago* — na ukos. [przypis edytorski]

<sup>192</sup> *Radom* — miasto na prawach powiatu w centralno-wschodniej Polsce. [przypis edytorski]

<sup>193</sup> *Wirtembergia* — kraina historyczna w pld.-zach. Niemczech, wchodzi w skład kraju związkowego Badenia-Wirtembergia. [przypis edytorski]

trupów w skrzyni. A jeden Żyd to się utopił w błocie na środku obozu. Dlategośmy wczoraj tak długo na apelu stali. U nas zupa była już zimna na bloku.

Były dywersant podniósł się z wnąki i pochwycił za kilof.

— Nie dwa, nie dwa bochenki — tylko każdy trupiarz dostał po pół bochenka i trochę margaryny w nagrodę. A wiesz, tych tam, jak ty mówisz, powstańców, to nie szkoda mi wcale. Ja im nie kazałem tutaj przyjeżdżać. Sami chcieli. Ochotnicy, pod koniec wojny dobrowolnie lager<sup>194</sup> przyjechali budować, kraj uprzemysłowić — dodał zgryźliwie i zakończył przekleństwem.

— Pewnie już cały rów uprzątneśli, bo coś nie słysząc, żeby się kłócili o politykę. Musieli dalej odejść. Starają się od rana jak głupi. Myślą, że majster Batsch da któremu skórek od chleba.

— A jakże, da! Nie bój się, nasz Chorwat dobrze popatrzy, porachuje, a dopiero da ci, jakby to była kiełbasa! Ma on swój system, umie podbechtać<sup>195</sup> do pracy, niby nie bije, a skórkami mami. Umie dać szpilę, a ty, głupi, pracuj. Kto chce zdechnąć, niech czeka na skórkę. Ja tam wołę mniej zjeść, a nic nie robić.

— Narobi się taki jeden z drugim za cały bochenek, a zje kawałek skórkę — potwierdziłem skwapliwie. — Chyba pójdę po buraki. Zjadłoby się trochę, no nie? Akurat dobrze, bo majster na wieś poszedł.

— A pewnie, że dygaj. Twoja kolej teraz. Ja wczoraj przyniosłem i przedwczoraj. Ale uważaj na kapę<sup>196</sup>, kręci się tam przy bagrze — ostrzegł Romek. — Przynies ze dwa, może się coś skombinuje. Głupich nie brak. Tylko nie daj komu.

— Gdzież by tam! Stary na pewno przyjdzie. On chleba przecie woli nie dojeść, a zieleniny nawpychać się musi, byle dużo. Czego on nie je! I mlecz, i dziki czosnek, i pietruszkę z łąki. Ja ci mówię, że on wykituje.

Wetknąłem uważnie łopatę w ziemię, żeby, padając, nie ubabrała się w błocie, i chyłkiem polazłem wzdłuż rowu między kałużami z ostatniego deszczu.

Rzecz polegała na tym, że trzeba było rwać buraki nie z pola leżącego pod nosem, lecz z drugiego, bliżej traktorów, wrzasku pchających naładowane ziemią wagony ludzi, nerwowego jak ryba na haczyku kapy, no i posta, któremu z nudów nadarza się czasem kogoś postrzelić. Za rwanie buraków groziły niedwuznaczne sankcje, cóż bo winni są spokojni wieśniacy z Wirtembergii, że zjechała na ich ziemię niespodzianie banda więźniów i rozłożyła się małymi lagerkami od Stuttgartu<sup>197</sup> aż do Balingen<sup>198</sup>, żeby z kamienia robić olej? Już i tak wycierpieli dosyć, poryto im paskudnie łąki, zajęto pastwiska pod urzędzenia połowych fabryk, a żołnierze i majstrowie z Armii Pracy<sup>199</sup> Todta<sup>200</sup> grasują z upodobaniem po ogrodach i sadach, a jeszcze więcej po narzeczonych nieobecnych autochtonów, przebywających *zur Zeit*<sup>201</sup> na froncie.

Za zakrętem rowu, w pewnym oddaleniu od nas, pracowała grupa starych panów z powstania warszawskiego, ubrana jednolicie, aczkolwiek z pewnymi indywidualnymi odchyleniami, w pasiaki. Jeden wpuścił marynarkę w spodnie, innemu wystawała spod marynarki torba cementowa, świetna ochrona od deszczu i wiatru, inny jeszcze posłużył się papą, którą nałożył na siebie, wyciąwszy otwory na głowę i ręce.

— Panowie, przepuście mnie, szczęść wam Boże w pracy — rzekłem układnie. — A wy, powstaniec, moglibyście zdjąć tę papę z siebie. Nie widzieliście wczoraj, jak esesman Żyda zatłukł za słomę, co ją znalazł u niego?

Jedzenie, Powstaniec,  
Kondycja ludzka

Powstaniec, Kondycja  
ludzka, Jedzenie, Polak, Żyd

<sup>194</sup>lager — w gwarze obozowej: niemiecki obóz koncentracyjny. [przypis edytorski]

<sup>195</sup>podbechtać (pot.) — podrażnić dumę, ambicję. [przypis edytorski]

<sup>196</sup>kapo — w gwarze obozowej: więzień, pełniący funkcję dozorcę pozostałych więźniów. [przypis edytorski]

<sup>197</sup>Stuttgart — niemieckie miasto na prawach powiatu, stolica i największe miasto kraju związkowego Badenia-Wirtembergia. [przypis edytorski]

<sup>198</sup>Balingen — miasto powiatowe w Niemczech, w kraju związkowym Badenia-Wirtembergia. [przypis edytorski]

<sup>199</sup>Armia Pracy a. Organizacja Todt — stworzona przez Fritza Todta paramilitarna organizacja, która w latach 1938–1945 zajmowała się budownictwem obiektów wojskowych (np. Linia Zygfryda, Wał Atlantycki); miała własne obozy pracy, zatrudniała także więźniów obozów koncentracyjnych. [przypis edytorski]

<sup>200</sup>Todt, Fritz (1891–1942) — niemiecki inżynier i hitlerowski działacz państwowy w okresie III Rzeszy. [przypis edytorski]

<sup>201</sup>zur Zeit (niem.) — obecnie, tymczasem. [przypis edytorski]

— A czy ja jestem Żyd? Żydów to tam mogą tłuc, a nie Aryjczyków. Zresztą martw się pan o siebie. Ja też, jak bym miał trzy koszule, to byłbym taki mądry i chodził bez papy.

— Panie, pan idzie po buraki? — zapytał mnie ten od utyłanych, niegdyś elegancików, trzewików.

— No? A jak po buraki, to co?

— Przyniósłby pan jednego dla nas.

— Burak szkodzi na żołądek, proszę pana. Dostanie pan *durchfallu*<sup>202</sup> i wykituje pan w *try miga*. Nie lepiej to przeżyć?

— Kiedy się, proszę pana, jeść chce. A jak człowiek głodny, to mu się nie bardzo chce żyć — rzekł rozsądnie stary.

Przyjrzałem się dokładnie staremu muzułmanowi<sup>203</sup>. Marynarkę przepasał grubym, sztukowanym sznurem i wypchał się grubo słomą, która wystawała spod kusego kołnierza, postawionego sztorcem, jakby ten kawałek nasiąkłego wilgocią płótna z pokrzywy mógł go ogrzać. Nie wpadło mu natomiast na myśl wpuścić spodnie w owe eleganckie niegdyś trzewiki, jeszcze warszawskie. Były one grubo oblepione błotem, dawnym, zeschniętym i gęstą mazią nowo nabytej gliny.

— Ej, stary, stary — rzekłem z pogardą — szanować się nie umiecie. Trzeba się trochę ruszyć koło siebie, trochę się ochędożyć<sup>204</sup>, przecie obóz to nie pensjonat, gdzie wam wszystko podadzą, to nie u mamy w domu. Jak się otrzecie z błota i poruszacie się *niemnożko*<sup>205</sup>, to wam od razu więcej zdrowia przybędzie, niż gdybyście pajdkę chleba zjedli. A jak będziecie tylko buraki jeść i jeszcze co dzień papierosa kupować za pół miski zupy, to myślicie, że co? Że wytrzymacie? Wwałą w skrzynię i wywiozą, i tyle będzie z was. Już i tak wyglądacie jak półtora nieszczęścia.

— Jakbyś pan zjadł tylko litr zupki na wodzie i pajdkę chleba, to byś też tak wyglądał jak my — przerwał potok mej wymowy ten w nakryciu z papy.

— Albo ja więcej jem od was czy co? — oburzyłem się szczerze. — Tylko nie jestem zwyczajony do frykasów jak wy z Warszawy<sup>206</sup>. I szanować się umiem.

— A kto wczoraj menażkę zupy z naszego bloku wyniósł, jak nie ty? Może powiesz: nieprawda?

— Sprzedałem wczoraj miotłę blokowemu<sup>207</sup> z waszego bloku i za to dał mi miskę zupy. Pracowaliśmy wszyscy koło wikliny. Czy ja wam bronilem robić miotły? Wyście sobie wygodnie w południe leżeli, jak ja witki plotłem.

— Tee te, ja też jestem taki mądry. Albo ode mnie blokowy weźmie? Woli dać zupy za darmo któremuś z was, z Oświęcimia<sup>208</sup>.

— Jak posiedzisz parę latek jak my wszyscy, to i tobie wszędzie dadzą drugą miskę zupy — odpowiadam rozdrażniony i biegnę do buraków, klnąc siebie za niepotrzebną zwłokę.

Jakieś sto metrów dalej rów skręcał ku czarnemu kwadratowi ziemi, tarmoszonej przez traktory i bagry. Tuż przed zakrętem nasyp nad rowem był usunięty, a w ścianie rowu wykopano dwie płytkie dziury, w których stopa znajdowała oparcie jak ułał. Wsadziwszy nogę w zagłębienie i chwyciwszy się palcami krawędzi rowu, wydzwignąłem się z wysiłkiem ponad rów i, nie zważając, że cała marynarka oblazi mi błotem, popęzłem ostrożnie między buraki. Tutaj, zakryty po trosze buraczanymi liśćmi, poczułem się trochę raźniej. Na oko wybrałem najgrubszą bulwę, bez pośpiechu poobrywałem liście i wyważyłem ją z ziemi. Oglądałem się za rzepą, ale oprócz pękatek, biało-różowych buraczanych łbów nic innego nie umiałem dostrzec. Zdobyłem tedy jeszcze jeden burak,

<sup>202</sup>*durchfall* a. *durchwal* — w gwarze obozowej: biegunka. [przypis edytorski]

<sup>203</sup>*muzułman* — w gwarze obozowej: osoba skrajnie wycieńczona fizycznie oraz psychicznie głodem i chorobami, pozbawiona podstawowych odruchów życiowych. [przypis edytorski]

<sup>204</sup>*ochędożyć się* (daw.) — doprowadzić się do porządku. [przypis edytorski]

<sup>205</sup>*niemnożko* (z ros.) — niewiele, trochę. [przypis edytorski]

<sup>206</sup>*Warszawa* — stolica i największe miasto Polski. [przypis edytorski]

<sup>207</sup>*blokowy* — w gwarze obozowej: więzień obozu koncentracyjnego, pełniący funkcję nadzorca w bloku. [przypis edytorski]

<sup>208</sup>*Oświęcim* — miasto w województwie małopolskim, siedziba władz powiatu oświęcimskiego; w latach 1940–1945 działał tutaj zespół niemieckich nazistowskich obozów koncentracyjnych. [przypis edytorski]

wsadziłem oba pod marynarkę i, trzymając w ręku parę liści jako osłonę przed wzrokiem kapy albo posta, począłem wycofywać się do rowu. Wreszcie wsunąłem się między spękane, wilgotne ściany i odetchnąłem z ulgą.

Oczyściłem marynarkę i spodnie wyjętą z kieszeni drewnianą łopatką, oskrobałem bardzo starannie ręce i buty i, przytrzymując buraki pod połamami marynarki, szybko podyrdałem do swoich. Byłem trochę podniecony i oddychałem jak zgoniony pies.

— Panie, daj pan jednego, daj pan kawałek — namawiali mnie powstańcy, kiedy przechodziłem koło nich.

— Ludzie, zostawcie mnie w spokoju! — zawołałem prawie że z rozpaczą, przyciskając do brzucha obrzydliwie wilgotne buraczane łby. — A idźcie sobie urwać! Tam rosną buraki dla wszystkich! Co to ja jeden jestem?

— Kiedy panu łatwiej, bo pan jest młody! — rzekł ten od nakrycia z papy.

— To zdychajcie, jak jesteście starzy i boicie się. Jak bym ja się bał, to by już dawno trawa po mnie rosła!

— To się udław, ty sukinsynu! — krzyknął za mną nieprzyjaźnie pan w nakryciu z papy.

Przecisnąłem się do byłego dywersanta. Romek kucnął sobie w rowie, trzymając się rękkości kilofa.

— I tak nikt nie patrzy, to po co się starać? — powiedział bardzo rozumnie.

Wyciągnąłem buraki spod marynarki. Dywersant dziabnął kilofem w dno rowu, wykopał mały dołek, wyjął z zakamarków odzienia rzecz nieocenioną: scyzoryk i obrał starannie buraki, wrzucając łupiny do dołka.

— Rozumiesz, raz poszliśmy robić jednego sołtysa, niedaleko od Radomia — mówił, wycinając z buraków żyłaste, nienadające się na wybredniejsze podniebienie, części. — Jeżyny czy Dzierżyny, jakoś tak się ta wioska nazywała. Obstawiliśmy chałupę na olaboga<sup>209</sup> i Wilk — we wszystkich opowiadaniach Romka Wilk grał pierwsze skrzypce — wlaźł przez okno do chałupy, czekamy, aż się załatwi. Ale on nic, tylko mnie woła. Włażę, rozumiesz, i ja, rozglądam się, bo trochę ciemno, leży sołtys z babą w łóżku i nie chce wyjść. Chodź na przesłuchanie, mówi Wilk. Ja go nie puszczę, przesłuchajta go w łóżku, powiada baba. A sołtys milczy ze strachu. Wał, mówię, w poduszkę, trudno, czego się nie robi dla Ojczyzny. Wywaliliśmy na spółkę w chłopą, aż pierze pod sufit poleciało. Myślisz, baba w krzyk za nim? Akurat! Takie owakie, powiada, partyzanty jedne, poduszkę i pierzynę mi do cna ino zmarnowali!

— Bujda wszystko — zawyrokowałem, zaklepując łopata dołek z obierkami. — Ale co ma sołtys do buraków?

— A ma i to bardzo dużo — dywersant podał mi pokrojony na części burak, który natychmiast schowałem do kieszeni — bo w spiżarni u starego tośmy taki — zatoczył ręką nieprawdopodobne koło — wieniec kielbasy zafasowali<sup>210</sup>.

— A jakiej kielbasy, proszę pana? Bo ja się trochę na wędlinach znam — rzekł niespodziewanie stary w zabłoconych, niegdyś eleganckich, trzewikach. Podszedł do nas po cichu i, oparłszy się na łopacie, z nabożeństwem wysłuchiwał historyjki dywersanta, z nie mniejszym nabożeństwem śledząc krajanie buraków.

— Jakiej kielbasy? Wiadomo, że nie serdelowej. Zwyczajnej, wiejskiej kielbasy z czosnkiem — odrzekł opryskliwie Romek. — Na pewno lepsza od tych buraków. To sobie możecie wyobrazić!

Podał mi plasterek buraka i odkroił sobie drugi. Miały nudną, piękną słodycz sacharyny i rozchodziło się od nich nieprzyjemne zimno po ciele. Dlatego jadło się je ostrożnie i małymi dawkami.

— Panie, daj pan kawałek, nie bądź pan taki.

Człowiek w trzewikach ze starczym uporem tkwił wciąż nad nami.

— Trzeba było urwać sobie — rzekł Romek. — Chcielibyście tylko, żeby ktoś za was tyłka nadstawił jak w Warszawie, prawda? Sami to się boicie?

— Jakże ja mogłem walczyć w Warszawie, jak mnie zaraz Niemcy wywieźli?

<sup>209</sup>na olaboga (daw.) — niedbale, byle jak, naprędce. [przypis edytorski]

<sup>210</sup>fasować — wydawać lub pobierać z magazynu żywność. [przypis edytorski]

— Idźcie, idźcie, stary, do roboty i starajcie się dalej, to wam majster Batsch może skórek od chleba da — rzekłem drwiąco, a kiedy nie odchodził, nie mogąc oderwać oczu od chrupanych przez nas nonszalancko plasterków, dodałem zniecierpliwiony: — Słuchajcie no, stary, buraki szkodzą na żołądek. Za dużo w nich wody. A wy zjadacie całe główki. Nogi was nie bolą?

— Gdzie tam, żeby bolały, tylko mi trochę opuchły — rzekł z ożywieniem stary, podciągając do góry zablocone nogawki pasiaka. Z utytlanych w błocie, niegdyś eleganckich, trzewików, z fantastycznie poskręcanych szmat i ścierek wylażyły obrzmiałe, chorobliwie białe, prawie sine łydki.

Pochyliłem się i nacisnąłem palcem skórę. Dywersant gmerał obojętnie kilofem w ziemi. Nie imponowały mu byle jakie opuchnięte nogi.

— Widzicie, stary, palec wlaź w ciało jak w wymieszane ciasto. A wiecie dlaczego? Woda, nic, tylko woda. Jak dojdzie od nóg do serca, to wtedy kaput<sup>211</sup>. Nie można nic pić, nawet kawy. I zieleniny, ma się rozumieć, także nie jeść. A wy buraków chcecie.

Stary krytycznie spojrzął na łydkę, a potem podniósł na mnie oczy bez wyrazu.

— Dam wam kawałek chleba, ale za całego buraka — powiedział bezdźwięcznie i wyciągnął z kieszeni, omotany w brudną szmatę, chleb, tak z pół pajdki rannej, jak błyskawicznie i fachowo ocenilem.

Dywersant oparł się na kilofie, a drugą ręką chwycił się pod bok.

— Widzicie, stary, zawszeście jednakowi. Co dzień z wami to samo. Trzeba było od razu wyciągnąć chleb, a potem opowiadać dyrdymałki. Że też wy od rana umiecie dotrzymać — dodał z mieszaniną pogardy, uznania i zazdrości.

— Ano, jak trzeba. Takim burakiem to człek przynajmniej kiszki napcha. Dajcie prędej, bo do roboty trza. Gadamy i gadamy, a tam inni za mnie kopią.

— Chleba dajecie za paznokiec, a buraka to chcecie za całą rękę — rzekł dla zasady Romek. — Ale niech tam już będzie, żebyście nie marudzili.

Chwycił chleb, położył go we wnęce, następnie, wyjąwszy z kieszeni kawałki buraka, poskładał je do kupy, aby unaocznic, że kantu nie ma i że rzeczywiście cały, nienadkrojony burak, i wręczył je staremu, który, zebrawszy kawałki buraka w podolek, odszedł w pośpiechu za zakręt rowu, ciągnąc za sobą łopatę.

Wtedy Romek sięgnął do wnęki, wyjął chleb, podzielił go sprawiedliwie na dwie równiutkie części i podał mi jedną. Poczuliśmy obaj żuć, uważnie mieszając chleb ze śliną i polykając bez pośpiechu. Wreszcie Romek wyciągnął z kieszeni dwie przyduszone, zwiędłe śliwki. Z chytrym uśmiechem rzucił mi jedną. Złapałem ją w powietrzu.

— Trzeba mieć, uważasz, cierpliwość i umieć donosić żarcie do czasu. Znalazłem śliwki, jak chodziliśmy po narzędzia rano do budy. Żebym to ja tak chleb umiał dotrzymać... Ale ty byś od razu zjadł.

— Naturalnie, żebym zjadł — odpowiadam zgodnie. Znów bez porozumienia wróciliśmy do dawnego systemu pracy. On kiwał się na kilofie, krusząc resztki grud, upadłych z nasypu, a ja podpierałem wnękę, w której wydawało się nieco cieplej niż w gołym rowie, może dlatego, że nad rowem szedł wiatr, a tu było trochę ziemi nad głową niby dach.

— Wiesz, jak w Oświęcimiu dostawałem paczki, to mleko skondensowane od razu wypijałem — mówię w rozmarzeniu. — Nigdy nie umiałem podzielić. A tutaj porcje także od razu zjadam. Widziałeś mnie kiedy, żebym miał chleb przy sobie? Raz dwa zjeść, troszkę kawy popić, ale niedużo, i przestać cały dzień przy łopacie. Grunt to nie narobić się.

— Najlepszy system to nie nosić jedzenia w kieszeni. Co w żołądku, tego ani złodziej nie ukradnie, ani ogień nie spali, ani na podatki nie wezmą. Taki, co dzieli, gmera, mamrze się<sup>212</sup> z jedzeniem — prędko zdechnie. To żydowski system.

— I warszawski — dodałem, myśląc o odbytej tylko co transakcji.

— I warszawski — zgodził się były dywersant.

Wbił kilof w ziemię i oparł się o ścianę rowu. Rów był wąski, ale nieproporcjonalnie głęboki. Wilgotna ziemia pachniała trupim zapachem gnijącej trawy. Z jednej strony rowu wznosił się nasyp, za nasypem szło pole buraków, a dalej traktory, łańcuch wart

<sup>211</sup>kaput (z niem.) — koniec, szlag trafił. [przypis edytorski]

<sup>212</sup>mamrać — w gwarze Śląska Cieszyńskiego: gderać, zrzedzić. [przypis edytorski]

i las. Z drugiej strony była łąka, na której gdzieniegdzie rosły dzikie śliwy. Śliwy dochodziły aż do wsi, leżącej zupełnie w dole poniżej wanny. Od nas widać było czub kościoła, który wznosił się w środku wsi nad wodospadem wezbranej w jesieni rzeczki, oraz czerwone dachy domów, schodzących coraz niżej. Dalej wspinał się po stoku wzgórza młody świerkowy las. Za lasem leżał nasz mały, niedawno założony obóz, w którym w przeciągu dwu miesięcy umarło trzy tysiące ludzi. Od lasu kładł się biały pas drogi, nikał we wsi i wypływał wraz ze śliwami.

Z daleka, przerzynając na ukos łąkę, schodził z drogi majster, odcinając się od mokrej zieleni trawy jaskrawą barwą munduru Armii Pracy Todta. Był to wielki specjalista od instalacji wodociągowych, noszenia szyn i załadowywania worków z cementem oraz świetny, nawet przez oświęcimaków niedościgniony, organizator wszelkiego jedzenia po okolicznych wsiach. O swoich ludzi, a miał nas dwudziestu, dbał. Oto zbierał codziennie od swoich kolegów skórki od chleba i rozdawał je tym, którzy najgorliwiej pracowali.

Chwyciłem łopatę do rąk i zacząłem z energią wyrzucać okruszyny ziemi. Były dywersant wziął kilof i, odsunawszy się ode mnie o dobre parę metrów, żeby na kupie nie stać, podniósł kilof wysoko ponad brzegami rowu, pozwalając mu w rowie opadać własnym ciężarem.

— Zaczęłeś coś mówić o rowie przedtem, zdaje się? — zagadnął, gdy milczenie przeciągało się niebezpiecznie. Należało rozmawiać cały dzień, wtedy człowiek tracił poczucie czasu i nie miał okazji do snucia destruktywnych marzeń o jedzeniu. — Pogadajże coś! Jak to było? — i znów machnął kilofem, dbając usilnie, aby błysnąć nim nad rowem.

— Bo to widzisz, tak się gmera, kopie Niemcowi na pożytek, raz na Śląsku<sup>213</sup>, gdzieś pod Beskidami<sup>214</sup>, raz w Wirtembergii, to znów na granicy szwajcarskiej, coraz to któryś z kumplów umrze, to znów nowych przygnają, i tak, bracie, w kółko. I końca nie widać. A jak przyjdzie zima...

— Nie gadaj. Przyłóż ucho do ściany, a posłyszysz, jak ziemia huczy od artylerii. Kują w nią tam na Zachodzie, kują...

— Już od miesiąca tak kują. Przez ten czas u nas wymarło trochę ludzi, nazwoziliśmy wapna, cegły, cementu, szyn, żelaza i czego tam jeszcze, pokopaliśmy rowy, doły, zbudowaliśmy kolejki — i co? Coraz głodniej i zimniej. I coraz częściej pada deszcz. Jeszcze się człowiek jakoś trzymał nadzieją, że wróci, ale teraz — do kogo? Może też gdzieś tak dolki kopią, jak te nasze powstańcy. Ale nawet, gdyby nie, to myślisz, że będziesz umiał żyć? Albo będziesz się bał wiecznie nie wiadomo jakich strachów, albo będziesz grabił oburącz, gdzie się da, bo w co będziesz wierzył? Co tu mówić, ja tam od rana myślę o jedzeniu. I to nie o jakichś tam wspaniałościach, co to się w powieściach czyta. Ale tak do syta chleba i grubo masła na chleb.

— Ja tam nie myślę o tym, co będzie — rzekł ostro dywersant — grunt, aby dzisiaj przeżyć. Chcę wrócić do żony, do dziecka, już się dosyć nawojowałem po świecie. Na pewno będzie ci lepiej niż teraz, nie? A może chciałbyś już tak do końca życia — i zaśmiał się urągliwie.

— Machaj, machaj kilofem — rzekłem ostrzegawczo — majster stoi nad rowem, nie widzisz?

Udając, że go nie dostrzegamy, pracowaliśmy gorliwie, zatopieni na niby w rozmowie. Wywalałem pełne, uczciwe łopaty aż na sam czub nasypu, postępując z wysiłku. Majster Batsch postął chwilę nad nami, założywszy ręce do tyłu, popatrzył jakby z niezmiernej wysokości i poszedł powoli nad rowem, błyszcząc czernią wysokich butów. Brzeg żołnierskiego płaszcza miał ordynarnie zabłocony.

— Kapo, kapo — krzyknął do mnie, stanąwszy nad grupą powstańców — chodź no tutaj! Dlaczego ten człowiek leży na ziemi? Dlaczego on nie pracuje?

Majstrowie nazywali kapami wszystkich, którzy umieli po niemiecku. Śmieszyło to bardzo starych oświęcimaków, a nawet, prawdę powiedziawszy, gorszyło, co kapo bowiem, to kapo.

Podbiegłem rowem. Za zakrętem na dnie rowu siedział skulony stary, ten od za-

<sup>213</sup>Śląsk — kraina historyczna w Europie Środkowej, położona na terenie Polski, Czech i Niemiec. [przypis edytorski]

<sup>214</sup>Beskidy — grupa pasm górskich w łańcuchu Karpat. [przypis edytorski]

Wojna, Jedzenie, Strach,  
Kondycja ludzka

Praca

Powstaniec, Choroba,  
Jedzenie, Kradzież

bloconych, a niegdyś eleganckich, trzewików, i jęczał, ściskając rękoma brzuch. Majster kucnął nad rowem, troskliwie, ale z daleka, zaglądając więźniowi w twarz.

— Chory? — zapytał.

W rękę trzymał spory pakuneczek, owinięty w gazetę.

Na przeraźliwie bladej twarzy starego powstańca pojawiły się rzadkie krople potu. Oczy miał przymknięte. Powieki drżały mu raz po raz. Musiało mu być gorąco, bo rozpiął kołnierz. Słoma wylazła mu zza pazuchy i sterczała przed twarzą.

— Cóż to, stary, buraki wam, widać, zaszkodziły? — zapytałem ze współczuciem

Jego towarzysz z kilofem, ten od nakrycia z papy, obrzucił mnie nienawistnym spojrzeniem i rzekł niezdarnie do majstra Batscha:

— *Krank*<sup>215</sup>. On jest chory, chory — powtórzył z naciskiem w nadziei, że majster zrozumie po polsku. — *Hunger, verstehen*.<sup>216</sup>

— No, tak, to zupełnie jasne — dopowiedziałem pośpiesznie — naźarł się buraków i teraz dostał bóleści w brzuchu. Dopiero co przyjechał do obozu, to nie wie, że zielenizna szkodzi. Na żarłoczność i głód trudno poradzić, proszę pana majstra.

— Buraki? Z tamtego pola, co? O, to bardzo niedobrze. *Klauen*<sup>217</sup>, prawda? — Majster Batsch uczynił dłonią międzynarodowy ruch chowania ukradkiem do kieszeni.

— On nie może tego potrafić! — rzekłem z pogardliwym lekceważeniem. — On kupuje co dzień buraki za chleb.

Majster Batsch pokiwał głową w zrozumieniu, przyglądając się smutnie powstańcowi znad rowu jakby z krawędzi innego świata. Towarzysz starego, ten od papy, ruszył się niespokojnie.

— Powiedz mu pan, może tego człowieka do lagru zaniosą, przecież on jest chory, ciężko chory.

— Ciężko chory? — rzekłem ze zdziwieniem. — To pan jeszcze mało rzeczy widział na świecie. Ma czas do wieczora. Co pan, dziecko, nie wiesz pan, że żaden post nie pójdzie teraz stąd? Coś pan, pierwszy dzień na komandzie<sup>218</sup>? I zdejmij pan tę papę, bo jeszcze pana kto urządzi. Mówiłem już raz. Znow później powiecie, że my niedobrzy, że nie ostrzegamy.

I odszedłem do swojej łopaty. Dywersant, korzystając z tego, że majster był zajęty czym innym, kucnął spokojnie we wnęce, opierając się z wprawą na kilofie. Gdy chwyciłem za łopatę, wylazł z wnęki i stanął także w pozycji roboczej.

— Stary, prawda? — zagadnął bez zainteresowania.

— Nie pociągnie nawet do wieczora — odpowiedziałem. — Już niejedną setkę takich widziałem. Spuchłe nogi, durchfall, a teraz znow się obżarł burakami. Czarno widzę przed nim.

— Znow jeden mniej... Ja mu nie kazałem przyjeżdżać. Mogli bronić tej Warszawy, jak już zaczęli, nie?

— Pewnie, że mogli. Przecie, jak oni jechali do Oświęcimia, to ich nikt nie pilnował. Myśleli, że na roboty. Dorwali się teraz do robót jak chłop do wody sodowej.

Ze złości wywaliłem całą grudę ziemi na nasyp, aż ugięła się rękojeść łopaty.

— Co się będziesz martwić za tamtego. Jak kto chce Niemcowi służyć, to dobrze mu tak — rzekł dywersant. — W Oświęcimiu krzyczeli, że oni nie są polityczni, i co trzeci chwalił się, że ma wujka volksdeutscha<sup>219</sup>, tu znow im źle, bo jeść mało dają. Przyjechali sześć tygodni temu i już chcieliby ze trzy miski zupy dostawać!

— Dużo zjadł dzisiaj, więcej niż porcja? — zapytałem zainteresowany. Jedzenie było tematem w chwilach szczególniejszych wzruszeń.

— Co tam zjadłem — obruszył się były dywersant spod Radomia. — Wczoraj to zjadłem. Z rana porcja chleba i co tam było do chleba?

— Margaryna i ser — odpowiedziałem.

Powstanie, Powstaniec,  
Choroba

Jedzenie

<sup>215</sup>*krank* (niem.) — chory. [przypis edytorski]

<sup>216</sup>*Hunger, verstehen?* (niem.) — Głód, rozumieć? [przypis edytorski]

<sup>217</sup>*klauen* (niem.) — kraść, buchnąć. [przypis edytorski]

<sup>218</sup>*komando* — w gwarze obozowej: w obozie koncentracyjnym grupa więźniów, wykonujących pracę przy-musową. [przypis edytorski]

<sup>219</sup>*volksdeutsch* a. *folksdojcz* — etniczny Niemiec, osoba pochodzenia niemieckiego, zamieszkująca poza granicami Niemiec, nieposiadająca niemieckiego obywatelstwa. [przypis edytorski]



— Margaryna i ser. Przez cały dzień nic. Pod wieczór tośmy sprzedali buraka Żydom. Było pół pajdki na dwóch. A wieczorem jeszcze zupa za twoją miotłę. A potem dostałem jeszcze zupy na kuchni, bo odnosiłem kotły.

— Nie mogłeś przyjść po mnie? — zapytałem z żalem.

— Nie, bo musiałem zjeść w kuchni. A dziś — ciągnął dalej — pajdka rano, margaryna na trzydziestu kostka, potem parę śliwek, potem znów ten chleb i trochę buraka. Żeby tak jeszcze...

Urwał i chwycił za kilof. Nad nami stał milczący majster Batsch. Popatrzył z sympatią na naszą zgodę i umiejętną pracę i rzucił między nas pakuneczek, owinięty w gazetę. Pod naszymi nogami rozsypały się skórki chleba.

— Właśnie o tym myślałem — rzekł energicznie Romek.

I z rozmachem uniósł kilof nad głowę, dbając usilnie, aby błysnąć nim ponad krawędzią rowu, podczas gdy ja skwapliwie pochyliłem się ku ziemi.

## Bitwa pod Grunwaldem

### I

Po szerokim, zalanym słońcem dziedzińcu poesesmańskich koszar, jak po dnie głębokiej studni wkopanej w kamienne ściany budynków, głucho, zacięcie wbijając w beton takt, szedł Batalion i śpiewał. Ręce jego, odziane w zielone rękawy odziedziczonych po żołnierzach z SS kurtek, podnosiły się energicznie do pasa i opadały ku ziemi w gniewnym, jednolitym zamachu, jakby to maszerował nie Batalion, a kroczył ufny w swą siłę i ochrypli śpiewem jeden zwielokrotniony człowiek. Tylko pstrokate nogi Batalionu, nakrapiane gdzieś tam jasną plamą wojskowych<sup>220</sup> chodaków, mąciły wojskową jednoznaczność wyrazu.

Batalion, podobny z lotu do trzech zielonych gąsienic o przegowanym, sfaldowanym grzbiecie i nieruchomym tułowiu, obszedł sztywno dziedziniec, przywalony drgającym słupem słońca; minął kolumnę roślących ciężarówek amerykańskich, które wytrząsały ze swego wnętrza, jak z worka z gałgankami, jaskrawą zawartość ludzi i bagażu, przybił gorliwiej beton pod wysmukłym, świeżo malowanym masztem, ponieważ wiatr zarzucał nań jak na wędkę barwną szmatę narodową; zelżał pod kupą bali, drew ociekających igliwem młodych sosen, ławek i krzeseł, przygotowanych na wieczorne ognisko; skręcił ostro pod oszkloną niegdyś halą, w której odbywały się do niedawna patriotyczne wiece esesmańskie; zachrupotał wielonożnie po szkle z wybitych dokładnie szyb; urwał w pół słowa śpiew i wsunął się jak w tunel w mroczną czeluść hali, odgradzoną od placu ostrym, słonecznym blaskiem i mięsistą, szerniałą zielenią świeżo ściętych gałęzi. Oślepiąco kredowy wąż kurzu, który włócił się za Batalionem, zwinął się u wejścia do hali, zszarzał, przypadł do ziemi i, rozdęty przypadkowym podmuchem wiatru, napęczniał, pękł, wzbił się w powietrze i rozplynął się w nim bez śladu.

Siedząc z kolanem przy podbródku na wąskim, twardym parapecie okna na trzecim piętrze jednej ze ścian studni i wygrzewając się nago na słońcu jak sparszywiący pies — przeciągnąłem się sennie, ziewnąłem z uznaniem i odłożyłem na bok zorganizowaną w którymś z pokojów oficerskich książkę, opowieść o bohaterskich, wesołych i chwalebnych przygodach Dyla Sowizdrzała<sup>221</sup> i Lamma Pasibrzucha<sup>222</sup>.

— Panowie żołnierze — powiedziałem odwracając się do sali, żeby z kolei wystawić na słońce plecy — Batalion pomaszerował do kościoła na mszę arcybiskupią. Dobrze spełniliście swój obowiązek wobec Ojczyzny, która wszędzie na świecie jest tam, gdzie wy jesteście. Wolno spać dalej.

<sup>220</sup>wojskowy — zrobiony z kiepskiej jakości filcu. [przypis edytorski]

<sup>221</sup>Dyl Sowizdrzał — błazen-psotnik, uosobienie mądrości ludowej i plebejskiego humoru, postać wywodząca się z folkloru pñ. Niemiec. [przypis edytorski]

<sup>222</sup>Lamm Pasibrzuch a. Lamm Goedzak — bohater powieści Charles'a De Costera (1827–1879) (fr.) *La Légende et les Aventures héroïques, joyeuses et glorieuses d'Ulenspiegel et de Lamm Goedzak au pays de Flandres et ailleurs*, najlepszy przyjaciel Dyla Sowizdrzała (*Ulenspiegel*), rozpoznawalna postać flamandzkiego folkloru. [przypis edytorski]

Śpiew, Żołnierz

Książka

Sala po prostu, po żołniersku śmierdziała zastarzałym, słonym potem niemytych genitaliów. Pod niebielonymi ścianami, zdobnymi w bogoojczyźniane, hitlerowskie sentencje, stały dwa szeregi żelaznych, piętrowych łóżek; przez środek szły z gruba ciosane stoły, a pod ich nogami wałęsało się parę taboretów bez oparcia i błąkała się bezradna jak zagubione dziecko emaliowana spluwaczka. W powietrzu bzykały cienko wypasione, leniwe muchy i ciężko oddychali rozespiani ludzie.

— A jak maszerowali? Jak wojsko? Bo na ćwiczeniach łażą jak muzułman<sup>223</sup> po błocie — odezwał się podchorąży Kolka, który spał przy ścianie od drzwi.

Olbrzymi i żyłasty, nie mieścił się w skąpym łóżku. Chociaż z okazji rozdziału niemieckich marynarek pokłócił się z oficerami i postanowił bojkotować wojsko, nie zrzucił nigdy sukiennego munduru; leżał w nim cały dzień na łóżku, dusił się od gorąca i bił podkutymi butami o żelazną poręcz, sypiąc za każdym poruszeniem fury słomy z przegnilego siennika na dolne łóżko, barłóg, na którym sypiałem. Krostowatą twarz zwracał nieodmiennie w stronę okna i, patrząc bezmyślnie na mieliznę parapetu, łapczywie wsłuchiwał się w śpiew i tupot Batalionu...

— Polska piechota maszeruje dobrze, gdy ją polscy prowadzą oficerowie, ku chwale Ojczyzny — wykrzyknąłem, zeskakując z parapetu. Plecy zagrzały mi się tak, jakby je kto skrobał rozpalonymi szpilkami. — Przez sześć lat w lagrze<sup>224</sup> piątkami łaźili, teraz odpoczęli dwa miesiące i znów łażą, chwala Bogu i Ojczyźnie, po czterech, a zamiast kapów<sup>225</sup> — oficerowie na czele. Uczyc maszerować to potrafią, ale żeby kucharze żarcia z kuchni dla Żydówek nie wynosili, to nie — dodałem, patrząc obojętnie w przestrzeń.

— To pan do mnie kij przytykasz, jeżeli dobrze zrozumiałem — warknął gburowato chorąży, który czytał niemiecką książkę o Katyniu<sup>226</sup>, i zdjąwszy rogowe okulary z nosa, zamrugał ku mnie zaspanymi oczyma krótkowidza. Uporczywie chodził w obcisłych, czystych slipach, świecąc muskularnymi węzłami ciała. Od stóp do głowy pokryty był przyblakłymi wzorkami tatuażu, jak zakurzony gliniany talerzyk. Na prawym udzie pięła się ku pachwinie gruba, krzywo wyrysowana strzała, a czerwony napis wskazywał nieomylnie: Tylko dla pań.

— Jak kto ma dyżur w kuchni, to niech pilnuje, żeby nie kradli. Patrzy chorąży, czy kucharz kraść zdąży dla Żydówki w ciąży — rzucił od drzwi Stefan, który uczył się angielskiego i szeptem powtarzał słówka. Cisnął książkę na stół i, bijąc buciorami o kamień podłogi, podszedł do okna. — Znowu sukinsyny gotują na węglu — rzekł, wysadziwszy głowę za okno. — Jak mają kuchnię elektryczną, kotły i wszystko, co tam im trzeba dla nas, to co gotują w kuchence? Jasne, że obiad dla oficerów. Niby wszyscy męczennicy z obozu, bracia, koledzy, ale do maszerowania na mszę, a nie do garnka. A jak ci się podoba taki kontroler, co o tym wie i książeczki czyta z obrazkami? Jak by wlaź w tyłek Pułkownikowi, to by nie wylazł, aż dopiero z Podporucznika.

Parsknąłem krótkim, pochwalnym śmiechem. Chorąży poderwał się na łóżku, uderzył głową o ostry kant górnego, zaklął ordynarnie na temat płciowy, pogładził się po rzadkiej i sztywnej siwiźnie i rzekł ze wstrętem:

— Nie czepiaj się mnie, ty wyskrobku bolszewicki, póki się ciebie nie czepiam. A jak ci się nie podoba co, to won z wojska. — Sutki piersiowe, ozdobione parą wytatuowanych uszu i sinymi kropkami, imitującymi oczy, zadrgały mu spazmatycznie jak pyszczek zajączka — Kradną, kradną! Nie szczekaj, jak nie złapałeś. Dobry pies nie szczeka, ale złapie i gryzie.

— Właśnie, właśnie, gryź pan, panie chorąży. Pan jesteś psem od łapania. Pana trzyma Pułkownik na smyczy. Hau, hau — zaszczekał chrypliwie Stefan i zmruczył złośliwie małeńkie, wypukłe oczki. Zza wykrzywionych nerwowo warg zaświeciły zęby, równe i białe jak u psa. Chodził wzdłuż stołów wyprężony, jakby był przywiązany do budy.

Żołnierz, Niewola,  
Ojczyzna, Więzienie

Kradzież, Kuchnia,  
Jedzenie, Elita

<sup>223</sup>muzułman — w gwarze obozowej: osoba skrajnie wycieńczona fizycznie oraz psychicznie głodem i chorobami, pozbawiona podstawowych odruchów życiowych. [przypis edytorski]

<sup>224</sup>lager — w gwarze obozowej: niemiecki obóz koncentracyjny. [przypis edytorski]

<sup>225</sup>kapo — w gwarze obozowej: więzień, pełniący funkcję dozorcę pozostałych więźniów. [przypis edytorski]

<sup>226</sup>Katyni — wieś w zachodniej Rosji, w obwodzie smoleńskim. W 1940 roku funkcjonariusze NKWD rozstrzelali tutaj ok. 4400 polskich jeńców wojennych z obozu w Kozielsku. [przypis edytorski]

Chorąży powoli wstał z łóżka. Podchorążak Kolka poruszył się z zainteresowaniem i wyjął pięść spod głowy. Siennik zachrzęścił i słoma posypała się na dolne łóżko. Zmarszczyłem z dezaprobatą brwi.

Z dziedzina zacharczała odjeżdżająca ciężarówka. Doleciały nagle strzępy jazgotliwego gwaru i umilkły, jak nożem uciął.

Jednocześnie zaś chorąży Cygan, którego omal nie utłukłem w walce o lepsze miejsce w wagonie podczas transportu do Dachau<sup>227</sup>, poruszony nagłą ciszą, podniósł się z jękiem na swoim łóżku.

— O, ludzie, ludzie niespokojni, znowu się wam bić zachciewa — zaskomlił, pociągając płacziwie nosem. — Mało wam jeszcze, że was bieda bije? Ale nasz Polak, nasz brat zawsze głupi. W łyżce wody chce utopić brata. — I przytknął siną, wychudzoną twarz do poduszki w czerwone maki, którą przyniósł z nocnej rajzy<sup>228</sup> po bauerach<sup>229</sup>. Cierpiał od kilku dni na ciężkie rozwolnienie żołądka. Naćpał się niegotowanego mięsa baraniego. Leżał nieruchomo, cierpliwy jak chore zwierzę. Wolał zdechnąć niż pójść do szpitala, pamiętał bowiem szpital z małego kacetu<sup>230</sup> Dautmergen<sup>231</sup>.

Chorąży sztywno usiadł na łóżku. Podwinął pedantycznie wystający róg prześcieradła, jedyne zresztą w tej sali. Przebierał nerwowo palcami u nóg. Chwycił książkę, przewrócił z szelestem parę kartek i tępo wpatrywał się w fotografie grobów w Katyniu.

— Nie będzie awantury — pomyślałem rozczarowany i wychyliłem się przez parapet.

Pod kamiennymi ścianami koszar, na wąskich pasach zieleńców, między rozwalonymi stertami gnijących śmieci, które wonią zarażały cały dziedziniec, pełzały w górę anemiczne drzewka klonów i szczerlnie krzewił się tuż nad betonem kwitnący czerwono żywopłot. Wyżej, nad drzewkami i żywopłotem, w wielu szeregach bliźniaczych okien zwisały ze sznurów strzępy różnobarwnej bielizny i kręciły się na szpagatach świeżo malowane drewniane kufěrki, wystawione na słońce, aby wyschły.

Na parterze, tam gdzie mieszkali prominenci, siedł rząd weneckich, równo oszkolonych okien<sup>232</sup>, dołem tonący w soczystym cieniu, a górą — w słońcu jak w złotej farbie. Z parteru, z pięter, gdzieś aż spod strychu, darły się chrapliwie niezmordowane radia.

Za bramą, której pilnowali obcy żołnierze, ciągnęły po autostradzie kolumny aut, ciekł nieustannie wąski strumyczek rowerów, barwne, letnie sukienki migwały wśród bujnych, mocno osadzonych w ziemi platanów.

Tam właśnie był świat, do którego puszczano za dobry marsz, za karny meldunek, za sprzątnięcie korytarza, za lojalność, za niezłomność, a także za Ojczyznę.

A w środkowym skrzydle budynku, na drugim piętrze, tam gdzie były kuchnie Zgrupowania Wojskowego Allach<sup>233</sup>, z malej, zardzewiałej na brąz rury, wystawionej nonszalancko przez lufcik — snuł się cichutko niebieski, delikatny dymek i, drżąc, cieniutką smużką rozpraszal się ukradkiem w powietrzu.

— Ładnie jest, bracia, na świecie — westchnąłem z udanym smętem — ale cóż, człowieku: siedzisz zamknięty jak za Niemca, przepustki ci na świat nie dadzą, bo nie umiesz się lizać, przez dziurę w murze nie wyjdiesz, bo ustrzelą, wiadomo — *Häftling*<sup>234</sup>! A jak siedzieć? Jak komu syn barana przyniesie albo Niemkę przyprowadzi, to może siedzieć. A ty? Siedz, jak głodno i do domu daleko. Żeby chociaż nie kradli! Byłoby lżej, że wszystkim jednakowa doła... Ale do czasu, do czasu...

Przez cały czas patrzyłem spod zmrużonych rzęs na chorążego. Chorąży poruszył się niespokojnie na łóżku, usta drgnęły mu złowrogo. Ale nie powiedział nic. Wyciągnął z szafki mundur i począł się ubierać, sapiąc z lekka przez nos. Zacisnął wargi i patrzył w ziemię.

<sup>227</sup>Dachau — miasto powiatowe w pld. Niemczech, w kraju związkowym Bawaria; w 1933 roku powstał tutaj niemiecki obóz koncentracyjny. [przypis edytorski]

<sup>228</sup>rajza (pot.) — włóczenie się. [przypis edytorski]

<sup>229</sup>bauer (pot.) — bogaty niemiecki chłop. [przypis edytorski]

<sup>230</sup>kacet — w gwarze obozowej: hitlerowski obóz koncentracyjny. [przypis edytorski]

<sup>231</sup>Dautmergen — miejscowość i gmina w Niemczech, w kraju związkowym Badenia-Wirtembergia. W 1944 r. założono tutaj obóz koncentracyjny, którego więźniem był m.in. Tadeusz Borowski. [przypis edytorski]

<sup>232</sup>okno weneckie (archit.) — duże okno, podzielone pionowo na trzy części. [przypis edytorski]

<sup>233</sup>Allach a. Allach-Untermerzing — okręg administracyjny Monachium, w kraju związkowym Bawaria; w 1943 r. powstał tutaj obóz koncentracyjny Monachium-Allach, założony przez SS. [przypis edytorski]

<sup>234</sup>Häftling (niem.) — więzień, jeniec. [przypis edytorski]

Brat, Polak, Bieda

Obraz świata

Więzień, Niewola

— Pan chorąży pewnie na mszę grunwaldzką? — zapytał obojętnie Kolka z drugiego końca sali.

— Nie, panie podchorąży. Pójdę na kuchnię sprawdzić. Ale jeśli nie znajdę! — mruknął złowieszczo przez zaciśnięte zęby.

— Znajdziesz, panie chorąży, znajdziesz — zanucił Stefan. — Uważaj pan tylko, żeby panu synka nie złapali, bo kto panu da jeść? Pułkownik barana nie przyniesie.

— A ty, Tadius — podchorąży Kolka przełożył nogi przez poręcz łóżka — nie pójdziesz na Grunwald?

— Nie chce mi się. Może pójdę do teatru. Podobno na ognisko niespodzianki szykują. A co ciekawego na mszy?

— Idź na mszę — namawiał leniwie Kolka. Zapusił ręce w spodnie i czochrał się z zainteresowaniem. — Idź na mszę, mnie byś opowiedział, panu Redaktorowi napisał do gazetki. Może da ci gulaszu? Gulasz dziś na obiad.

— Da i bez tego. Co dzień mi zupy daje.

— Na dziewczynki byś popatrzył... A nie chciałbyś zobaczyć Arcybiskupa?

— Cóż jest między nami wspólnego? — rozłożyłem ręce z emfazą. — Mamy tak różne doświadczenia życiowe! On całą wojnę był gdzieś tam w wielkim świecie, co to wiesz, bohaterstwo i Ojczyzna, i trochę Boga. A myśmy mieszkali gdzie indziej, co to brukiew, pluskwy i flegmony<sup>235</sup>. On na pewno jest syty, mnie się chce jeść. On na dzisiejszą uroczystość patrzy pod kątem Polski — ja gulaszu i jutrzejszej postnej zupy. Jego gesty będą niezrozumiałe dla mnie, moje zbyt tuzinkowe dla niego, a obaj sobą troszeczkę pogardzamy. A Grunwald? Albo mi tu źle na parapecie: słońce przypieka, mucha bzyknie, miło się z sąsiadami pogada — ukloniłem się w stronę chorążego — a wszystko widać jak w teatrze. Zresztą — dodałem rzeczowo — jeszcze go nie ma. Dopiero generalicją podąża godnie i w ordynku<sup>236</sup> na świętą mszę, a nad generalicją polata dym i zapach gotującego się dla niej obiadu.

Na czele posuwał się Pułkownik, w mundurze skrojonym przez miejscowych krawców na angielską modę, z koca koloru przywiedłego liścia. Widziany w silnym skrócie, Pułkownik podobny był do masywnego kłosa o polerowanej słońcem głowie i sztywnych nogach, sunął bowiem godnie i prosto i z wysiłkiem markował wojskowy, energiczny krok. Obok ciągnął Major, owinięty w dziewczęcą zieleń niemieckiego munduru oficerskiego. Ciskał rękoma ku Pułkownikowi, coś mu widać po kaznodziejsku tłumacząc, może o wywrotowych fermentach w Zgrupowaniu Wojskowym Allach. Za nimi, jak gromada niesfornych dzieci za nauczycielem, pętało się niezróżnicowane stado zielonych i czarnych kurtek, gestykulujących rąk, nad którymi podskakiwały krasne głowy w furażerkach<sup>237</sup>, obficie posypanych narodowymi barwami.

— Że też ich Niemcy nie zdążyli wybić! — Stefan oparł się w zadumie o parapet i patrzył ze złością na dziedziniec. Czarne, sterczące włosy lśniły jak sierść psa. — Do końca świata już tacy zostaną. Polska, Polsko, dla Polski. Byle z daleka od niej mieć dwie miski zupy! Jaki ja byłem głupi, jaki głupi, głupi! — Odchylił się od parapetu i płaską dłonią plasnął się w czoło. — Przecież sam widziałeś, trzymałem tę hołotę na bloku, karmiłem, nadstawiałem się za nich, kradłem żarcie głupim Cyganom.

— Nie chwał się, blokowy<sup>238</sup> — przerwał ostro podchorąży Kolka, aż Stefan odwrócił się do sali — byliśmy przecież w jednym obozie. Jak kradłeś, to dla siebie masło i chleb, a dla nich co najwyżej zupę.

— A miejsce kto im dał na bloku? Czyste buksy<sup>239</sup>, czyste koce, napchane sienniki? To mało? Wyżyliby na komandzie<sup>240</sup>?

— Oczyszciliby się powietrze, jakby zdechli! — dorzuciłem pogodnie, patrząc uba-

Elita

<sup>235</sup>flegmona — ropowica, ropne zapalenie tkanek miękkich. [przypis edytorski]

<sup>236</sup>ordynek (daw.) — tu: porządek. [przypis edytorski]

<sup>237</sup>furażerka — miękka, podłużna czapka wojskowa bez daszka. [przypis edytorski]

<sup>238</sup>blokowy — w gwarze obozowej: więzień obozu koncentracyjnego, pełniący funkcję nadzorca w bloku. [przypis edytorski]

<sup>239</sup>buksa — w gwarze obozowej: prycza. [przypis edytorski]

<sup>240</sup>komando — w gwarze obozowej: w obozie koncentracyjnym grupa więźniów, wykonujących pracę przymusową. [przypis edytorski]

wiony, jak Stefan, były kolega, flegger<sup>241</sup> z Birkenau<sup>242</sup>, potem laufer<sup>243</sup> i pipel<sup>244</sup> esesmański na małej komanderówce<sup>245</sup>, od którego raz, że nie dość szybko ustąpiłem mu z drogi, dostałem uważnie po mordzie, wreszcie blokowy na najbogatszym, szonungowym<sup>246</sup> bloku, z którego zupa kotłami, a chleb dziesiątkami bochenków wędrował na lager w poszukiwaniu papierosów, owoców i mięsa dla blokowego, jak taki Stefan przechwala się teraz, że uratował życie paru polskim oficerom z powstania, którzy dziś nie chcą mu dać do syta zupy tytułem rewanżu.

— A pamiętasz — ciągnął w rozgoryczeniu — jak w Allachu Pułkownik? Przynieśli mu młynek od kawy, wyżebrał od kogoś trochę pszenicy, usiadł na pryczy i — nic, tylko młynek i placki piec. Tu, rozumiesz, świat się przewala, artyleria esesmańska w obóz, jakieś kobiety posmażyły się, wsie naokoło palą się, chłopcy poszli na rabunek z nożem, Amerykanie przychodzą, szal, zbratanie ludów, koniec wojny! A ten — młynek, placki i do latryny lata. I już taki ważny się zrobił jak...

Podniosłem obie ręce do góry. Stefan umilkł speszony. Wtedy, korzystając z okazji, zadeklamowałem patetycznie:

Ustalają się hierarchie,  
brat poznaje wreszcie brata.  
Kręci młynek mieląc mąkę  
nasz Pułkownik, pan Kuriata.

Drugą miskę dostał zupy,  
więc się poczuł silny władzą.  
Ja, ja mogę już do służby,  
niech ml tylko zjeść co dadzą.

Pułkownik, ostro cel!  
Pułkownik, mąkę miel!  
Niech się klin wybija klinem,  
pułk stворzymy ci z kasynem,

za wygranie każdej bitwy  
damy zupy — cztery litry!

— Tak było, masz rację, Stefan — pochwalilem. — To mój wiersz, panie chorąży. Dobry, aaa?

Chorąży był już zapięty na ostatni guzik. Uderzył mnie spokojnymi oczyma.

— Dziwię się panu, inteligentowi — rzekł z goryczą. — W takim czasie takie głupstwa... Kiedy przykazaniem kupą się trzymać i nie warcholić! Warcholstwo gubi nas! Przez nie ginimy!

— W Katyniu, co? W Katyniu? Szkoda panu chorążemu? — szczechnął zjadliwie Stefan, przystając naprzeciw chorążego. — Książeczek się pan chorąży nacytał, książeczek, zupy pojadł, Niemeczkę pomacał, to do zgody woła... W Katyniu, co?

— Pewnie, że w Katyniu, ty bękarcie! Ty wiesz, co toaczy? To twoi kochani rodacy ze Wschodu, twoja Polska, gadzino zapluta! — wybuchnął nagle chorąży i także podszedł do stołu. Wpił się kościstymi palcami w czarny blat, aż mu paznokcie nabiegły krwią.

Poezja

Polska, Szpieg

<sup>241</sup>flegger — w gwarze obozowej: sanitariusz w szpitalu. [przypis edytorski]

<sup>242</sup>Birkenau a. Brzezinka — wieś w województwie małopolskim, w powiecie oświęcimskim; lokalizacja Auschwitz II-Birkenau (pol. Oświęcim II-Brzezinka), największego niemieckiego obozu zagłady, działającego od marca 1942 do października 1944. [przypis edytorski]

<sup>243</sup>laufer — w gwarze obozowej: goniec obozowy, więzień funkcyjny. [przypis edytorski]

<sup>244</sup>pipel — w gwarze obozowej: chłopiec na posługi u blokowego a. kapo. [przypis edytorski]

<sup>245</sup>komanderówka — w gwarze obozowej: rodzaj komanda, grupa więźniów pracująca poza terenem obozu. [przypis edytorski]

<sup>246</sup>szonungowy — w gwarze obozowej szonung to ochrona przed pracą więźnia, który po chorobie nie doszedł jeszcze do pełni sił. [przypis edytorski]

— A co, nie podoba wam się Polska, prawda, nie podoba? Pan chorąży chciałby innej. Żeby chorągiew nosił w niej, chorągiew? Żeby syneczek mógł nocami chodzić na baranki i dziewczuszki sprowadzać? Umiecie wy robić Polskę, aż się rzygać chce!

— Idź do tej swojej, idź! — syknął chorąży przez zęby. Zbielałe wargi poczęły mu drżeć. — Nikt cię tu nie trzyma. Szpiegu!

— Nie bój się pan, pójdę — zaśpiewał łagodnie Stefan — mam czas. Tylko jeszcze na was trochę popatrzę, zapamiętam. Pójdę i będę na was czekał, o będę!

Podchorąży Kolka usiadł ciężko na łóżku i zwiesił na dół nogi, zsypując na mój barłóg furę śmieci. Kiwnął do mnie wesoło ręką, kilkakrotnie puknął się w skroń, udając idiotyczne pochylenie głowy. Czarny Cygan jęknął boleśnie znad poduszki w czerwone maki. Uśmiechnąłem się do Kolki i w odpowiedzi zakołysałem głową, jakby próbując, czy w niej zachłupoce woda.

— Idź do tej Polski, do tych Polaków, co Katyń zrobili, idź — krzyczał chorąży, purpurowy z pasji.

Chorąży szarpnął za stół, przewrócił go z trzaskiem i skoczył Stefanowi do gardła.

W oszklonej i umajonej świeżo ciętymi gałęziami hali odezwał się srebrnie dzwonek; tłumek, zebrany przed halą, syknął się do środka, jednocześnie zaś z galowych drzwi komendantury, przystrojonej suto w czerwień i biel, wszedł ksiądz w fioletach i, otoczony ciasnym kołem czarnych i zielonych księży, posterował do hali.

— E, dajcie no spokój! — wrzasnąłem piskliwie i pobiegłem pomóc Kolce rozbroić walczących. — Nie bić się, sukiny! Arcybiskup idzie na mszę świętą!

## II

Arcybiskup odwrócił się od ołtarza. U jego stóp lśniły nad poręczami krzesel siwe głowy oficerów. Między oficerami tkwił w pierwszym rzędzie nieruchomy jak pomnik Prezes Komitetu. Masywny, byczy łeb, strzyżony krótko, wylazł ze śnieżnego, wykładanego *à la*<sup>247</sup> Słowacki<sup>248</sup> kolnierzyka i poważnie podawał się ku ołtarzowi. Dalej, przetkany Pułkownikiem, pozował na krzesle Aktor. Czuł się nieswojo w ukradzionym cywilnym garniturze, za dużym i za sztywnym, kręcił się niespokojnie i błyskał pytająco okularami w stronę widzów, sznurując usta i ociągając w dół mięsiste policzki. Obok w karminowej sukni rozlewa się na brązowym pluszu fotela Śpiewaczka, o której plotkowano, że w dni głodu przed końcem wojny miało ją całe Dachau. Obecnie (plotkowano dalej) ma ją Aktor. Na łonie jej leżał tekturowy hełm amerykański. *First Lieutenant*<sup>249</sup>, właściwy komendant obozu, założywszy nogę na nogę, żuł obojętnie gumę i, błyszcząc obco brylantyną, tępo patrzył w uda Śpiewaczki.

Za krzesłami ciasno zbił się tłum, szczerze oblepił okna hali, przyglądał się nabożnie brzożowemu krzyżowi, wyciętym z papieru orłom, przyszpilonym do wielkich chorągwi narodowych zszytych z prześcieradeł, otwartym drzwiom, w których kołysał się bluszcz i drżało pogodne niebo, przyglądał się i milczał. Obok ławek stał nieruchomo Batalion.

— Jak przeczytasz Sowizdrzała, to mi oddaj — zaszeptał Redaktor. — Przyjdiesz do nas na gulasz? Bo my wcześniej do teatru idziemy — uklęknął na jedno kolano i uderzył się pięścią w piersi.

— Przyjdę — zapewniłem go żarliwie, osuwając się na ziemię.

Arcybiskup popatrzył na tłum u podnóża ołtarza i nieznacznie skinął głową. Stojący dotąd bezczynnie przy fotelu ksiądz z Dachau poskoczył żywo i włożył mu mitrę<sup>250</sup> na głowę. Arcybiskup niecierpliwym ruchem poprawił ją (widocznie uwierała) i dopiero wtedy pobłogosławił nas bezradnym rozłożeniem rąk. Nad skwapliwie pochylonymi głowami przepłynął słaby szept modlitwy.

Po drugiej stronie betonowego dziedzińca, na wążutkim skrawku zieleni pod anemicznymi platanami, rozkładał się transport wytrząśnięty z amerykańskich ciężarówek.

<sup>247</sup> *à la* (fr.) — jak, w rodzaju, w stylu. [przypis edytorski]

<sup>248</sup> Słowacki, Juliusz (1809–1849) — polski poeta romantyczny, dramaturg i epistolograf. [przypis edytorski]

<sup>249</sup> *First Lieutenant* (ang.) — oficerski stopień wojskowy, oznaczający różne rangi w zależności od kontekstu. Tu: oficer, dowodzący obozem po jego oswobodzeniu (niekiedy Borowski nazywa go po polsku porucznikiem). [przypis edytorski]

<sup>250</sup> *mitra* — tu: wysokie, dwuczłonowe nakrycie głowy biskupów. [przypis edytorski]

Zieleniec zatarasowano betami, na których zaraz usiadły karmiące kobiety, rozwrzeszczane czarne bachory, omdlewające od żaru, obojętne na wszystko dziewczęta, przeświecające ciałem przez przejrzyste sukienki. Mężczyźni w mokrych od potu koszulach tkwili czujnie przy tłumokach, łazili pod budynkiem, gapili się na halę, a co energiczniejsi poszli oglądać izby, w których miał mieszkać transport.

— Aha, poeta. Pan nie na mszy? Uciekł pan od narodowego i boskiego misterium? Nie buduje pan fundamentu drzewca sztandaru narodowego, złożonego z ducha poległych i innych?

Na kupie oplecionych sznurami walizek, poduszek i kołder siedziała dziewczyna o niezwykłych oczach. Zamiast krzyżyka dyndała jej na szyi dziwaczna, podłużna kapsułka, podobna do małej świstawki. Pod batystową spódniczką rysowały się mocne, jędrne uda. Śliczne nogi miękko spływały po pierzynie. Pod nimi, okraczywszy wysokimi cholewami walizę, siedział władczo Profesor i ironicznie uśmiechał się do mnie zza okularów jak zza okopu. Musiał dojrzeć, że mi szczęki zadrgały z pożądania.

— Wytrzymałem biologicznie. Teraz kładę podwaliny pod drogę do Polski. Z letargu duchowego wchodzę w żywe ciało narodu — odrzekłem wykrętnie. Roześmialiśmy się obaj. Cytowaliśmy co celniejsze ustępy z powielaczowego pornograficzno-patriotycznego pisemka obozowego, wydawanego przez księży.

— Ta pani — Profesor uczynił gest w górę, dotykając niechcący nóg dziewczyny — właśnie uciekła do żywego ciała narodu. Cały transport przyjechał z Pilzna<sup>251</sup>. Przeszli z Polski przez zieloną granicę.

Podniosłem domyślnie brwi. Dziewczyna błysnęła w odpowiedzi zębami. Poprawiła się na pierzynie. Zbyt pełne piersi zakolysały się pod bluzką.

— Z band leśnych? — domyśliłem się. Chodząc na mięso baranie po innych sztabach<sup>252</sup>, słuchałem radia z Warszawy<sup>253</sup>. Między jedną a drugą skrzynką poszukiwania rodzin narzekano wciąż na bandy leśne.

— Wprost przeciwnie. Z naszych, Żydówka. Uciekli. Jak krowy, które szukają lepszego pastwiska. Wleźli do nas jak w zakazane zboże. A tu ugór, panienko! — przechylił się do tyłu, uderzył ją w kolano i zupełnie jawnie zjechał dłonią po łydce dziewczyny.

Podąłem dziewczynie rękę. Przymrużyła rzęsy, może od słońca, które na chwilę zapaliło się w jej oczach.

— Niech pani nie słucha. To gorycz krowy, która nie znalazła lepszego pastwiska, choć złażiła pół świata.

— Jesteśmy z jednego domu — rzekła dziewczyna — z getta — uśmiechnęła się, jakby przepaszając — i znów spotkaliśmy się w jednym domu — ogarnęła dłonią kamienie koszar — w domu esesmańskim.

— Jak by wojny nie było — dodał zgryźliwie Profesor i rad z siebie roześmiał się hałaśliwie. Potarł zmarszczone dłonie i klepnął się po skórzanych, bawarskich spodenkach, poplamionych jak fartuch rzeźnika. — Niech pan pamięta o krowach, niedoszły poeto — dorzucił i zapatrzył się w swoje owłosione kolana.

— Żeby szukać lepszego pastwiska? — zapytała znad pierzyn dziewczyna. Czubkiem palców musnęła włosy mężczyzny. Ścisnąłem ironicznie wargi, łapiąc jej ukośne spojrzenie.

— Nie — odrzekł niechętnie Profesor. — Żeby mieć swoje własne pastwisko. I nie być ambasadorem swego stada na cudzych łąkach.

— A gdzież jest nasza łąka?

— W Palestynie. W więzieniu Akko<sup>254</sup> pod Jerozolimą<sup>255</sup>. Siedziałem tam pół roku za nielegalną emigrację. W czasie wojny, cha, cha, cha — parsknął grzmiącym śmiechem, wstał i bez słowa poszedł przez betonowy dziedziniec ku hali. Wylewali się z niej ludzie po

<sup>251</sup> *Pilzno* — polskie miasto w woj. podkarpackim, w powiecie dębickim. [przypis edytorski]

<sup>252</sup> *sztaba* — w gwarze obozowej: izba, część bloku. [przypis edytorski]

<sup>253</sup> *Warszawa* — stolica i największe miasto Polski. [przypis edytorski]

<sup>254</sup> *Akko* a. *Akka*, a. *Akra* — miasto położone w Dystrykcie Płn. w Izraelu (w rzeczywistości od Jerozolimy dzieli je ponad 150 km). [przypis edytorski]

<sup>255</sup> *Jerozolima* — największe miasto Izraela, stolica administracyjna Dystryktu Jerozolimy i stolica państwa Izrael. [przypis edytorski]

skończonym nabożeństwie, napelniając z szumem dziedziniec jak miskę. Rój promien-  
cji<sup>256</sup>, oblewający z brzęczeniem Arcybiskupa, popłynął w stronę komendantury i wsiąkł  
w parterowe drzwi mieszkania Pierwszego Porucznika.

— Oto żywe, ascetyczne ciało narodu. Polska jemiola na niemieckim dębie. — Po-  
gardliwie machnąłem ręką w stronę placu. — A jednak siła. Bo my walczymy o ideę!  
A cóż tam, w tej waszej — Polsce?

Nie odchodziłem, szorstkie sukienne spodnie natarczywie laskotały mi uda. Dzew-  
czyna zsunęła się miękko z pierzyn i wylądowała na ziemi, ocierając się jak kot ciałem  
o moje ciało. Zbyt wydatny biust zakochał się znowu pod bluzką.

— Myśli pan, że jestem biednym pasażerem, co wysiadł z tramwaju, w którym połowa  
siedzi, a druga połowa trzęsie się? Że to z powodu korony orła? Zna pan przecież polskie  
dowcipy? Otóż, wcale nie! — krzyknęła z pasją. — Wcale nie dlatego!

Chwyliła energicznie za walizkę. Gdy schyliła się, uda błysnęły spod różowej sukienki.  
Transport w gorączkowym pośpiechu zaczął wnosić pakunki do koszar. Złapałem dwa  
toboły i, bijąc po męsku butami o beton, podygowałem<sup>257</sup> w górę schodów. Cały czas  
patrzyłem w kark dziewczyny, która, objuczona betami, człapała przede mną. Jakies jej  
ciotki czy opiekunki krzyczały na nią piskliwie, chwytaly rozdygotanymi rękoma za bety  
i pokazywały drogę.

Zwaliliśmy ciężary w sali na parterze i wybiegliśmy znów po walizy, pokrzykując we-  
soło i klnąc pod nosem. W przejściu otarłem się znów o dziewczynę i pochwyciłem jej  
rozbawione spojrzenie.

W sali, która miała być zajęta przez parę godzin, mężczyźni jęli się do na wpół wywa-  
lonych drzwi, tarasując drogę, do wybitego okna i pokiereszowanych, spiętrzonych prycz.  
W ciemnej jak piwnica izbie wzbil się aż pod sufit tłusty kurz i dusił w gardle. Zbierało  
się śmiecie i wyrzucało je przez wybite okno korytarza wprost na głowy zagospodarowa-  
nych na tyłach koszar ludzi, którzy, nie dbając ani o Grunwald<sup>258</sup>, ani o świeży lipcowy  
dzień, ani o kary, grożące według regulaminu, siedzieli kupami przy niezliczonych ogni-  
skach, zbudowanych z paru sutych szczy<sup>259</sup>, odlupanych z prycz i stołów, pitrasili w ron-  
dlach, menażkach, okopconych paczkach po konserwach i w zdobycznych aluminiowych  
garnkach wszelkiego rodzaju jedzenie: mięso baranie, złupione stada w noc przedgrun-  
waldową, kasze, zupy, kompoty, piekły na zardzewiałych, rozpalonych blachach placki  
kartoflane i mieszały drewnianymi łopatkami w kipiących wszystkich kolorami mikstu-  
rach, dmuchając pracowicie w ogień. Dym, jak gęsta, brudna śmietana, gotująca się od  
dołu, bulgotał, wzdymał się, podnosił się leniwie znad ziemi, wylewał się przez szczybaty  
mur na pobliską łąkę, zacierał kontury dalekiego, płaskiego lasu, leżącego na horyzoncie,  
i owijał jak kremem kopuliste platany przy autostradzie. Zapach gotującej się surowizny,  
zmieszanej z dymem, ostro gryzł w nozdrza, aż kręciło w żołądku. Od spodu, spod dymu,  
jak z dna garnka, dobiegał bulgot okrzyków i przekleństw głodnych, gotujących sobie  
jadło ludzi. Oderwałem dziewczynę od okna i zaciągnąłem do białej, wykładanej kaflami  
umywalni, która, zapaskudzona resztkami jedzenia i łajnem, śmierdziała jak latryna.

— To wy tak żyjecie — rzekła pogardliwie Żydówka, podstawivszy ręce pod strumień  
wody. — Z przodu Grunwald, a z tyłu pichcenie. Ja bym dnia tutaj nie wytrzymała. Ach,  
nie wytrzymała!

— Przyzwyczałałaby się pani — odparłem urażony. — To jest jeszcze kwarantanna.  
Ni to kacet, ni to wolność. Ale będzie lepiej, wolniej! Jesteśmy wielką siłą! Moralną! —  
uniosłem się gwałtownie. — Ale — zmitygowałem się — ludziom chce się jeść. Człowiek  
musi jeść, musi mieć kobiety. Tyle lat ludzie byli głodni! Tyle lat tęsknili do tej chwili,  
kiedy najedzą się chleba, kiedy będą mieć pierwszą kobietę! To są zasadnicze sprawy. Na  
to i Grunwald nie pomoże.

Strząsnęła z rąk natrętne krople. Wytarła ręce o kraj spódniczki. Błysnęła udami.  
Wyszliśmy na korytarz. Automatyczne drzwi zatrzasnęły się cicho za nami. Nie zepsuto  
ich do tej pory.

<sup>256</sup>prominencja — wybitność; tu: znaczące osoby. [przypis edytorski]

<sup>257</sup>dygować (pot.) — nieść coś z trudem. [przypis edytorski]

<sup>258</sup>Grunwald — polska wieś, położona w województwie warmińsko-mazurskim, w powiecie ostródzkim;  
miejsce znanej bitwy, stoczonej 15 lipca 1410 r. przez wojska krzyżackie i polsko-litewskie. [przypis edytorski]

<sup>259</sup>szczy<sup>pa</sup> (daw.) — szczapa. [przypis edytorski]



— I to po tylu latach obozu nie zapragnął pan wyjść poza te mury? — Przyglądała mi się badawczo jak osobliwej odmianie psa albo kota. — Nie mówię o chlebie ani — w głosie jej przewinił się leciutki akcent ironii — o kobiecie. Ale pójść po prostu do lasu?

— Bałem się — wyznałem szczerze — bo pilnują. Przeżyć tyle lat i zginąć po wojnie, nie, to zbyt groteskowe. Człowiek ceni siebie w dwójnasób.

— Bał się pan! — klasnęła w dłonie. — Ach, bał się pan!

— A panią co ciągnęło na... cudze łąki, jak nie strach? Uciekła pani od tej Ojczyzny? Miraż Zachodu? Oto i Zachód! — Pokazałem ręką rozbite okno, w którym kłębił się dym. — Wszyscy boimy się, odkąd nastał pokój.

Dziewczyna roześmiała się drwiąco. Chodziliśmy po korytarzu, wzdłuż okien, wychodzących na las.

— Wcale nie strach! Uciekłam od miłości. Śmieszne, ach, jakie śmieszne!

Podciągnąłem opadające spodnie i skrzyżowałem gołe ramiona na piersiach. Wstydzilem się przyszczy, wyłażących spod koszulki gimnastycznej, ale do tej pory nie zdołałem ukraść koszuli z kołnierzykiem.

— Przez sześć lat byłem katoliczką, Polką, nauczyłam się przykazań takich i owakich, chodziłam regularnie na msze i do spowiedzi. Matka, zanim zginęła w Treblince<sup>260</sup>, dała mi książeczkę do nabożeństwa. Jeszcze dziś mam dedykację w oczach: „Kochanej córeczko Janince, w Dniu Jej Pierwszej Komunii, Mamunia”. Nazywałam się inaczej. Nie jestem przecie podobna do Żydówki — powiedziała z pewną dumą, szukając oczyma potwierdzenia w moich oczach.

W istocie nie wyglądała na Żydówkę. Miała jasne, puszyste włosy i szeroką, nieco płaską twarz. Tylko ciemne, głębokie oczy opalizowały niespokojnie.

— Przecież pani jest jak Aryjka — rzekłem pochwalnie. Oczy jej zaślniły wdzięcznością. — To strach. A gdzie miłość?

— Jest miłość, bo się zakochałam. W katoliku. Był komunistą i nie lubił Żydów — poskarżyła się naiwnie. — Bardzo mnie kochał. Nie mogłam mu kłamać. Prawda, że nie mogłam?

Popatrzyłem jej przeciągle w oczy z dobrze udanym milczeniem współczucia.

— Zaciągnął się do wojska, jak tylko Niemcy odeszli. To było, nawiasem, w Siedlcach<sup>261</sup>. Napisałam mu list na pocztę polową i uciekłam. To bardzo łatwo, ach, jak to łatwo!

— Nie czekając na odpowiedź? — zdumiałem się.

Zaczerwieniła się jak brzoskwinia i przygryzła wargi.

— Bałam się, że napisze... — Urwała. — On był jak endek<sup>262</sup>. A ja... naprawdę już nie mogłam! Nie chciałam! Wołałam, żeby mnie nazywano chaimką<sup>263</sup>, żeby się ode mnie Polacy odsuwali!

Paru mężczyzn przebiegło, potrącając nas, i zniknęło za zakrętem korytarza. Gdzieś z podwórza dobiegały podniecone okrzyki.

Ująłem ją za rękę. Była ciepła i miękka jak sierść kota. Dym z okien wsiąkał w korytarz i kładł się na suficie wąskimi pasmami jak pajęczyna.

— Dobrze to rozumiem — odrzekłem zdawkowo, z trudem opanowawszy drżenie szczęk. — Jest pani bardzo odważna. Odwaga strachu. Chciałbym być także taki. — I wypaliłem jednym tchem: — Nie poszłaby pani na spacer, ale tak poza obręb obozu? Tam podobno sosny ociekają zapachem lata, a ja jeszcze nigdzie nie byłem. Zbiesiłbym się chyba z tęsknoty za przestrzenią i pieszo poszedłbym na zachód czy na wschód. Żał mi zostawić książki, które zbierałem. Ale z panią — ścisnąłem ją poufale za rękę — nie zaszedłbym daleko. Bezpiecznie.

Zastukałem żywiej butami i podciągnąłem jedną ręką spodnie. Suche, ostre sukno parzyło jak pokrzywa. Na korytarzach dźwięczały już kotły. Zbliżał się czas obiadu. Żo-

<sup>260</sup>Treblinka — polska wieś, położona w województwie mazowieckim, w powiecie ostrowskim; od lipca 1942 r. do listopada 1943 r. działał tutaj niemiecki nazistowski obóz zagłady. [przypis edytorski]

<sup>261</sup>Siedlce — polskie miasto na prawach powiatu w województwie mazowieckim, na Podlasiu Południowym. [przypis edytorski]

<sup>262</sup>endek — członek lub sympatyk Narodowej Demokracji (endecji), polskiego ruchu politycznego o ideologii nacjonalistycznej, powstałego pod koniec XIX wieku. [przypis edytorski]

<sup>263</sup>chaimka — określenie Żydówki. [przypis edytorski]

ładek ćmił jak bolący ząb. Z dziedzińca wiało krzykiem. Znów przebiegli po korytarzu ludzie i wpadli w drzwi wejściowe. Coś tam musiało się dziać.

— Jutro odjeżdżamy dalej — rzekła dziewczyna, oswobadzając rękę. — Kto wie, dokąd? Dzień w jednym obozie, dzień w drugim... Stale nowi ludzie, obcy. Mam wstręt do tego! — I nagle rzekła prawie szeptem: — Panicznie się boję, że pojedę do Palestyny<sup>264</sup>. Co ja mam wspólnego z Żydami? Być samotnie, prywatnie Żydówką — tak! Ale żyć w żydowskiej wsi, doić krowy, macać żydowskie kurczęta, wyjść za męża za Żyda? Nie, nie! — krzyknęła, jakby namawiała ją do tego. — Może ucieknę na studia. Ale tak czy owak nie spotkamy się nigdy. Nie — potwierdziła stanowczo swoje myśli — nie spotkamy się nigdy. A szkoda. Może mogłabym zakochać się w panu? — Uśmiechnęła się, ubawiona wyrazem moich oczu. — Bo pan umie słuchać. Tak jak Romek. To ten z Siedlec — wyjaśniła krótko.

Przygarnąłem ją za łokieć i brutalnie obróciłem ku sobie. Prawie dotykała mnie zbyt wydatnymi piersiami. Fala krwi przepłynęła przez moje ciało.

— Nie spotkamy się nigdy! — droczyła się ze mną, a kąciki jej ust drgały. — Ale — zawiesiła głos — to tym lepiej.

A kiedy puściłem ją, zniechęcony, wsunęła mi się pod ramię.

— Kiedy pan chce iść na ten... spacer?

— Po obiedzie, dobrze? — zaszeptałem z przejęciem. — Będzie łatwiej przy zmianie warty. Pójdziemy.

Znów paru mężczyzn przebiegło korytarzem. Ostatni odwrócił się, machnął ku nam zachęcająco i krzyknął zadyszany:

— Chodźcie, zobaczcie! Akcja pacyfikacyjna! Wojsko z karabinami! Rewolucja! — i zatupotał po schodach.

Dziewczyna, nie odpowiedziałwszy mi, rzuciła się do drzwi. Pognałem za nią. Zbiegliśmy na dwór. W drzwiach kołysał się tłum. Środkiem placu cofała się fala ludzi, rozplywając się z szumem na boki przed sunącymi powoli jak łodzie *jeepami*, w których stali żołnierze, Amerykanie, potrząsając groźnie karabinami. Naraz z pierwszego auta buchnął strzał. Tłum zatrzepotał jak stado spłoszonych kaczek, odpowiedział wrogim okrzykiem i zamilkł, zbiegając z bulgotem w kurnik koszar. Natychmiast wszystkie okna wypełniły się rozgłaskanymi głowami ludzkimi. Z drzwi komendantury wypadł Major. Na widok żołnierzy stanął jak wryty, a potem cicho wycofał się pod schodki, na których dostojnie zajaskrawiła się postać Arcybiskupa.

Dziewczyna drżała całym ciałem. Przyciągnąłem ją do siebie. Zbyt wydatny biust ugiał się miękko pod palcami. Przytuliła się ufnie.

— Bydło — rzuciła przez zęby — ach, co za bydło! Ileż bym dała, żeby stąd uciec! Uciekajmy — nakryła dłońmi moje dłonie. Pusty żołądek uwierał mnie jak ciasny, piekący but.

— To przez tych kucharzy — informował ktoś przed nami — to oni nasłali Amerykanów. Zhardzieli przy kotle! Radia nie chcieli w południe na Londyn<sup>265</sup> nastawić. Hałas im ludzie pod oknami robią! A szczególnie taki jeden, co w pierwszej kuchni gotuje, kucharzem robił w Allachu, miskę kartofli wyrzucił na ludzi. Chłopaki zbuntowali się. Tylko to powinno być bez krzyku. Złapać raz, dwa, kark ukręcić cholerze Antychrystowi i kwita. Ale z polskim narodem czy można? — I zadumał się pośepnie.

— Już im dobrze dali — pocieszył inny — przez tydzień nie pozbierają się. Żywi to oni nie przyjdą z obozu, ja wam mówię.

Wszystkie szyby na parterze były sumiennie wytłuczone. W przyprószonym cieniu wnętrzu pokojów krzątali się na gruzach sprzętów ludzie, ratując, co się da. Od hełmów żołnierzy, którzy pilnowali głównego wejścia na parter, odpryskiwało słońce i raziło w oczy. Czekali, niezdecydowani, podczas gdy samochody zawróciły ku bramie.

Wtem z drzwi przeciwnego skrzydła koszar wysunęła się zbita grupa ludzi i, szamocząc się jak sfora psów, ruszyła przez pusty plac wprost do komendantury. Z pochylonym łbem, jak bodący byk, szedł przodem Chorąży. Stefan deptał mu po piętach. Trzymał

<sup>264</sup> *Palestyna* — region geograficzny na Bliskim Wschodzie; obecnie obszar, położony między wybrzeżem Morza Śródziemnego a doliną rzeki Jordan, w granicach dwóch państw: Palestyny i Izraela. [przypis edytorski]

<sup>265</sup> *Londyn* — stolica i największe miasto Wielkiej Brytanii. [przypis edytorski]

przez pół dziewczynę, która mu się wyrwała z piskiem. Inny dopadł z boku, złapał ją za kark, potarł ją, uspokoił. Reszta poskoczyła i otoczyła ich i olbrzymiego Kolkę, górującego głową nad wszystkimi, który poganiał kopniakami człowieka w białym fartuchu, wykręcając mu do tyłu rękę. Żołnierze poskoczyli im naprzeciw.

Przycisnąłem swoją dziewczynę, aż krzyknęła. Przechyliłem jej twarz do pocałunku, ale wyrwała się gniewna.

— To cóż, po obiedzie — rzekłem z rezygnacją i, rozepchawszy tłum, wypadłem na plac. — To koledzy! — krzyknąłem jej z daleka. Wspięła się na palce i podniosła dłoń do twarzy, trochę ze zdziwieniem, a trochę jak z peronu. Dopadłem chłopców na chwilę przedtem, zanim otoczyli nas żołnierze.

— Ej, Tadzio — zagrzemiał roześmiany Kolka — złodzieja mamy! Cały wór mięsa nakryliśmy w kuchni! A na sztabie pana kucharza Niemkę w łóżku! Nie zdążył jej wyprowadzić. Prędkiej, bydlę!

I pchnął kolaniem pędzonego kucharza. Kucharz, widząc żołnierzy, wrzasnął z bólu. Żołnierz podbiegł do Kolki, zabulgotał gardłowo i zamierzył się kolbą. Ale nie uderzył.

Na schodkach przed komendanturą, między Pułkownikiem a Majorem, stał Arcybiskup i patrzył na nas łagodnym i zmęczonym wzrokiem. Poruszył wargami, jak by się modlił, ale Stefanowi wydało się, że pyta.

— Bo kradł, proszę księdza, jedzenie dla Niemki kolegom kradł! Kradł i cudzołożył! — krzyknął i, błyskając gniewnie podbitym, przekrwionym okiem, popchnął na schody dziewczynę, aż upadła na kolana. — I radia nam słuchać nie dają! Waszego radia — dodał buntowniczo. — Nie z Warszawy, z Londynu!

### III

Pokój redaktorów był przytulnie obity tapetą w liryczne kwiatki. Po prawowiernych mieszkańcach, oficerach SS, którzy albo padli na polu chwały w bitwie przy koszarach, albo uciekli do rodziny, albo zajęli opróżnione przez nas miejsca w Dachau, została tylko solidna, dwudrzwiowa szafa, cudem nie całkiem rozbita przez auslenderów<sup>266</sup>, którzy, ledwo wyzwoleni z obozu, wpadli po skończonej wojnie w bezpieczne koszary, wytłukli wszystkie szyby, żyrandole, lustra w łazienkach i umywalniach, rozmontowali gruntownie aparaty filmowe, wybili rentgenowi zęby w szpitalu, popalili auta, motocykle i armaty w garażu, wysadzili, rabując amunicję, część muru koszarowego, połamali bardziej rzucające się w oczy mahoniowe, salonowe meble i, zapaskudziwszy z czubem miski klozetowe, odeszli, śpiewając hymny narodowe.

Była więc szafa, dalej sklecony ze szczątków tapczan, przykryty imitacją tygrysięj skóry, zawalony kupą publicystycznych książek, skrupulatnie wybranych spomiędzy śmiecia, zalegającego dziedziniec, biblioteka bowiem, na równi ze szpitalem, apteką, kinem i olbrzymią kartoteką, zawierającą legitymacje i fotografie wielu dziesiątków tysięcy esesmanów, została rozbita w puch i wyrzucona na bruk.

Siedziałem wciśnięty w róg kanapy, gapiąc się bezmyślnie na ciemniejszą plamę na ścianie, ozdobioną nie wiadomo skąd wytrzaśniętym Norwidem<sup>267</sup>, ewangelicznie brodatym.

Zza uchylonych drzwi dochodził z korytarza brzęk kotła. Tu, na pokojach oficerskich, nawet grunwaldowy gulasz wydawano bez kolejki i bez kontroli. Każdy oficer brał dwie, trzy miski, na zapas, na wieczór. Bo z chlebem to różnie bywało, najczęściej trzysta gramów. Nawet dla żołnierzy mało, cóż dopiero dla oficerów!

Redaktor wpełznął się do środka, piastując w rękach dwie pełne, dymiące zapachem mięsa, miski. Wetknął mi jedną do rąk.

— Masz, jedz i rośnij — rzekł krótko, ale dobitnie. Wydoskonalił sobie dykcję, był bowiem troszeczkę głuchy, a mieszkał z kapitanem, byłym korespondentem dziennika w Białymstoku<sup>268</sup>, głuchym jak wyschły pień. Obaj napełnili pokój niespokojnym buczeniem jak niesforne bąki.

<sup>266</sup> *auslender* — w gwarze obozowej: cudzoziemiec. [przypis edytorski]

<sup>267</sup> *Norwid, Cyprian Kamil* (1821–1883) — polski poeta, prozaik, dramatopisarz, eseista, grafik, rzeźbiarz, malarz i filozof. [przypis edytorski]

<sup>268</sup> *Białystok* — miasto na prawach powiatu w pln.-wsch. Polsce, położone na Nizinie Północnopodlaskiej. [przypis edytorski]

Wolno zanurzyłem łyżkę w gulaszu, wybierając starannie mięso. Nie byłem już chłannie głodny. Z okazji bitwy pod Grunwaldem wydzielono nam po litrze kartofli z mięsem i sosem.

— Wiesz, że chciałbym mieszkać w pokoju — rzekłem do Redaktora, który odsunął maszynę i matryce pod okno, zasiadł przy stole i, mlaskając głośno językiem, wziął się rażno do jedzenia — żebym mógł porozkładać moje książki, powiesić na noc spodnie w szafie, no i w ogóle spać w łóżku. Sam w pokoju to cholernie przyjemnie!

— Albo we dwoje! — huknął Redaktor.

— Z tym drugim? — skrzywiłem się z niesmakiem.

— Nie, z dziewczyną. Przygadałeś z transportu, widziałem.

— Co się dziwisz? Po obozie, to już chyba czas? — Redaktor trafił do obozu z powstania, wprost od młodej żony.

— Może ucieknę z nią na Zachód.

Odłożył łyżkę i popatrzył na mnie spod oka.

— No, wiesz — zakpił — ty i ucieczka! Szczeniaczku, rzuciłbyś swoje wiersze i książki? Nie bałbyś się świata? A jak byś musiał pogłodować?

Obrażony, odsunąłem miskę. Odwróciłem twarz ku oknu. W szczerbach wybitej szyby słońce rozwidlało się w tęczowe, pawie błyski.

— No, nie martw się — Redaktor wstał od stołu i pogłaskał mnie po twarzy. — Jakim mnie stworzyłeś, takim mnie, Panie Boże, masz. A w tym pochodzie z mięsem byłeś?

— Byłem — mruknąłem niechętnie. — Moglibyście napisać o tym. To sensacja!

— Prawdziwa sensacja obywatela się bez prasy, mój mileńki. Zresztą ksiądz Tokarek<sup>269</sup> nie pozwoliłby napisać. Jesteśmy przecież gazetą rządową!

Ułamał kawałeczek chleba i umaczał w sosie.

— A tobie udało się uciec?

— Żołnierze mnie puścili. Angielszczyzną świat przejdiesz. Wyklarowałem okej<sup>270</sup>, że ja nic, że przypadkowo, opowiedziałem o sprawie. Pokiwali głowami. Jeszcze mi jeden rękę podał. Znasz Stefana? — zapytałem. — Był blokowym na szonungu.

— Komunista? Byłem u niego na bloku. Nienajgorszy.

— Szuja — odrzekłem zwięźle. — Bił ludzi, wysługiwał się esesmanom, żeby tylko zostać blokowym i mieć bindę<sup>271</sup>. Kiedy go wyrzucili na komando, to chodził jak struty. Trzech dni z fasonem nie umiał wytrzymać. Żaden lagrowiec<sup>272</sup>.

Redaktor pokiwał głową. Przechylił miskę i pił sos.

— Można powiedzieć — przeciągnął z wileńska między jednym a drugim łykiem — że go troszkę nie lubiłeś.

— Ale umiał się znaleźć, nie ma co! Krzyczeli na niego, że komunista i bandyta, a szczególnie Pułkownik. A on powiedział, że owszem, biłem i kradłem dla tych tam pułkowników i majorów. Ale dziś bym już nie bił i nie kradł. Niechby zdechli w obozie, jeszcze bym im pomógł. Krzyk się zrobił, że ola!

— Nie wsadzili go przecież, słyszałem.

— *First Lieutenant* dał mu do wyboru: albo karę bunkra, albo wydalenie z obozu. Nie mógł inaczej zrobić, bo Arcybiskup przysłuchiwał się cały czas. Stefan wziął Niemkę pod pachę, przeprosił ją i wyszli razem z obozu.

— Tak przy Arcybiskupie? A podlec! Przecież całe wojsko w jego oczach skompromitowane. — Wylizał łyżkę, wytarł miskę papierem, papier wyrzucił przez okno, miskę wstawił do szafy, szafę dokładnie zamknął, usta wysuszył chusteczką, chusteczkę schował do kieszeni, maszynę spod okna postawił na swoim miejscu i wtedy, gotowy do wyjścia, oznajmił:

— Pójdiesz do teatru. Są dwa bilety. Janusz — to był ten drugi, głuchy — poszedł

Teatr, Książka

<sup>269</sup>ksiądz Tokarek — chodzi prawdopodobnie o księdza Wacława Tokarka, który podjął posługę duszpasterską wobec uwolnionych więźniów po wyzwoleniu z obozu koncentracyjnego w Dachau. [przypis edytorski]

<sup>270</sup>okej — w gwarze obozowej: żołnierz amerykański. [przypis edytorski]

<sup>271</sup>binda — w gwarze obozowej: opaska więźniów funkcyjnych. [przypis edytorski]

<sup>272</sup>lagrowiec — w gwarze obozowej: więzień obozu koncentracyjnego. [przypis edytorski]

na brydza do Rotmistrza. Przyjechał ktoś z Drugiego Korpusu<sup>273</sup>, może nas zabierze do Włoch. Ale o tym sza! Boby wszyscy chcieli. Grają tam razem w karty. Nic ich nie ruszy, nie tylko Arcybiskup, ale nawet rewia.

I wypchnął mnie za drzwi, odbierając mi książkę z rąk. Zlustrował mnie przy tym podejrzliwie. Nie lubił, jak mu cichaczem wynoszono druki. Zamknął uważnie drzwi na klucz, zastukał do sąsiednich, zanurzył się w dym, który, zwiłając się przy zamkniętym oknie, wyścielał pokój jak gęsta wełna. Na brudnej podłodze stało przy krzesłach kilka misek z niedojedzonym gulaszem. Pewnie go zostawili na wieczór. Redaktor rzucił klucz na stół i, nie powiedziawszy ani słowa, wyszedł.

Na dziedzińcu kończono przygotowania do wieczornego ogniska. Wzniesiono solidny, czworokątny stos, wzmocniony smolnymi pniakami po bokach, a na słup, który sterczał na szczycie, nasadzono niemiecki hełm, pod słupem zaś skrzyżowano dwa strzaskane niemieckie karabiny bez zamków. Wokół stosu stały ławy, krzesła i fotele.

Chociaż wszyscy z napięciem oczekiwaliśmy ogniska i narodowych występów wieczornych, cała zasiedziała ludność koszar, oprócz oczywiście tych, co grasowali za budynkami, pilnowali sztab przed złodziejami lub byli na wyprawach poza obozem, przeniosła się pod garaże, w których urządzono teatr. Przed zamkniętą bramą teatru stał tłum, kłął i groźnie krzyczał, napierając na przepasanego narodową szarfą policjanta w amerykańskim tekturowym hełmie. Policjant z rozkrzyżowanymi rękoma patetycznie bronił wejścia.

— Ludzie, nie ma miejsc! Zlitujcie się, ludzie! Przyjdźcie jutro. Jutro będziemy potwarzać Grunwald! Każdy zobaczy! — krzyczał ochryple, coraz ochryplej, aż zapał jak kogut, umilkł i opuścił ręce.

Odepchnięto go od wejścia, zerwano i zdeptano narodową szarfę. Tłum rzucił się do bramy. Jęknęła, ale zamki nie puściły.

— Za grosz inteligencji — rzekł ubawiony Redaktor i pociągnął mnie na drugą stronę garażu do małych drzwiczek dla aktorów. Gdy wśliznęliśmy się na widownię i na migi załatwialiśmy sprawę z policjantem, woźnym w teatrze, odczułem wyraźnie, że przez chwilę byłem także jak oficer.

Umieściliśmy się tuż za generalicją, w drugim rzędzie, na który padało jeszcze żółte światło ze sceny. Reszta wąskiej, ale niezmiernie długiej sali tonęła w czarno-niebieskim mroku, z którego błyszczały ostro zapatrzone ludzkie twarze. Z zewnątrz dochodziły wrogie okrzyki szturmującego tłumu i skrzypiały wyważane żelazne drzwi. Nikt na nie nie zwracał uwagi. Wszyscy patrzyli na scenę.

Bo oto na środku jaskrawo oświetlonej sceny, przybranej w czerwień, biel i żywą zielen i podpartej czarnym pudłem rozdrzanego patriotyczną melodią fortepianu, stała zapłoniona jak dziecko na imieninach Śpiewaczka, hojna blondyna w krakowskim stroju, umajona wieńcem niedojrzałych, ale już płowiejących kłosów. Palcami podtrzymywała spódniczkę i oczy wznosiła niewinnie ku kurtynie, ku sufitowi, ku niebu.

Wkoło niej upozowało się kilku młodych ludzi w obozowych pasiakach, podtrzymujących wstążki od jej stanika. — Paru z nich znałem: byli schreiberami<sup>274</sup> w przesławnym obozie Allachu, pasiaki leżały na nich jak ulane, musiały być szyte specjalnie na zamówienie jeszcze w obozie. Inni, w robotniczych kombinezonach, krzątali się na peryferiach sceny, jeździli z taczkami i obnosili naokoło Śpiewaczki łopaty, kilofy i łomy.

Na samym zaś przedzie, nieomal na krawędzi sceny, stał gruby i płomienny Aktor i, dłonią wskazując na Śpiewaczkę, kończył z patosem wiersz:

w imieniu Bogurodzicy,  
Dzieci my Twoje, Polsko, żołnierze i robotnicy!

Straszliwy trzask wyważonej bramy i triumfalny krzyk wwalającego się do przepelnionego garażu tłumu złał się z ogromnym hurkotem oklasków i histerycznym, patriotycznym wrzaskiem widzów. Kiedy się nieco uciszyło, a prześcieradło kurtyny poszło

<sup>273</sup>*Drugi Korpus* a. z *Korpus Polski* (wojsk.) — jednostka organizacyjna Polskich Sił Zbrojnych w latach 1943–1947, przeznaczona do prowadzenia wspólnych działań bojowych. [przypis edytorski]

<sup>274</sup>*schreiber* — w gwarze obozowej: pisarz blokowy (więzień funkcyjny). [przypis edytorski]

Teatr, Tłum

Elita

ponownie na boki, by jeszcze raz pokazać zapłonioną Rzeczpospolitą oraz jej kochanka, Aktora, w zachwyceniu w nią wpatzonego, Redaktor, który się nareszcie umieścił jako tako na skraju ławy, pochylił się ku mnie konfidencjonalnie i huknął głośno z niekłamanym zadowoleniem:

— Szkoda, że jeszcze łóżka na scenę nie wstawili! Fajna Rzeczpospolita! I warta grzechu!

#### IV

— Powiedz mi, po co ty siedzisz w tym obozie? Czy cię nic stąd nie rwie naprzód? — Dziewczyna pochyliła się czule nade mną. Zbyt pełny biust zakolysał się pod bluzką. W jej niespokojnych, opalizujących oczach odbijałem się małym, wypukłym fragmentem siebie. Podniosłem głowę i chciałem pocałować ją w wilgotne, rozchylone usta. Zmarszczyła brwi i odsunęła się.

— Nie, nie rwie mnie już nigdzie — westchnąłem leniwie i sennie opadłem na ziemię, pachnącą zbutwiałym igliwem. — Ty i tak kochasz tylko tego, który pozostał w Polsce. Zamknęła mi usta dłonią.

Nad nami piął się w niebo sosnowy las i szumiał. Wiatr szeleścił, ocierając się o korę drzew. Słońce, rozszczępione w wierzchołku sosny, jak pierzasta strzała spadło w głąb lasu i utkwilo w bladezielonej trawie, która, przeświecona jak cieniutkie złoto, pełna była rozleniwiającej woni lata. Rozchodziło się od niej urzekające ciepło, jak od ciała kobiety. Zabłąkany bąk, mały bombowiec, zahuczał nad nami i usiadł na lodydze dziewanny.

— Gramoli się żarłocznie w konchę jak kosmaty psiak do miski z mlekiem — rzekłem pobłażliwie.

— Raczej jak dziecko na parapet okna — zaobserwowała dziewczyna. — Ach, ileż ja ich wyniańczyć musiałam. Nienawidzę dzieci! — krzyknęła. Spłoszony bąk odleciał z gniewnym pomrukiem. — Chodź — zdecydowała się nagle. — Już późno. Patrz, jak pociemniały sosny. Czwarta? Piąta? — Popatrzyła w górę ku czubom sosen, zanurzonym w lekkim potoku wiatru. — O, jak nisko słońce. — Uniosła się na kolana, strzepnęła resztki igliwia z sukni i poprawiła włosy.

— Chodź — zerwała się niecierpliwie, odsuwając moje ręce. — Jedź ze mną! Ach, jedź ze mną! Ja tak się boję Palestyny!

Przez las płynęła asfaltowa droga, ujęta w tamę topól. Chodziły po niej pary, rozgrzane i barwne.

— Widzisz, Nino — na skraju lasu przerwałem milczenie i ująłem ją wpół — tak żyją Niemcy. I ja tak chciałbym żyć, rozumiesz? Bez obozu, bez wojska, bez patriotyzmu, bez dyscypliny, normalnie, nie na pokaz! Nie pobierać zupy z kotła, nie myśleć o Polsce.

— No, właśnie — podchwyciła Nina — jedź ze mną na zachód. Ja jestem naprawdę wolna.

— A chłopiec w Polsce?

— Zapomnę o nim.

— Ale dotąd nie zapomniałaś?

— Nie miałam innych, więc nie zapomniałam.

— Nie miałaś?

— Ci ludzie, z którymi jadę do Polski — podjęła po chwili z wysiłkiem — to są obcy. Mogę się od nich oderwać. Pojedziemy do Brukseli<sup>275</sup>. Mam tam siostrę za bogatym Belgiem. Będę studiowała medycynę.

Asfalt parzył pod nogami. Nad głową płynęły kopulaste topole, których sklepienie wiodło aż pod czerwone mury i wieże koszar, a, opasawszy je zielenią jak mostem, pięło się, nabiegając złotem jak dojrzałe jabłko, ponad gontowe dachy podmiejskiego osiedla, przeblyskujące różowo poprzez niebieskawy dym powietrza jak przez jedwabny szal.

— Nino, zostań ze mną — rzekłem niespodziewanie. — Ja tu nie jestem niczym, ale się wybiję. Mam kolegów, którzy mi pomogą, mam książki, od których trudno mi odejść. Tak je zbierałem, rozumiesz? Ja boję się ryzyka, za dużo śmierci widziałem, żeby się dać zabić. Niech inni, po co ja? Jakie mam prawa? — Umilkłem, szukając w myśli praw przysługujących mi. — Żadnych! Rozumiesz, żadnych! — zawiesiłem głos i wpatrzyłem

<sup>275</sup> Bruksela — stolica Belgii, miasto położone w środkowej części kraju. [przypis edytorski]

Las

Wolność, Obraz świata

Strach, Kondycja ludzka

się w jej twarz, jakby szukając tam współczucia. — Jeżeli pójdziemy stąd, to nam nikt nie da jeść. Na każdym skrzyżowaniu mogą nas złapać te czarne małpy w białych kaskach i wsadzić do nieznanego obozu, w którym zeżre nas głód.

— Ja się nie boję — rzekła sucho Nina.

— Ale nie mieć nigdy gruntu pod nogami! — Urwałem, szukając sugestywnej metafory. — Być jak drzewo bez korzeni! Uschnąć!

— Więc wracasz do Polski — stwierdziła dziewczyna i skrzywiła pogardliwie usta, kiedy pragnąłem usprawiedliwić się. — Chciałeś mnie tylko na jeden dzień jak wszyscy.

— Wszyscy? — gwizdnałem przez zęby.

— Tak, wszyscy! — krzyknęła. Potknęła się. Podtrzymałem ją za ramiona. Wyrwała się gwałtownie i wrogo. — Wszyscy, dla których jestem Żydówką! Widzisz to? — ujęła za talizman w kształcie świstawki. Palce jej drżały. — Nie spytałeś mnie do tej pory, co to jest, inaczej niż inni. To są tablice Mojżesza<sup>276</sup>, przykazania po hebrajsku. To ma mnie łączyć z Żydami. Ale ja nie jestem ani Żydówką, ani Polką. Z Polski mnie wyrzucili. Do Żydów mam wstręt. Myślałam, że są jeszcze inni ludzie. Ale ty nie jesteś człowiekiem, jesteś tylko Polakiem. Wracaj do Polski! — krzyknęła zjadliwie. — Wracaj do Polski!

— Wracaj do Polski! — Przestraszyłem się głosu, jak ptaka, który nagle zrywa się spod nóg.

W wysokiej, złotawej trawie błyszczał czarny, krótko strzyżony łeb. Stefek podniósł się z ziemi i uklonił się dziewczynie. — Wracaj do Polski — powtórzył. — Chodź ze mną. Ja idę na piechotę.

— Na piechotę? Toś morowy chłop — zachwyciłem się zdawkowo. — A gdzie Niemka? — rozejrzałem się podejrzliwie.

— Poszła w krzaki. No, odprowadziłem ją do domu — przejechał ręką po włosach. — Fajna dziewczyna. Pójdiesz ze mną?

— Wiesz, poszedłbym, ale... — zawahałem się. Sukienny mundur rozparzał całe ciało. Stefan zmrużył oczy od blasku i spod powiek przyglądał mi się z otwartą pogardą. Kręcił w palcach suchą gałązkę, złamała się z traskiem.

— Książeczki, książeczki — uśmiechnął się gorzko — to chcesz mi powiedzieć? I że będziesz głodny po drodze? Że jak się unormuje? A ja ci powiem: spódniczka cię trzyma, bracie. Upolowałeś spódniczkę, upolowałeś, co? — Zęby mu błysnęły jak u psa. Przyłożył dłoń do podbitego oka. — Co tu masz oprócz tej Żydówki?

— Wracajmy do obozu — rzekła Nina przejmującym szeptem. — Pan jest, pan jest... — zacisnęła pięści. Podbródek jej drżał spazmatycznie. — Pan jest jak SS!

Stefan uśmiechnął się lekko. Nie zwracał na dziewczynę uwagi.

— Obóz jest obstawiony przez Amerykanów — rzekł do mnie. — Chciałem wejść i zabrać koc. Nie puścili. Jutro będą wszystkich wywozić! Wszystkich!

— Oszalałeś! I Pułkownika, i Majora? I cały sztab? A księży, a kuchnie?

— Idź do obozu, to zobaczysz — powiedział Stefan. — Czekam w Polsce.

— Nie wywożą, mylisz się, przecież dziś Grunwald.

— Grunwald! — Stefan roześmiał się, dotknął swego podbitego oka. — Ruszaj z Grunwaldem — rzekł ironicznie i zniknął w lesie bez pożegnania. Potrącone gałęzie jedliny chwiały się za nim.

— Wracajmy do obozu — rzekła Nina. Oddychała ciężko jak ryba wyrzucona na brzeg. — Trudno, wracajmy. Może się nam uda dostać do środka.

— Na pewno się uda — powiedziałem nieco zbyt skwapliwie.

Ująłem ją pod ramię i poprowadziłem wzdłuż drogi. Przyłgnęła do mnie. Poruszała bezgłośnie wargami, jakby coś mówiła do siebie. Strumyk rowerów ciekł nieprzerwanie po dnie asfaltu. — Niemcy wykorzystywali gorące, letnie popołudnie. Na skrzyżowaniu siedział człowiek z obozu. Dwie czerwone walizki postawił w cieniu, żeby lakier nie roz-

Żyd, Polak, Konflikt  
wewnętrzny

<sup>276</sup>Mojżesz — postać biblijna, przywódca Izraelitów w okresie ich wyjścia z Egiptu i wędrówki do Ziemi Obiecanej, święty prorok. [przypis edytorski]

tają. Gmrał w otwartym plecaku. Czerwone kepi<sup>277</sup>, ozdoba muzułmańskich oddziałów SS<sup>278</sup>, zsunęła mu się na ucho. Czarny kutas<sup>279</sup> dyndał się za każdym poruszeniem głowy.

Od obozu aż po las przewijał się w trawie sznur ludzi. Znali szpary i przejścia mniej pilnowane i wymykali się z koszar, póki czas.

Przyśpieszyliśmy kroku. Kopuły drzew szumiały, jakby las szedł razem z nami. Pod kępą uschniętych krzaków stało parę czołgów i porządnie, jak w sklepie z manufakturą, leżały poskładane karabiny, pociski armatnie i miny niemieckie. Pilnował ich drzemiący w upale żołnierz amerykański.

Przy drodze kolumna ciężarówek zwracała wąskie jak u głodnych szczurów ryje motorów ku obozowi. Czekają jutra. Między samochodami krzątali się półnaczy Murzyni. Świecili się ostrym, brunatnym potem jak pokropieni miedzią. Pokrzykiwali do nas, gdy mijaliśmy ich bokiem, aby, wyszedłszy na koszary od tyłu, wdrzeć się do nich przez rozbitą, zawaloną gruzem bramę, klasyczne miejsce transportu baranów. Przy dziurze nie było nikogo. Natomiast u narożnika, tam gdzie mur rzucał nieco chłodu na spieczoną ziemię, pod daszkiem z papy, podpartym paroma patykami, w głębi cienia siedział żołnierz i drzemał. Położył na trawie hełm, karabin wetknął między kolana, podbródkiem dotykał piersi. Przy drugim narożniku stali dwaj żołnierze w porozpinanych bluzach, gadali hałaśliwie i częstowali się papierosami.

Całkowicie odsłonięci, staliśmy na łące przed bramą jak para zagubionych dzieci przed chatą czarownicy.

— Zaczekajmy do zmroku — rzekłem, zdjęty niepokojem — może nie puszcza nas. Wracajmy do lasku.

Wysunęła mi się spod ręki, parszając krótkim, pogardliwym śmiechem.

— Tak ci się spieszyło na Grunwald i co? — Znowu się boisz? Poczekaj, maleństwo, idź za mną.

I zanim zdążyłem coś powiedzieć, uczynić jakiegokolwiek ruch, dziewczyna poprawiła niecierpliwie spódniczkę, obciągnęła bluzkę na zbyt pełnym biuście i puściła się pędem ku bramie. Dopadła gruzów i poczęła się na nie wspinać. Na szczycie podmuch wiatru opiął jej ciasno biodra i rozczesał włosy. Przytrzymała je ręką, prac przeciw wichrowi. Odwróciła na moment ku mnie roześmianą ironicznie twarz. Zawołała, ale wiatr rozerwał jej wołanie na strzępy. Poderwałem się bieć za nią i nagle stanąłem. Podniosłem rękę, żeby dać jej znać, odwróciła się ode mnie, chciałem krzyknąć, ale milczałem. Dwaj żołnierze, którzy częstowali się papierosami, odwrócili się ku bramie, a jeden z nich, zdejmując z ramienia karabinek, zawołał ze śmiechem na całe gardło:

— *Fräulein, Fräulein! Halt, halt! Come here!*<sup>280</sup>

— *Stop, stop!*<sup>281</sup> — krzyknął piskliwie drugi.

Śpiący u drugiego krańca muru żołnierz podniósł nieprzytomnie głowę i poderwał się. Schylił się, chwycił karabinek, który mu się wysunął spomiędzy kolan, przyłożył go do ramienia, pochylił głowę na okamgnienie na prawo i...

Dziewczyna obronnym ruchem podniosła ręce do gardła, jakby jej nagle zabrakło powietrza. Postąpiła jeszcze krok poza krawędź nasypu i miękko osunęła się za nim, jakby pośliznęła się na cegle; zniknęła za krawędzią jak wrzucona w dół. Za nasypem, tam gdzie był już obóz, podniosły się głosy, połączyły się w gwar, urosły w krzyk. Dwaj żołnierze, którzy, śmiejąc się, wołali za dziewczyną, odrzucili niedopałki papierosa, przydeptali je nogą i pobiegli na nasyp. Rozespany żołnierz, ten, który strzelił, przewiesił karabinek lufą na dół przez ramię, podniósł z ziemi hełm, otrzepał go, włożył na głowę i, pogwizdując bezmyślnie, pośpieszył również w stronę bramy.

Wolnym krokiem ruszyłem na usypisko, przeszedłem je na oczach wszystkich i zsunąłem się obok Niny.

Padając otarła o cegłę policzek. Na skurczonej, wilgotnej, nabiegłej świeżą krwią war-

Żołnierz

Śmierć

Trup

<sup>277</sup> *kepi* — sztywna czapka wojskowa o kształcie walca, z czworokątnym daszkiem. [przypis edytorski]

<sup>278</sup> *muzułmańskie oddziały SS* — prawdopodobnie chodzi o 13. Dywizję Górską SS „Handschar”, złożoną z muzułmańskich Bośniaków i Chorwatów. [przypis edytorski]

<sup>279</sup> *kutas* (daw.) — sznurkowa ozdoba w kształcie pędzla. [przypis edytorski]

<sup>280</sup> *Fräulein, Fräulein! Halt, halt! Come here!* (niem. i ang.) — Panienko, panienko! Stój, stój! Chodź tutaj! [przypis edytorski]

<sup>281</sup> *Stop, stop!* (ang.) — Stój, stój! [przypis edytorski]



dze usiadła duża, niebieska mucha. Spłoszona cieniem, odleciała, bzykając. Spod wargi lśniły martwo białe zęby. Wypukłe oczy zmętniały jak stężała galareta. Ręce, kurczowo zaciśnięte w obronnym ruchu, leżały ciężko na kamieniach. Ostatni znak życia, ciepła, o mdłym zapachu krew przesączała się szeroką plamą przez bluzkę, opinającą zbyt wydatną pierś, i zasychała na brzegach jak rdza. Mały talizman o kształcie świstawki przesunął się na szyi na bok, zawahał się parę razy na łańcuszku i zawisł nieruchomo. Usunąłem spod głowy trupa ostry, niewygodny kawałek cegły, odgarnąłem delikatnie włosy, ułożyłem głowę na miękkim piasku wapiennym i, podniósłszy się z kłęczek, otrzepałem starannie spodnie z kurzu. Nade mną pociemniało od koła ludzkich twarzy, skupionych i milczących. Z trudem przepychałem się łokciami przez niechętnie ustępujący tłum. Przepuścili mnie i jeszcze ciałniej skupili się nad ciałem.

Na podwórzu dymiły się ognie pod porzuconymi garnkami i menażkami. Wiatr skręcał z chrzęstem dym jak słomę i wyrzucał go za mury. Zrzucone ze strychu deski na ogień bezszelstnie zsunęły się w powietrzu, zabielały na tle czarnych okien i upadły z przeraźliwym trzaskiem. Z ziemi podniósł się słup kurzu, powoli zwinął się nad ziemią i upadł. Z niezmiernej oddali dochodził do mnie jednostajny, stłumiony szmer głosów jak zza ściany. Spomiędzy bloków mieszkalnych, z ulicy wysadzanej młodymi platanami, zza zakrętu garażu, z którego sterczały długie, okryte brezentami nosy armat, wyskoczył mały, śmieszny *jeep*, wypchany żołnierzami, prześliznął się między drzewami, prychnął olbrzymim kłębem dymu i kurzu, wparł się kołami w ziemię i przysiadł, hamując ze zgrzytem.

— *What's happened?*<sup>282</sup> Czemu ci ludzie tak krzyczą?

*First Lieutenant* pochylił się ku szoferowi. Ten wzruszył obojętnie ramionami. Spojrzałem zdziwiony na oficera. W otaczającej nas ciszy głos jego zabrzmiał ostro i nieprzyjemnie jak darcie płótna. Oficer, napotkawszy spojrzenie, zamrugał i ściągnął nieco wargi. Wysunął z auta nogę i zakołysał nią z wahaniem. Słońce załśniło i rozkwitło w brązowym, wyglansowanym półbuciku. Dwaj żołnierze z pistoletami maszynowymi na kolanach rozpierali się na tylnym siedzeniu. Kierowca sięgnął do kieszeni, wydobył paczkę papierosów, zerwał barwną opaskę, przechylił się do tyłu, częstując. Zapalili. Delikatny strumień niebieskiego dymu przepłynął koło twarzy i, porwany wiatrem, znikł w powietrzu. Podeszedłem, nie śpiesząc się, do auta.

— *Do you speak English?*<sup>283</sup> — zapytał szybko *First Lieutenant*. Poruszył niezdecydowanie szczęką, jakby rozpędzając się, i naraz zaczął żuć.

— *I do*<sup>284</sup> — kiwnąłem. Głos mój zahuczał w głowie jak w pustej sali, aż się wstrząsnąłem. Patrzyłem na oficera nie jak na człowieka, a jak na daleki, obojętny przedmiot.

Tłum zasłaniał szczelnie trupa dziewczyny, ale odwrócił się od niego i patrzył na żołnierzy. W uszach huczało mi jak w słuchawkach. Nagle ściana ludzi poruszyła się, odprysła.

— *What's happened?* — powtórzył nieco ostrzej Pierwszy Porucznik. Dotykał stopą ziemi. Zdawało się, że wyprysnie z auta. Kto skrzywdził tych ludzi? Czemu oni tak krzyczą? Co się stało?

Żołnierz z karabinkiem, opuszczonym lufą na dół, wyszedł z tłumu, a za nim przepychali się pozostali dwaj, którzy wtedy palili papierosy. Nim jednak ten, który szedł przodem, zdążył coś powiedzieć, zwróciłem się do oficera.

— *Nothing, sir*<sup>285</sup>. Nic się nie stało — uspokoiłem go bagatelizującym ruchem ręki i uprzejmym poddaniem całego ciała. — Nic się nie stało. Zastrzeliliście przed chwilą dziewczynę z obozu.

Pierwszy Porucznik wyskoczył z auta jak zwolniona raptem sprężyna. Twarz jego spłynęła przelotnie krwią i pobielala.

— *My God*<sup>286</sup> — powiedział. Musiało mu nagle zaschnąć w ustach, gdyż, krzywiąc się, wypłuł gumę. Różowa grudka zaczerwieńnięta się w kurzu drogi. — *My God! My God!* — Chwycił się za głowę.

<sup>282</sup>*What's happened?* (ang.) — Co się stało? [przypis edytorski]

<sup>283</sup>*Do you speak English?* (ang.) — Mówisz po angielsku? [przypis edytorski]

<sup>284</sup>*I do* (ang.) — tu: Tak, mówię. [przypis edytorski]

<sup>285</sup>*Nothing, sir* (ang.) — Nic, proszę pana. [przypis edytorski]

<sup>286</sup>*My God* (ang.) — Mój Boże. [przypis edytorski]

— My tu, w Europie, jesteśmy do tego przyzwyczajeni — odrzekłem obojętnie. — Przez sześć lat strzelali do nas Niemcy, teraz strzeliliście wy, co za różnica?

Przez niski kurz jak przez płytką rzekę, nie oglądając się, ciężkim krokiem odszedłem w głąb koszar, do swoich książek, do swoich gratów, do swojej kolacji, którą już pewnie zafasowano<sup>287</sup>. Cisza, jak napęczniały balonik, pękła z trzaskiem w uszach. Teraz dopiero uświadomiłem sobie, że nad ciałem dziewczyny tłum ciasno skupił się i, patrząc w oczy żołnierzom, cały czas wrogo skandował:

— Ge-sta-po! Ge-sta-po! Ge-sta-po!

## V

Żołnierska sala leżała w gruzach. Na stołach i na podłodze rozbite skorupy porcelanowych misek białeły w gęstym mroku jak oskrobane z włókien, wyschłe kości. Ściągnięte z łóżek sienniki zwieszały się ku ziemi bezwładnie, jakby były zabite. Z szaf, jak z otwartych, wypaproszonych brzuchów, wylewały się szmaty i stłamszone leżały na ziemi. Pod nogami szeleściły zwały podartych, zduszonych książek. W powietrzu unosił się stęchły, piwniczny, trupi zapach, jakby te szmaty, sienniki, skorupy i książki, porozbijane i poszarpane, gnily i rozkładały się dalej.

Siny kwadrat okna, otwartego w noc, rozkwitł jak olbrzymim kwiatem czerwoną rakietą. Strzelano z wysokiej wieży koło bramy. Łagodne światło bezszelestnie spłynęło po oknie jak świeża krew. Cienie zachwiały się, zawahały jak rozkołysana woda i podniosły się do góry.

Korzystając ze światła zajrzałem do szafy. Wygarnięto z niej wszystko, cokolwiek nadawało się do użytku, resztę zniszczono. Na dnie domacałem się w garnku ocalałych platków kartoflanych. Zaszleściły w palcach jak suche, pokruszone liście.

Rakieta spłynęła na bruk, podskoczyła kilkakrotnie, błysnęła silniej czerwienią i zgasła. Zrobiło się zupełnie ciemno. Podeszedłem do łóżka i pomacałem ręką. Palce przeszorowały po szorstkim sienniku. Koca nie było. Ukradli. W głębi sali ktoś z jękiem poruszył się na łóżku. Przeleciał jakiś przenikliwy strzęp szeptu, stłumiony, urwany chichot rozplynał się w nagłym chrzęście słomy. Umilkło.

— Cygan? Cygan, bracie, to ty? — zapytałem z ogromną ulgą. Ruszyłem od szafy i, czepiając się łóżek, brnąłem w głąb sali. Rozbite szkło zachrzęściło pod nogami. — Cygan, jesteś? — Zatrzymałem się niepewnie i czekałem w napięciu.

— A gdzie bym był, jak mnie tak wszystko pieruńsko boli! — zajęczał w ciemności Cygan. Siennik znów zachrzęścił niespokojnie. — Ten naród ludzki, co oni narobili! Żebym ja był tego nie dożył. Nie było nikogo, nikt po jedzenie nie poszedł...

— Nikt nie przyniósł kolacji? — krzyknąłem z rozpaczą. Poczulem nagły, przejmujący głód. Oparłem się o stół. Namacałem krzesło. Usiadłem. — Nie ma kolacji — powtórzyłem machinalnie. — A jutro transport i znowu jeść nie dadzą.

— Nie było nikogo, nikt nie pilnował — ciągnął płaczący Cygan, zachłystując się słowami jak płaczem. — Wpadli do sali, wszystko rozbili, rozkradli. Panie Tadku, żebyś pan widział, żebyś pan tylko widział, to by panu chyba serce pękło. Książki pana porozdzierali, panu Koli zabrali papierosy. Polak Polakowi. O, Boże Miłosierny, zlituj się nad nami. I mnie buty wzięli. Ledwo garnitur wybronilem. Pod głową go miałem.

— Nie trzeba było surowego barana jeść, to byś dzisiaj także nakradł. Szykują się chłopaki na transport, nie dziwota, że kradną — rzekłem drwiąco. Ścisnąłem z żalu zęby i kopnąłem walający się pod nogami czerep miski. Potoczyła się z brzękiem po betonie.

— Szykują się, szykują się, żeby im tak w boku szykowało — zaklął Cygan, pochlipując. — A pan Redaktor przyszedł i książki z pana szafy także zabierał. Powiedział, że pan pewnie nie wróci, to szkoda zostawiać. Jemu się przydadzą, bo pojechał do pana generała Andersa<sup>288</sup>.

— Redaktor? Co mi zupy dawał? Pojechał! Jednak pojechał! Beze mnie! — Uczulem znowu, że jestem głodny.

<sup>287</sup>fasaować — wydawać lub pobierać z magazynu żywności. [przypis edytorski]

<sup>288</sup>Anders, Władysław (1892–1970) — generał broni Wojska Polskiego, Naczelny Wódz Polskich Sił Zbrojnych w latach 1944–1945. [przypis edytorski]

— A pan chorąży siedzi w bunkrze i pan Kola siedzi w bunkrze — ciągnął monotonnie Cygan. Czerwona rakietka znów rozjarzyła się na granatowym niebie, obok wykwitły zielone, pomarańczowe i żółte, razem bukietem spłynęły na ziemię. Czarna twarz Cygana powlokła się jak rtęcią trupim, neonowym światłem i zapadła się w mrok. — A mówili, że pana chorążego i pana Kolę za karę do Polski odesłają.

— Przecież Kolka chciał jechać do Włoch — zawołałem w zdumieniu. — No, to się w Polsce spotkają ze Stefanem. Już on ich zakapuje.

— A panu chorążemu szafkę rozbili, aparat fotograficzny zabrali i pieniądze. O, Boże, Boże... Mnie podłożyli...

— Nie kłam, nie kłam, parszywy Cyganie, bo ci znowu mordę nabiję... Sameś pieniądze ukradł. Podpatrzyłeś, jak tata chował — odezwał się z dołu syn chorążego. Łóżko zaskrzypiało z pasji.

— O, udało się panu wrócić? — ucieszyłem się uprzejmie. — Tatusz martwił się o pana.

— Niech się tata martwi o siebie, jak głupi bić się — burknął syn chorążego. — Ja tam sobie radę dam. Głupi nie będę i w transporty do Polski nie pojedę — dodał z lekceważeniem.

— Przywiózł pan co?

— Przywiózłem — odparł — ale nie barana. To lepsze od barana. Posłuchaj pan. — Pogmerał, a z ciemności wydobył się oburzony kobiecy pisk. — Niemrę kupilem. Przeciągnąłem przez dziurę. Znajome kowboje<sup>289</sup> na warcie stali.

— Ale pan ma szczęście — westchnąłem zazdrośnie.

— Pan by też mógł mieć, jak by pan pochodził. A pan tylko w książkach siedzi. Samo nie przyjdzie. Grunt, aby dziś.

— A jutro? Jak będzie transport?

— O jutrze będziemy jutro gadać — ostatnie słowo zachrypiało w ziewnięciu. — Chłopaki się nie dadzą.

— Tak pan myśli?

— Ale, szykują się do obrony — zapewnił z przekonaniem. — Tam — machnął ręką w stronę rozświetlonego rakietami podwórza — Grunwald robią. Ale my zrobimy lepszy. Ile chłopaki brauningów mają. A granatów, a karabinów, a rozpylaczy! Co pan myślisz, że tylko rakietnice na Grunwald? Jak ustawią ze dwa cekaemy na strychu, jak pluną... Co, okeje nie uciekną?

Podniósł się na łóżku, jak by chciał wstać. Lecz tylko owinął kobietę kocem aż po czub jasnych, puszystych włosów, opadł z westchnieniem na łóżko i wsadził rękę pod koc.

Niebo grało wszystkimi kolorami. Fontanna rakiet przeplądywała przez powietrze, opadała rozszarżonymi kroplami na dno ciemności, rozpryskiwała się na niebie. Czerwony dach koszar mienił się upiornie na tle nieruchomego nieba, które nabiegało raz po raz granatowym sokiem.

— Grunwald robią — rzekłem do syna chorążego. — Jutro mieli go powtarzać. Uważaj pan, żeby jej jutro nie znaleźli, bo szkoda.

— O, wielkie zmartwienie — głos mu nieco drgał jakby w zadyszce. — A niech ją złapią. Będzie mi potrzebna albo co? A może pójdę z nią do chłopaków i będziem siedzieć na strychu. Tam są meliny, że ich diabeł nie znajdzie. Jak skończą akcję, to się wyjdzie i dobra, do następnego razu!

— Podobnież do Koburga<sup>290</sup> transport ma iść — odezwał się Cygan. — Jak ja pojedę, kiedy ja taki chory? Może mnie nie wezmą? Pan umiesz po angielsku, to pan kowbojów poprosisz, panie Tadku?

Leżał odkryty i oddychał ciężko jak zdychające zwierzę. Wparł we mnie świecące odbiciem rakiet oczy. W czarnej, zapadłej twarzy błyszczwały niesamowite, jakby nafosforzowane.

— Co ty sobie wyobrażasz, że będę się złodziejami zajmował? Szkoda, że ciebie nie udusiłem, jak jechaliśmy do Dachau, to byś nie miał kłopotu dzisiaj — rzekłem z po-

<sup>289</sup> *kowboj* — w gwarze obozowej: żołnierz amerykański. [przypis edytorski]

<sup>290</sup> *Koburg* a. *Coburg* — niemieckie miasto na prawach powiatu w kraju związkowym Bawaria. [przypis edytorski]

gardą. Syn chorążego zachichotał i pokręcił się na łóżku. — Sam muszę się schować przed transportem. Potem będzie łatwiej o jakąś funkcję w obozie, prowiantowego albo sekretarza — dodałem łagodniej. — Bo co innego robić?

— Idź pan na Grunwald — poradził syn chorążego — a jak się skończy, to się pan tu prześpisz. Bo ja mięso idę gotować.

Wstałem od stołu i, brnąc po książkach, dotarłem do drzwi. Naraz otwarto je z drugiej strony i z czarnej nocy korytarza zamigotała w świetle żółtej rakiety ostra, ciemna twarz o wpółotwartych ustach. Rakietka spłynęła w dół, a błyszczące okulary nabiegły różową poświatą.

— Profesorze, to pan! — krzyknąłem histerycznie. Podprowadziłem go do stołu. — Szukał mnie pan?

Profesor był wciąż w skórzanym, tyrolskim stroju. Po białych, z rzadka porosłych czarnym włosiem kolanach, przesuwały się kolorowe cienie, ogarniały bawarską koszulkę, wspinały się po twarzy i przez sufit uciekały za okno.

— Szukałem — rzekł profesor. — Miałem przecież być u pana. Zadbalem dla pana o dobre miejsce przy ognisku. Zaraz się zacznie. Gdzież pan był tyle czasu?

Klepnął się po kolanach. Sięgnął do kieszonki. Zmięty, pokruszony papieros przewinął się przez palce i rozżarzył się w ustach nikłym płomieniem, napędzając czerwień wargi, kładąc się słabym refleksem w rozpadlinach twarzy.

— Nie wiem, gdzie byłem, doprawdy — rzekłem słabo. Opuściłem głowę i zapartryłem się w podłogę. Przedarty, leżał na ziemi drzeworyt z bohaterskich, wesółych i chwalebnych przygód Sowizdrzała, dziewczyna z nagimi piersiami, grająca pod ścianą na gitarze. — Gdzieś laziłem po obozie. Czy to nie wszystko jedno? Konwenanse towarzyskie? Tu! W przeddzień transportu? I tak jutro nie spotkamy się więcej.

— Ziemia jest mała! — zawołał Profesor. Zaciągnął się papierosem. Puszysty kłęb dymu błysnął różowym podbrzuszem i, wypiąwszy siny grzbiet, rozpląszczył się pod sufitem. — Oczywiście, że się spotkamy. Nie na tej, to na innej łące — wrócił do swojej ulubionej myśli. — Tylko... — naraz zeszytywniał w pół słowa. — Zastrzelili ją — rzekł po chwili, odrzucając niedopałek — zastrzelili ją na bramie. Poszła na spacer.

— Ta pańska sąsiadka?

— Ta, co przyjechała z Pilzna. Moja sąsiadka z domu. Jak wyjeżdżałem we wrześniu, była jeszcze dzieckiem. Nieraz, dawniej, kupowałem jej ciastka. Wie pan, były takie z kremem. Truskawka na czubie. — Zajrzał mi w oczy, niepewny, czy przypominam. — Kolegowałem z jej ojcem — dodał tonem wyjaśnienia. — A teraz, patrz pan — uderzył mnie dłonią po ramieniu — jaka wypierśna kobieta! Już ją prawie miałem w ręku, już ją obmacywałem i co za nieszczęście...

Sięgnął znów do kieszeni. Pogrzebał w niej natarczywie. Nie znalazł. Westchnął ciężko i podparł głowę rękoma.

— Co za nieszczęście! — powtórzył jakby sennie. — Cóż robić? — Pomilczał, pokiwał głową. — Chodźmy na Grunwald — zdecydował się.

— To ja byłem z nią. Byłem z nią w lesie — rzekłem niespodziewanie dla samego siebie. — Przy mnie zastrzelili ją. A pan mi o Grunwaldzie...

Zerwałem się z łóżka. Profesor podniósł głowę, ciężko dźwignął się, jakby wychodził z wody, zakolysał się i chwycił mnie za ręce. Brązowy jelen, wytłoczony na pasku, łączącym szelki, drgał w świetle rakiet jak żywy. Na kościstej twarzy Profesora światła mieszały się i nabrzmiewały, czerwień bełtała się z zielenią, szły razem ku czołu, podpływały pod sufit, a na ich miejsce wylewały się różowe, niebieskie i żółte światła i osadzały pod brodą, w kątach ust, pod oczami, w zagłębieniach uszu, jak farby na portrecie. Twarz Profesora grała wszystkimi kolorami tęczy, pęczniała od środka, puchła, policzki wydymały się jak szkliste, mieniące się banie, jakby Profesor dusił się od światła. Nagle puścił ze świstem powietrze i, rozwarłszy szeroko usta, ryknął ogromnym, huczącym śmiechem.

— Ha, ha, ha, ha! Ha, ha, ha, ha! — dusił się dobrą chwilę od śmiechu, ściskając mi coraz silniej ręce, a światło nabiegło mu natychmiast w otwarte usta i zakotłowało się w nich różnobarwnie.

— Profesorze, niech pan przestanie! — krzyknąłem, wrywając ręce z uścisku. — Pan oszalał!

Kobieta, Śmierć

— A ja myślałem, że będę spał z nią dzisiaj. Przyszykowałem kolację. Nawet prześcieradło dostałem! Ha, ha, ha, ha! A pan z nią! Młodości, młodości! — Trząsł się całym ciałem od śmiechu, wielki, chudy, obrzydliwie kolorowy. — Przecież to była taka zwyczajna! Ja ją chciałem! Ha, ha, ha, ha!

Nagle zachwiał się, zakasłał się gwałtownie i schylił ku ziemi, charcząc. Cała sala, wypełniona światłami, kołysała się jak okręt. Kolorowe sienniki, stoły, ściany, miski, książki mieniły się i wirowały jak jaskrawe kule.

— Widzisz, Profesor — odezwał się z kąta syn chorążego — nie trzeba było kochać się na starość. Dziewczyny nie dostałeś, ale gruźlicę. I Grunwaldu nie zobaczysz. Leż, leż, cholero — dodał niecierpliwie, a łóżko zachrobotало. — Kręci się, jakby jej kto smoły nalał.

— Grunwald, prawda, Grunwald! — Profesor wyprostował się. Twarz powlokła się meduzim blaskiem, zgasła wraz z ostatnią rakieta i poszarzała jak wystygły popiół. — Chodźcie wszyscy na Grunwald!

Za oknem, w mroku, który zgasił rakiety, buchnął nagle rudy płomień, polizał czarne okna jak łaszący się pies i rozkołysał sobą mrok jak dzwon. Cienie drzew wydłużyły się aż ponad dach i chwiały się jak świece.

— Chodźcie wszyscy na Grunwald! — zapiał Profesor. Pociągnął mnie do okna. — Zobacz pan, zobacz pan! — wołał niecierpliwie. Obrócił się ku sali. — Chodźcie wszyscy — rzekł prosząco. — Weź pan dziewczynę, niech i ona zobaczy. — Wychyliłem się za parapet. W czarnej misce podwórza naokoło drgającej bani płonącego stosu, który, rozbity wiatrem, rozwiewał się jak grzywa pędzącego konia, stał milczący tłum. Błyski ognia ślizgały się po twarzach i nasycaly je krwią, którą zaraz wysysała ciemność. Suche deski płonęły z trzaskiem, a odpryski odlatywały w mrok. Światło rakiet umilkło.

— Był pan w kościółku w osiedlu niemieckim? Nie? — Profesor już się opanował. Mówił poważnie, prawie surowo. Twarz jego, odziana w mrok, stała się znowu ostra i zmęczona. — Ja tam codziennie chodzę. Spokojnie. Pełno Boga. Aż się wylewa. Amboneczka, w okieneczkach krateczki, małeńki ołtarzyk, sentencje z Biblii na ściankach. A pod jedną ze ścianek krzyżyki, na krzyżykach klepsydry, sami esesmani! Rozumiesz pan? A kwiatów pod krzyżykami, zatrząsienie kwiatów! — W oczach jego płonął rudy blask ogniska. — Tak Niemcy czczą swoich zmarłych.

— A my? — mruknął z ubolewaniem. — Pies z kulawą nogą nie zadba, jak człowiek zdechnie.

Syn chorążego wstał z łóżka i przyczłapał nagi do okna. Dziewczyna w nocnej koszuli sunęła za nim cicho jak duch. Czarny Cygan podparł się na łokciu i z zazdrością patrzył w okno.

— My? — powtórzył Profesor w zamyśleniu. — My jesteśmy tuż przy nich. My... Patrzcie! — krzyknął drapieźnie — patrzcie na ognisko! Na to czekam, to Grunwald!

Na stos dorzucono świeżych sosnowych gałęzi. Ogień przygasł. Powiało gęstym, brudnym dymem. Wiatr odparł dym, płomień bryzgnął pod niebo. Z tłumy wytrząsł się ksiądz w sutannie. Biały kołnierzyk ścisnął rudą szyję. Ksiądz podniósł obie ręce, jakby błogosławił. Gdzieś z głębi ciemności wywleczono człowieka w mundurze esesmańskim. Hełm z brzękiem spadł na beton dziedzińca. Tłum buchnął śmiechem. Człowiekowi wciśnięto z powrotem hełm na głowę. Ksiądz ujął go za ramiona, dźwignął z wysiłkiem i wśród okrzyków tłumu cisnął człowieka w ogień.

Twarz stojącej obok mnie dziewczyny poszarzała jak popiół. Oczy jej jak dwa węgle żarzyły się przerażeniem. Zgasły, przykryte powiekami. Wczepiła we mnie kurczowo palce.

— *Was ist los?*<sup>291</sup> — zaszepotała, szcękając zębami. Poglaskałem ją uspokajająco po chłodnej dłoni. Wparła się we mnie całym ciałem. Podnosił się od niej zapach, bił w nozdrza i wdrażał się w ciało. — *Was ist los?* — usta jej skrzywiły się. Odgarnęła włosy znad czoła.

— *Rubig, rubig, Kind*<sup>292</sup> — rzekł łagodnie Profesor. — To pali się kukła esesmana. To nasza odpowiedź — na krematoria i na kościółek.

— I na martwą dziewczynę — warknąłem przez zęby.

<sup>291</sup>*Was ist los?* (niem.) — Co się dzieje? [przypis edytorski]

<sup>292</sup>*Rubig, rubig, Kind* (niem.) — Spokojnie, spokojnie, dziecko. [przypis edytorski]

Sięgnąłem dłonią do tyłu. Ciepłe ciało dziewczyny przylgnęło do mnie szalenie i drżało z podniecenia i strachu. Dyszała mi prosto w kark parnym, gorącym oddechem.

Przed tłumem wystąpił Aktor, gruby, mały, ogarnięty blaskiem jak czerwonym płaszczem, i podczas gdy ksiądz ciskał w ogień coraz to nowe kukły, które, jak podlane naftą, rozrywały się słupem płomienia i skręcały się w tym ruchu jak żywe, on podniósł ramiona w górę, uciszył krzyczący tłum, jednym gestem dłoni rozszczępił go wzdłuż szerokiej ulicy, dźwignął głowę ku ciemnym dachom koszar i dał znak.

Buchnęły kaskady rakiet Niebo zapaliło się jak choinka, trysnęło bengalskimi ognikami i spadało kroplami na ziemię. Ze strychów odezwały się długie serie karabinów maszynowych. Dymne pociski szły popielatymi smugami przez niebo jak stada dzikich gęsi. Tłum, objęty pożarem rakiet, zajaskrawił się wraz z całym podwórzem, które kłębiło się i wirowało jak gnana wiatrem bańka mydlana.

— Niech umarli grzebią umarłych — rzekł w zadumie Profesor. — My, żywi, idźmy z żywymi. — Policzki jego, zanurzone w tygiel rakiet, znów nabrzmiały i napęczniały. Naraz Profesor zarechotał po raz drugi śmiechem. — Żywi z żywymi! Ha, ha, ha, ha! Ha, ha, ha, ha! Żywi z żywymi. Tak jak oni, na zawsze! Patrzcie!

Wyciągnął rękę w stronę hali, tonącej w mętym mroku. Spod jej cienia, jak spod olbrzymiej skorupy na wpół otwartej ostrzem ognia, między kamiennymi ścianami budynków, zamazanych cieniem drzew, po dziedzińcu po-esesmańskich koszar, na którym w rocznicę bitwy pod Grunwaldem rzucano na stos słomiane kukły żołnierzy z SS, w przededniu transportu, który wszystko miał zniszczyć i rozproszyc bezpowrotnie ludzi, glucho, zacięcie wbijając w beton takt, szedł Batalion i — śpiewał.

---

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na Licencji Wolnej Sztuki 1.3. Fundacja Nowoczesna Polska zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/borowski-pozegnanie-z-maria/>

Tekst opracowany na podstawie: Tadeusz Borowski, *Pożegnanie z Marią*, Wiedza, Warszawa 1948..

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Aleksandra Kopeć-Gryz, Aleksandra Sekuła, Elżbieta Sekuła, Paulina Chormańska, Wojciech Kotwica.

Okladka na podstawie: Bez tytułu, Teresa Żarnowerówna (c. 1895-1897 – 1949), domena publiczna

ISBN 978-83-288-6653-9

*Wesprzyj Wolne Lektury!*

Wolne Lektury to projekt fundacji Nowoczesna Polska – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

*Jak możesz pomóc?*

Przekaż 1% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Nowoczesna Polska, KRS 0000070056.

Dołącz do Towarzystwa Przyjaciół Wolnych Lektur i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: szczegóły na stronie Fundacji.